

Wielki Słuczok

Feliks Trusiewicz



Feliks Trusiewicz

NAD SŁUCZĄ

INSTYTUT BADAŃ KOŚCIELNYCH
W ŁUCKU

ІНСТИТУТ ЦЕРКОВНИХ ДОСЛІДЖЕНЬ
У ЛУЦЬКУ

*Dedykuję swoim ukochanym,
przedwcześnie zmarłym synom –
Zbyszkowi (lat 20) i Andrzejowi (lat 61)*

BIBLIOTEKA „WOŁANIA Z WOŁYNIA”
T. 144

Feliks Trusiewicz

NAD SŁUCZĄ



«WOŁANIE Z WOŁYNIA»
BIAŁY DUNAIEC – OSTRÓG 2020

© Copyright by Feliks Trusiewicz, Wrocław 2019

© Copyright by „Wołanie z Wołynia”,
Biały Dunajec 2020

Redaktor serii
Ks. Witold Józef Kowalów

Na okładce:
Wołyński krajobraz nad Słuczą. Fot. Kalina Sroczyńska

Redakcja, opracowanie typograficzne i projekt okładki
Małgorzata Wieczorek

Konsultacja językowa tekstu rosyjskiego i ukraińskiego
oraz tłumaczenie na język polski
Danuta Tettling

ISBN 978-83-88863-21-9

Wydanie I – Wrocław 2019

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skrytka pocztowa 9
34-520 Poronin, Polska

~~~~~  
**“Воляння з Волині”**  
**вул. Кардашевича, 1**  
**35800 м. Остріг, Рівненська обл.**  
**Україна**

# Przedmowa

Każde spotkanie z Feliksem Trusiewiczem to uczta duchowa. Zarówno wtedy, kiedy odwiedzam Go w zacisznym wrocławskim domu ukrytym wśród pięknych drzew, jak i wtedy, kiedy czytam Jego ciekawe, mądre i ważne książki. Spotykamy się kilka razy w roku i rozmawiamy, rzecz jasna, o dawnych czasach, choć nie tylko, bowiem Pan Feliks trzyma rękę na pulsie współczesności i znakomicie się orientuje w aktualnych wydarzeniach polityki krajowej i zagranicznej. Siadamy więc przy herbacie z ciastkami, nieraz pojawi się także i kieliszek czegoś mocniejszego, a bywa, że Pan Feliks upiecze znakomite placki ziemniaczane i smakujemy, równocześnie przywołując dalekie wspomnienia z naszego trudnego, pełnego dramatów, powikłanego, ale przecież i niezwykle dynamicznego, na swój sposób pięknego, emocjonującego żywota. Pan Feliks patrzy na obecną rzeczywistość z perspektywy niemal stuletniej. I doskonale wychwytuje z najnowszych dziejów rzeczy ważne i mniej ważne, i sensownie oddziela jedno od drugich, wydarzenia istotne od mniej istotnych, pierwszorzędne od drugorzędnych. Umie segregować czas na bezpośrednio przeżyty, tragicznie doświadczony i nowszy, w którym kumuluje się już historia i trzeba mieć klarowny i jasny umysł, by wiedzieć, co do czego pasuje, co z czym się łączy, a co od czego oddziela, co jest faktem, a co tylko fabularyzowanym zmyśleniem.

Ta orientacja bardzo mu się przydaje, kiedy zasiada do pisania książek, a napisał już, jak wiadomo, ich kilka, by nie powiedzieć, kilkanaście, ponieważ niektóre z nich zapisane są w jego umyśle, choć jeszcze nieopublikowane. Ale to tylko kwestia czasu. I każda z nich to powiew nowości, zaskakujących odkryć, wspaniałych spostrzeżeń i niezwykłych obrazów. Choć z zawodu nie jest humanistą, jego serce i dusza są na wskroś humanistyczne. Trusiewicz widzi, czuje i opisuje świat jak radosy prozaik. Ma zmysł epicki, ogarnia dzieje panoramicznym wzrokiem i nic nie uchodzi Jego uwagi.

Przypomnijmy tylko niektóre opowieści wywodzące się z autentycznych przeżyć i wspomnień, a sięgające dobrej klasy artystycznej prozy. Jestem zachwycony *DuszoHubką*, jej epickim rozmachem, metaforyczną dociekliwością i bogactwem językowym. Także atrakcyjnie i wymownie brzmią inne utwory Trusiewicza, jak choćby oba tomy *Pokolenia*, czy *Hawryłko*. Choć w *DuszoHubce* pisze autor głównie o Wołyniu i całym wielonarodowym bogactwie etnicznym tamtych polskich utraconych ziem, to przecież jego postaci, bohaterowie, typy ludzkie, symbole literackie mają często charakter uniwersalny. I znaczą więcej niż wydaje się, że znaczą. Jakaś jedna wieś może stać się obrazem swoistego ludzkiego kosmosu. I to stanowi o wartości książek Trusiewicza. O ich uniwersalizmie, zakorzenionym w realistycznych realiach. O *DuszoHubce* krytycy pisali niezwykle pozytywnie, słusznie zauważając, że odznacza się ona szczególnie barwnie opowiedzianym lokalnym folklorem oraz pięknie i bogato pokazanym językiem gwarowym Wołynia w II Rzeczypospolitej w czasie II wojny światowej. Naturalnie, nie brakuje także wątku romantycznego, który znacznie podnosi temperaturę emocjonalną książki. Wspominam o tym tylko dlatego, by powiedzieć, że w nowej jego książce *Nad Śluczą* również będziemy mieli do czynienia z barwną opowieścią gwarową, językiem lokalnym, w którym mieszać się będzie leksyka polska, rusińska, ukraińska, białoruska i rosyjska. Obok języka literackiego, którym pisarz włada jak należy, spotykamy całą gamę języków miejscowych, w których odnajdziemy symbiozę kulturową tamtego czasu. Trusiewicz jest szczególnie uwrażliwiony na uroki mowy, ponieważ doskonale wie, że w języku kryją się ludzkie charaktery, poglądy, przekonania, polityka, religia, wiara, piękno, mądrość, etyka i estetyka. W języku kryje się cały wewnętrzny, duchowy świat bohaterów, a więc i świat lokalnej społeczności, obyczajów, tradycji, niepokojów, lęków, zauroczeń, nienawiści i miłości. I temu światu poświęca pisarz dużo uwagi.

Do tej pory opisywał w swoich książkach Trusiewicz w zasadzie epokę własnych doświadczeń, wplatając w fabułę biografię swojego rodu. Wywodzi się ze wsi, a lepiej powiedzieć, z wołyńskiego przysiółka czy nawet z niewielkiej kolonii Obórki i jej poświęcał dużo miejsca, jej położeniu, urokom, krajobrazom, ludziom, obyczajom, historiom, tragediom, ludobójstwu, ale tym razem, już w nowej książce, która stanowi mieszankę wspomnień i klasycznej prozy, wyszedł daleko poza te ramy czasowe. I to był bardzo dobry krok, by pokazać inny kawał polskich dziejów, który w ostatnim półwieczu nie miał zbyt dużo szczęścia do literackich piór. O ile dotychczas np. w dylogii opisującej całe pokolenia zmagających się z demonami rodzin-

nej przeszłości, zaczynając od mniej więcej połowy XIX w. i pokazując prehistorię rodu, miasteczko Kołki, przysiółek Obórki, a także późniejsze wojenne losy rodziny, włącznie ze strasliwym mordem dokonany na rodzinnej miejscowości przez ukraińską policję w uzgodnieniu z niemieckim okupantem, to w nowej książce już tak bardzo nie identyfikuje się ze swoim przysiółkiem, Obórkami, a pokazuje wieś, która nazywa się **Brzeziny** i mruga do nas jednym okiem, dając do zrozumienia, że na dobrą sprawę nie wiadomo, co znaczy ta mała mistyfikacja, czy nadal są to Obórki, tylko pod inną nazwą, czy całkiem nowa miejscowość.

W *Pokoleniu* widzieliśmy całą ogromną galerię autentycznych rodowych postaci, wymienianych z imienia i nazwiska, które obiewały pół świata i zatrzymały się na jakimś jednym, drugim czy trzecim kontynencie. Tutaj, w tej nowej powieści, widzimy świat fikcyjny, jakby autor chciał nam powiedzieć: „Nie wyobrażajcie sobie, wy uczeni czytelnicy, że nie mam wyobraźni i nie potrafię stworzyć świata iluzorycznego. Mam wyobraźnię, potrafię władać fabułą, postaciami, dialogami, narracją, jak zawodowy pisarz. I jak zechcę, zrobię z fabułą, co mi się tylko podoba, bo wiem, jak się konstruuje dzieła prozatorskie. Nie muszę się trzymać faktów, realiów, własnych przeżyć, bo w fikcji literackiej też można zawrzeć głębię ludzkich dramatów”. Autor tak jakby przedrzeźnia się z nami. Ale na dobrą sprawę to nadal nas prowadzi ścieżkami prawdziwych historii, doświadczeń, przeżyć. Jego bohaterowie to ludzie z krwi i kości, mają własną duszę i swój niepodrabiany, autentyczny język, raz taki, raz inny. Zaraz damy przykłady. W szerokiej panoramie opisywanych zjawisk widzimy codzienną, ciężką pracę wsi wiosną, latem, zimą i jesienią. Opisywanie wiejskich pejzaży to już jakby specjalność Trusiewicza. Oddaje nastrój, klimat, barwę i światła natury. Pokazuje dynamikę zjawisk przyrodniczych, zachowania zwierząt, ptaków, domowej hodowli. Z pasją opowiada o narzeczeństwach, wiejskich weselach, miodowych miesiącach, o ceremoniach religijnych, o świętach i dniu codziennym. Nie brakuje barwnie opisywanych zwyczajów i obyczajów, a wątek przygodowy, ucieczka i powrót jednego z głównych bohaterów wciąga uwagę jak nie przymierzając narkotyk współczesną młodzież.

Ale popatrzmy, jak pięknie charakteryzuje Trusiewicz swoje postaci, a jest ich niemało, Polacy, Żydzi, Rusini, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Niemcy... Oto Żyd Chaim. *„Był to człowiek szczupły – powiada autor – średniego wzrostu. Miał typowo semickie rysy twarzy: potężny, przygarbiony nos, duże odstające uszy, głęboko osadzone oczy, które przebiegle i nieufnie patrzyły na każdego nieznanomego goja odwiedzającego jego sklep lub karczmę. Chaim na podstawie wyglądu oceniał, co to*

za typ człowieka i ile można na nim zarobić". Co za wysoka klasa spostrzegania realiów, jak prosto, krótko i prawdziwie można pokazać w kilku zdaniach całą złożoną osobowość człowieka. Trusiewicz to potrafi. Bo ma wrażliwe oko i czuje ducha postaci.

Albo jak charakteryzuje zabudowania dworskie: „*Wielkość tego domu podkreślał wysoki, strzelisty, dwuspadowy dach kryty gontem, u szczytu zwieńczony małą wieżyczką, w której gnieździły się gołębie. Wejście do domu poprzedzała obszerna, zadaszona weranda. Jej dach wychodzący ze ściany budynku wspierał się na dwóch pięknych kolumnach. Drewniane, ażurowe ściany werandy pokrywały liściaste zielone pnącza, które wchodziły aż na jej zadaszenie, a nawet sięgały dachu budynku. Na drewnianej podłodze stały dwa stoliki i ładne stylowe krzesła. Było to doskonałe miejsce na popołudniową herbatkę. Budynek otoczony był zielenią, a po obu stronach dziedzińca mieniły się kolorami i oszałamiały zapachem zadbane rabaty kwiatów. Za dworem, w pewnym oddaleniu, znajdował się długi rząd budynków gospodarczych: stodoły, obory, stajnie, szopy, magazyny i drewnutnia. Obok nich stały baraki dla służby obrządzającej gospodarstwo – dobytek i pola uprawne*".

Ile trzeba mieć smaku i wrażliwości na kształty i formy, by tak przybliżyć budynek mieszkalny.

A oto jak wygląda wnętrze takiego domu: „*Porządek, czystość i przepych rzucały się w oczy. Długi gościnny stół w salonie nakryty był kremowym adamaszkowym obrusem, harmonizującym z beżową tapicerką krzeseł. Nad stołem wisiały trzy żyrandole, wyposażone w duże lampy naftowe. Ściany salonu między oknami pokrywały ułożone w fałdy, brokatowe, o odcieniu brązowym kotary, a okna – śnieżnobiałe tiulowe firany, zawieszone przy suficie i sięgające podłogi. Usytuowany na ścianie obok drzwi kuchennych szklany kredens imponował zbiorem porcelanowych, zdobionych złotem naczyń stołowych i sztuców srebrnych. Po obu stronach kredensu na specjalnych półkach stały dwa lśniące, złociste samowary (...)*".

Czyż nie czuje Łaskawy Czytelnik, ile w tym opisie widać talentu literackiego, umiejętności dostrzegania detalu, drobiazgu, jakże ważnych powiązań, asocjacji, skojarzeń twórczych. A jak wyglądał gospodarz? Proszę bardzo. I gospodarza mamy, właściciela dworu. Bo przecież w pobliżu wsi zwykle znajdował się dwór. A w nim pan, gospodarz: „*(...) Włodzimierz Sobolewski, był mężczyzną silnie zbudowanym. Bujne czarne włosy, mimo młodego wieku, przyprószone siwizną, również czarne sumiaste wąsy i niebieskie łagodne w spojrzeniu oczy nadawały twarzy wyraz oryginalny, dobrotliwy i godny szacunku. Na co dzień ubiorem nie różnił się od zatrud-*



nionych u niego parobków. W okresie letnim biała płócienna koszula i także spodnie wpuszczone w cholewy skórzanych butów”.

Od razu widać, z jaką sympatią autor obdarza swoje postaci rysami przyjaznymi, bliskimi, życzliwymi. A oto z kolei, jak lud prosty mówi, jakiego języka używa, gdy autor przybliża nam ważne wydarzenie historyczne, bunt, rokosz, powstanie: „Oj, chodzili my chodzili z kosamy, a było nas dwie z połowo setki chłopów. W naszej partyji my zawsze iszli w tyle, a przed nami powstańcy z strzelbami i rewolwerami, a gdzie niektórzy karabina miał, oni mieli też szable, a na samym przodzie chłopaki na koniach. Mieli oni szable piki, a niektórzy karabiny i rewolwery. Oni, znaczy się te na koniach, pierwsze szli do ataku na Moskalów, a za nimi te, co napiechote. Jak oni nie poradzi sobie, to my kosamy pomogli. Oj, bali się Moskale naszych kos, bali się”...

Czyż nie czujemy ducha historii, polskich powstań, walk, zmagania o wolność. Wciąga nas autor w głąb dziejów i poprzez język ludu pokazuje tamte dramatyczne czasy, nastawienie ludu do sprawy narodowej, do wolności i niepodległości państwa. Moskale byli wrogami i tak zostali pokazani.

A przecież jest jeszcze cała skala wydarzeń, zachowań, postaw, jakie należy przedstawić, by obraz był pełniejszy. Chcemy wiedzieć, co ludzie jedli, albo czego nie jedli lub czego i kiedy nie powinni jeść, ponieważ trzeba pościć. Warto przypominać te mądre zasady i normy etyczne.

„W piątki – pisze Trusiewicz – nie jedzono mięsa i tłuszczów zwierzęcych. Podobnie w Adwencie i Wielkim Poście. Dotyczyło to też dzieci i młodzieży. Posty ćwiczyły charaktery i wdrażały cnotę wstrzemięźliwości. Ówczesna dyscyplina przestrzegania zasad była żelazną formułą obyczajową. Tak przygotowany młody człowiek był gotów do odpowiedzialnego założenia własnej rodziny”.

A jakie były inne obyczaje, szczególnie w czasie świąt. Oto jeden z nich: „Późną jesienią u wielu gospodarzy, a też we dworze odbywało się świnioobicie. Hodowano wieprze słoninowe. To znaczy, że decydowano się na ubój wieprza wtedy, gdy jego grzbiet obrósł grubą słoniną. Po wyprowadzeniu na dziedziniec zwierzę zabijano w taki sposób, żeby krew pozostała w klatce piersiowej. Długą szczecinę wyskubywano w celu sprzedaży jako surowiec do produkcji szczotek, pozostałą opalano płonącej słomą. Po dokładnym opaleniu szczeciny spalone resztki zeskrobywano nożem. Na rozgrzane płomieniem z płonącej słomy cielsko wieprza lano wodę i za pomocą kosi, trzymając ją oburącz, skrobano opaloną skórę zwierzęcia aż stawała się żółta i czysta. Tak umytego i oskrobanego wieprza wnoszono do kuchni, gdzie najpierw otwierano mu klatkę

*piersiową i wybierano do czystego naczynia krew, której później używano do robienia kaszanki”.*

Ileż tu zmysłowości, ileż wiarygodności i autentyczności w zapisie, ileż realnej prawdy. Tak potrafi przedstawiać rzeczywistość tylko autor z dogłębną wiedzą i czułą wrażliwością.

I jeszcze raz język. Tym razem język Żyda, który pragnie zrozumienia. By być zrozumianym, musi mówić tak samo jak lud, który przychodzi do jego karczmy i tam się rozpija. Ale proszę posłuchać jak brzmi prośba, skarga, żal, różne odcienie uczuć, które mają przekonać do racji bohatera, jakoby do jego niewinności. Ile sprytu, chytrłości i przebiegłości trzeba włożyć w retorykę, by brzmiała ona naturalnie i prawdziwie. Tu pazur talentu autora jest szczególnie ostry, a chwilami niepozabawiony humorem. Posłuchajmy: „*Nu, pan Walerian, to dla pan ksiądz – oznajmił. – Ja wiedzieć, co un do mnie nie przyjdzie, aliż wiedzieć tyż, co un jest dobry dla nasze Żydki, to ja potrzebować dać jemu ten gift, cob un ni krzyczał na tego polski gospodarz, co czasem zajdzie do mego karczma i wypije czarkie anyżówka. To ni wielki giwałt, bo to tylko czasem. Gorzyj jest z panem pop. Ukraińskie baby ido do tego pop i skarżo na mnie, co ichnie cłowiki pijo u mnie gorzałka. To co ja mogie zrobić? Ja mieć karczme, cob sprzedac mój towar, to mój giszeft. Poszet ja du tego pan pop tyż z giftem, aliż un ni patrzył się nawet na to, co ja jemu przyniós i tylko krzyczał: „Wy, Chaim, rozpijacie mnie chłopów”.*

No, rozpijali. Ale jak to pisarz ze smakiem opowiada. Tylko dusza się raduje. A wiosna? Jak wiosnę pięknie pokazuje Trusiewicz, jakby nauki u samego Władysława Reymonta pobierał, jakby chciał powiedzieć, że lud Wołynia także miał swojego Borynę i swoją Jagnę. Nadstawmy ucha: „*Ożywiało się ptactwo wodne, na błoniach zakwitły kaczeńce, a w gniazdach pojawiły się bociany. Ich radosny klekot i wachlowanie skrzydłami cieszyło mieszkańców wsi, a jednocześnie zapowiadało, że wkrótce trzeba będzie wychodzić z pługiem w pole. Jakoż wkrótce pola – te chłopskie i te dworskie – zaroily się pracowitym ludem. Czarne, lśniące skiby żyznej ziemi wychodziły spod licznych pługów. Za oraczami szły wrony, szpaki i bociany, wybierając sobie wyorane smakółki. Bydło, czując wiosnę, porykiwało w dusznych oborach, wabione zapachem kwiatów i młodej trawy. Krowy wyprowadzane przez pastuchów spieszyły na pastwiska rozkoszować się słońcem, świeżym powietrzem i smakowitą młodą trawą. U brzegu rzeki na wierzbach kwitły baze, wokół wsi i dworu bieleły się kwitnące czereśnie, a w ich koronach słyszało się bzyczenie pszczoł, które zbierały pierwszy wiosenny nektar. We dworze Mikołaj i pan Włodzimierz robili pozimowy przegląd uli”.*

A obyczaje, tradycje, obrzędy, choćby wesela – toż to sama radość czytać: „Naprzeciwko młodej pary, po drugiej stronie stołu, zajęli miejsca duchowni oraz pan Włodzimierz z panią Matyldą. Po obu ich stronach usiedli rodzice młodych. Pozostałe miejsca zajęli sąsiedzi, którzy przyszli na wesele. Przy osobnym długim stole zasiadła młodzież polska i ukraińska. Przy tym stole było najgłośniej. Najpierw jednak obaj duchowni pobłogosławili potrawy i wszyscy, stojąc, przeżegnali się. Po tym w przydomowym sadzie, gdzie odbywała się uczta, słychać było gwar i brzęk talerzy oraz – według zwyczaju – zapraszanie gości przez gosposie, które za plecami biesiadników chodziły z ręcznikami w rękę i prosiły: – Jedzcie, jedzcie drogie gości – albo do Ukraińców: – Jiżte, jiżte”.

I jeszcze raz język. Jakże Trusiewicz się lubuje w odmiennościach językowych, jak on kocha bogatą, śpiewną mowę tamtego ludu. Oto ta nowa próbka: „*Tak ty, biednyj, pierieżył użasnoje wriemia. Mołodiec, czto udrał. Ja, gołubczik, nie Russkij, ja Biełorus. Nasz posiołok biełorusskij, wsiego dwie siem’ji russkije, odnako eto wsio charoszyje ludi. Wot, ty mnie skazał wsio, czto ja chotieł znat’, a tiepier’ posłuszaj mienia. Na wsiakij słuczaj łuczsze ty gowori, czto ty Stiepan Lipin, a czto kasajetsia mienia, tak ty nie zabywaj, czto mienia zowut Maksym Dubowicz. W posiołkie ja skażu, czto ty moj swojak*”.

Mijały lata, wspomnienia powstań, listopadowego i styczniowego, nadchodził czas zagłady, ale zanim nadszedł, zaczął się okres terroru. Trwał on przez cały czas istnienia Rzeczypospolitej. Oto jeden z epizodów realnie opisanych przez autora: „(...) był to rok 1932, nagle wybuchły niepokoje społeczne. Jacyś nieznani sprawcy nocą napadali i rabowali urzędy pocztowe, które poza swoją główną funkcją – dostarczania przesyłek pocztowych, były też terenowymi bankami. Podpalali dwory, ale też wsie ukraińskie, najłatwiejsze do wzniecenia pożaru, jako że płonące kryte słomą budynki były nie do ugасzenia. Straszne to były noce”.

Ale jeszcze straszniejsze nadeszły noce wraz z wojną. Kiedy Sowietci wkroczyli 17 września 1939 r. na polskie Kresy, zaczęła się straszliwa tragedia polskich mieszkańców tych ziem. Ukraińcy, Żydzi i Białorusini witali ich radośnie, ale Polacy wiedzieli, że zaczyna się gehenna, aresztowania, więzienia, wywózki i śmierć. Wspomina także o tym pisarz: „*Nastały ciężkie czasy dla ludności polskiej. Historia zatoczyła nieduże koło i znów Polska znalazła się w niewoli, która okrucieństwem tę z czasu zaborów znacznie przewyższała. Do troski o los Kazimierza i Romana doszła nowa przerażająca w swoim okrucieństwie – nocna, przy 30-stopniowym mrozie, wywózka w nieznane całej rodziny Władysława. Jak później mówiono: na nieludzką ziemię (...). W tym czasie w Brzezinach sowiecki reżim miał już swój ustabilizowany*

*aparatu, czyli silradę. Przewodniczył jej człowiek wielokrotnie karany więzieniem przez władze polskie za kradzież. Taki złodziej był wybrany w czasie wyborów silrady i wysunięty na jej przewodniczącego. On decydował o podziale chłopstwa na bidniaków, średniaków i kułaków. Było już po rozkułaceniu kułaków. Ustalono stawki w naturze jako podatek od każdego gospodarstwa. Po wykonaniu tego zadania ów przewodniczący został przeniesiony do innej wsi, a do Brzezin na stanowisko przewodniczącego silrady wyznaczono rosyjskiego Żyda".*

Potem nadszedł gwałt i zbrodnia niemiecka. Trusiewicz i temu straszniemu okresowi poświęca należne miejsce: „Na Wołyniu szalał terror niemiecki. Ulicami miast i większych osiedli maszerowały oddziały Wehrmachtu i śpiewały: Deutschland, Deutschland über alles albo podległe im oddziały szucmanów ukraińskich śpiewających marszową pieśń *Smert, smert Lacham, smert żydowsko-maskowskoj komuni*. Niemcy do ujarzmienia podbitych narodów werbowali do pomocy najbardziej zde-moralizowany element ludzki. W ich planach była likwidacja całych narodów i grup etnicznych. Na podbitych kresowych terenach drugiej RP wykorzystywali Ukraińców wyznających obłądną ideologię nacjonalizmu, używając ich jako narzędzi do fizycznej likwidacji Żydów, tudzież trzymania w ryzach Polaków. Taki element stanowiła policja ukraińska podporządkowana Niemcom, tak zwani szucmani".

Można by przykłady mnożyć. Trusiewicz to znakomity kronikarz naszych dziejów. W lot chwyta w opisie tamten czas, a chwyta, bo zna go z autopsji i potrafi świetnie władać piórem. To znakomity gawędziarz. Tak jak przy stole, kiedy piliśmy herbatę, a ja słuchałem niekończących się opowieści, tak i w książce Trusiewicz opisuje strona po stronie pięknie, mądrze i autentycznie miniony już świat, przybliża ludzkie losy i historyczne wydarzenia. Ta książka to jeden ze skarbów naszego piśmiennictwa. Koniecznie trzeba po nią sięgnąć.

Stanisław Srokowski  
[www.srokowski.art.pl](http://www.srokowski.art.pl)

# Słowo wstępne od autora

Na dalekich wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej, u styku powiatów kostopolskiego i sarneńskiego, przy granicy z Rosją sowiecką, wśród lasów, pól i moczarów leżały wsie ukraińskie, a obok nich kolonie polskie. I chociaż Polacy stanowili tam dużą mniejszość etniczną, to jednak swoją kreatywnością cywilizacyjnie rozwijali ten kraj. Była to ziemia niespokojna i burzliwa. Pomimo wielu dziejowych burz, zwłaszcza skierowanych przeciw Polsce, sadyby polskie przetrwały tam jak szanse obronne, jak świadectwa naszych praw do tej ziemi. Dopiero druga wojna światowa i ludobójstwo ukraińskie starły z powierzchni wszystkie polskie osiedla, a ich ludność wymordowano.

Rzeka Słucz była największym ciekim wodnym płynącym do Horynia. Po obu brzegach tej rzeki leżały wsie ukraińskie i kolonie polskie. Wiele tych osiedli spacyfikowano i spalono w czasie drugiej wojny światowej i dziś nie ma po nich śladu. Właśnie jedna z takich nieistniejących dziś wsi, która według pewnych źródeł miała nazwę Brzeziny, jest miejscem akcji mojego opowiadania. W książce opisałem los czterech pokoleń, żyjących tam w okresie od powstania styczniowego do końca drugiej wojny światowej.

Poziom cywilizacyjny mieszkańców tych ziem był niski, ale ich kultura duchowa wysoka. Ci prości, niewykształceni, ale rozumni ludzie, na co dzień obcujący z przyrodą, która ich żywiła i niewątpliwie miała wpływ na pozytywne formowanie ich osobowości: łagodności, prostoduszności, gościnności. Te przymioty występowały we wszystkich grupach etnicznych w czasie pokoju.

W tej opowieści Czytelnik będzie miał do czynienia z wielojęzycznymi wypowiedziami bohaterów, w dużej mierze gwarowymi, przetranskrybowanymi w alfabecie łacińskim według fonetycznego brzmienia. Również język rosyjski został zapisany w ten sam sposób.

I jeszcze kwestia tytułu powieści. Inspiracją do niego nie jest *Nad Niemnem* Orzeszkowej, ale *Między Horyniem a Słuczą* Zofii Grzesiak.

Autorka była Żydówką, pochodzącą z ortodoksyjnej rodziny żydowskiej, żyjącej we wsi Kryczyńsk w powiecie sarnieńskim na Wołyniu. Gdy dorosła, zakochała się w Polaku, miejscowym kowalu – Tadeuszu Grzesiaku. Miłość była wzajemna. Dziewczyna wbrew swoim rodzicom, a zwłaszcza ojcu, wyszła za mąż za Tadeusza, przyjmując polskie imię -- Zofia. W roku 1939 urodziła się im córka, której dano na imię Wanda.

W czasie Holokaustu Żydów na Wołyniu Zofia z mężem i córeczką, chcąc ratować życie, musieli opuścić rodzinną wieś i tułali się od wsi do wsi, szukając miejsc, gdzie ludzie ich nie znają. W czasie tej dramatycznej tułaczki wpadli w ręce Niemców, którzy, biorąc ich za Polaków, załadowali do wagonu wiozących ludzi na przymusowe roboty do Niemiec. Znaleźli się w obozie pracy o bardzo ciężkich warunkach, znajdującym się na terenie Austrii. Oboje całymi dniami ciężko pracowali, a w tym czasie ich dziecko samotnie przebywało w zamkniętej celi. Krańcowo wyczerpani, doczekali się wyzwolenia przez armię sowiecką. Wrócili do Polski i osiedlili się w Lublinie. Tu Zofia Grzesiak napisała swoje wspomnienia. *Między Horyniem a Słuczą* to fascynująca opowieść, to tragiczna epopeja mieszanej, polsko-żydowskiej rodziny, której udało się ocaleć. To pięćsetstronicowe dzieło czyta się z poczuciem grozy. Cały tekst tchnie przejmującym autentyzmem wyrażonym w pięknym stylu. Niestety, nakład książki został wyczerpany i nie ma jej dziś na rynku księgarskim. Można tylko mieć nadzieję, że w przyszłości ktoś wznowi edycję tego wspaniałego dzieła.

Feliks Trusiewicz



# Brzeziny

Poprzez wschodnie tereny północnego Wołynia (ongiś guberni wołyńskiej) płynie rzeka Słucz. Piękna jak Horyń, którego jest dopływem. W czasach, które opisuję, w pogodne letnie dni jej błękitna wstęga lśniła, wijąc się przez lasy, pola i zielone łąki. W rejonie Ludwipola w pow. kostoposkim, na wschód od tego miasteczka, koryto Słuczy przecinało wieś Brzeziny (autor nie gwarantuje, czy rzeczywiście taka była nazwa tej wsi). Ale za taką nazwą przemawiały warunki krajobrazowe, jako że w pobliżu, na prawym brzegu rzeki, rósł duży gaj brzozowy. Jego bielejące się pnie i zielone korony jak w lustrze odbijały się w toni płynącej tędy Słuczy.

Rzeka dzieliła wieś nierówno. Na prawym brzegu znajdowało się kilkanaście zagród, zaś na lewym kilkadziesiąt. Z uwagi na tę różnicę w tym opowiadaniu tę mniejszą część siola nazwiemy Brzezunami Małymi, a tę położoną na lewym brzegu – Brzezunami Dużymi.

Obie części wioski zamieszkiwała głównie ludność rusińska (dziś mówimy: ukraińska). Opowiadanie sięga przełomu wieków XIX i XX, gdy te tereny znajdowały się pod zaborem rosyjskim. Wówczas w Brzezinach żyło kilkanaście rodzin polskich i kilka żydowskich, a w okresie od wiosny do jesieni na zielonym wygonie Brzezin pod obszernym namiotem gościła rodzina cygańska. Na skraju Brzezin Dużych z zieleni drzew wyzierała kopuła cerkwi prawosławnej, a daleko na wschód od wsi widać było budynki dworu oraz należące do niego duże obszary ziemi uprawnej i lasu. We wsi była szkoła, w owym czasie nauczająca w języku rosyjskim. Jak wiemy, w zaborze carskim nauka w języku polskim była surowo zakazana, a poza tym posyłanie dzieci do szkół nie obowiązywało

rodziców, dlatego najczęściej posyłano je do szkoły tylko w miesiącach zimowych, gdyż w pozostałą część roku były zatrudniane jako pomoc w gospodarstwie. Dlatego często na pytanie kogoś o to, ile ukończył klas, padała odpowiedź: „Chodziłem do szkoły trzy zimy”. Żyjący tu Rusini zajmowali się rolnictwem, wielu z nich również hodowlą bydła i trzody chlewnej. Polacy też trudnili się rolnictwem, ale dodatkowo rzemiosłem, handlem i pracą w przemyśle leśnym. Natomiast Żydzi żyli głównie z handlu. W Brzezinach jeden Żyd zajmował się handlem zbożem lub drzewnym materiałem budowlanym, drugi był krawcem, inny znów trudnił się drobnym handlem obnośnym. Bardzo popularny i powszechnie znany był tutejszy karczmarz i właściciel sklepu – Żyd Chaim. Jego karczma leżała przy skrzyżowaniu dróg w Brzezinach Dużych.

Chaty i zabudowania gospodarcze Brzezin Dużych ciągnęły się długim rzędem po obu stronach szerokiej ulicy w kierunku południowym. W perspektywie tej ulicy widziało się kilka studni z żurawiami do czerpania wody i długie, drewniane koryta dla pojenia bydła. Chaty chłopskie bielone były kredą, kryte słomą, odgródzone od ulicy płotem z bramą do wjazdu na teren zagrody. Za nimi znajdowały się szare, niebielone i też kryte słomą budynki gospodarcze. U szczytu wielu dachów widoczne były bocianie gniazda, a przy chatach malwy i georginie. To typowy obraz ówczesnej wsi na tych terenach. Dodać trzeba, że domy należące do Polaków i Żydów różniły się od tych chłopskich solidniejszym wyglądem.

Tereny wokół Brzezin było urozmaicone: od wschodu daleko i szeroko rozprzestrzeniała się zielona dolina, środkiem której płynęła rzeka Słucz. Były to łąki i pastwiska, a przy brzegu rzeki szeroki pas krzaków łoży – źródła cennego materiału: wiosną darto z nich łyka na postęły, a jesienią wycinano wiklinę na kosze i półkoszki do wozów.

W letnie dni dolina bieliła się od stad gęsi, wśród których dostojnie kroczyły długonogie bociany poszukujące żeru. Znajdował się tam też namiot cygański, przy którym stał wóz i pasły się konie, a wokół namiotu biegały cygańskie dzieci, słyszało się dźwięk kutej stali, jako że Cyganie zajmowali się kowalstwem. Daleko na południe od rzeki teren stopniowo



wznosił się i w horyzontalnej mglistej oddali widać było wstęgę lasu, a na jego tle budynki wspomnianego dworu.

Na zachód od Brzezin rozciągał się ogromny teren pól uprawnych należących do miejscowego chłopstwa. Wiosną i latem mienił się on barwami różnych zbóż, a daleko za nim na horyzoncie widać było pasmo lasu. To były bory sosnowe.

Brzeziny były wioską cywilizacyjnie zacofaną i ubogą, ale krajobrazowo i folklorystycznie piękną. Tętniły życiem, słychać było gwar ludzkich głosów, klekot bocianów, porykiwanie bydła, gdakanie kur i pianie kogutów czy skrzypienie żurawi studziennych, gdy czerpano wodę.

Komunikację między obiema częściami wioski zapewniał prom, zdolny przewieźć załadowaną furmankę z parą koni lub wołów. Głównym jednak środkiem komunikacji, dostępnym w każdej chwili, były łodzie przycumowane po obu brzegach rzeki. Natomiast bydło w poszukiwaniu lepszych pastwisk pokonywało rzekę wpław, a najczęściej, gdy stan wody był niższy, przechodziło w bród. Ptactwo domowe – gęsi i kaczkę – pływało po rzece lub żerowało po obu jej brzegach. Prom był dostępny tylko w miesiącach letnich. Na okres zimowy wyciągano go przy użyciu wołów na brzeg rzeki i dopiero po spadku poziomu wody po roztopach wiosennych z powrotem ściągano na rzekę. Natomiast zimą, gdy rzeka zamarzła, komunikacja była najłatwiejsza.

Wcześniej wspomniano już, kiedy rozpoczyna się to opowiadanie. Była też wzmianka o tym, że w wiosce żyło kilkanaście polskich rodzin. W tym opowiadaniu skupiam się na dwóch z nich, ich zagrody leżały niedaleko od siebie, ale rozdzielała je rzeka. Na jej prawym brzegu znajdowała się zagroda rodziny Lipińskich. Była to rodzina wielopokoleniowa: dziadek Mateusz i babcia Józefa, ich syn Jan z żoną Marią i dwoma synami: Władysławem i Kazimierzem oraz córką Katarzyną. Władysław, starszy syn, miał już własną rodzinę i z żoną Bronisławą oraz synkiem Jankiem mieszkali w rodzinnym domu Władysława – przy jego rodzicach.

Zagroda tej drugiej rodziny, o nazwisku Różańscy, leżała w pobliżu lewego brzegu rzeki. Składali się na nią: ojciec Walerian, matka Ludwika, syn Roman i córka Marta. Ta rodzina była zamożniejsza od Lipińskich –

posiadała znacznie większy areal ziemi ornej i łąk. Toteż w przypadkach nasilenia prac – sianokosów czy żniw – rodzina Lipińskich spieszyła im z pomocą. Jednak nie tylko ta współpraca budowała ich wzajemną przyjaźń, jej korzenie sięgały wcześniejszego pokolenia. Dziadek Mateusz był wiernym druhem Klemensa Różańskiego – ojca Waleriana. Obaj byli w tym samym oddziale podczas powstania styczniowego. W czasie jednej z bitew Klemens został ciężko ranny. Mateusz wyniósł go z pola bitwy i całą noc dźwigał na plecach rannego aż do domu w Brzezinach. A wszystko w ukryciu, by nie zauważyli tego sąsiedzi Ukraińcy. Ranny był potajemnie, środkami wówczas dostępnymi, leczony w domu. Nie pomogły jednak troskliwe zabiegi i ranny powstaniec zmarł. Pozostała po nim pamięć i chwała bohatera, a pomiędzy rodzinami Lipińskich i Różańskich przyjaźń krwią przypieczętowana.

Jak już wcześniej wspomniano, oprócz tych dwóch rodzin w Brzezinach (nie licząc dworu) żyło jeszcze więcej rodzin polskich, o których dowiemy się później. Teraz naszkicuję obraz społeczności żydowskiej żyjącej w tej wsi. Żyło tu kilka rodzin żydowskich. Jak zwykle Żydzi nie asymilowali się z innymi grupami etnicznymi – stanowiły zamkniętą w sobie enklawę. Wpływają na to ich religia, język i obyczajowość. Ta izolacja od innych społeczeństw często była powodem uprzedzeń wobec ludności żydowskiej. Stąd liczne pogromy i dyskryminacja Żydów, którzy wygnani z własnej ojczyzny tułali się po świecie, a w Polsce spotkali się z gościnnością i tolerancją dla ich kultury. Ten tułaczy los budował solidarność wewnątrz diaspory i nieufność do innych narodów. Wszystkie te uwarunkowania uformowały mentalność i rozwinęły osobliwe cechy przeciętnego Żyda, był on życiowo zaradny, obdarzony zdolnościami handlowymi i znajomością operacji finansowych. Dzięki temu Żydzi do dziś mają duży udział w finansjerze światowej. Inni byli właścicielami fabryk, rzemieślnikami, drobnymi kupcami, niekiedy trudnili się handlem obnośnym (głównie biedota żydowska, bo taka też była).

W czasie zaboru rosyjskiego najbardziej dyskryminowaną narodowością byli Polacy, ale o tym powiemy później. Żydzi również mieli ograniczone prawa. Nie wolno im było posługiwać się ich językiem w miej-

scach publicznych. Musieli mówić po rosyjsku. Nie mogli też publicznie występować w swoich rytualnych strojach, jak chałaty i jarmułki. Nie wolno im było zapuszczać długich pejsów. Słowem, swoim wyglądem musieli upodobnić się do reszty społeczeństwa. Natomiast prawo rosyjskie pozwalało Żydom praktykować ich religijne obrzędy: modlić się w synagodze, korzystać z rytualnej łaźni, przygotowywać sobie koszerłą żywność. Zdarzały się jednak pogromy żydowskie, organizowane nawet przez carską policję. Dotyczyło to przede wszystkim większych skupisk żydowskich, ale tak mała diaspora jak w Brzezinach czuła się swobodniej, z tolerancją traktowana przez resztę społeczeństwa wsi. Nawet nawiedzający wieś przedstawiciele władzy, tacy jak policjanci i komisarze, przychylnym okiem patrzyli na tę niewielką społeczność żydowską, zwłaszcza że zwykle byli bardzo gościnnie podejmowani w karczmie Chaima.

W tym miejscu spróbujemy opisać osobę Chaima. Był to człowiek szczupły, średniego wzrostu. Miał typowo semickie rysy twarzy: potężny, przygarbiony nos, duże odstające uszy, głęboko osadzone oczy, które przebiegle i nieufnie patrzyły na każdego nieznanego goja odwiedzającego jego sklep lub karczmę. Chaim na podstawie wyglądu oceniał, co to za typ człowieka i ile można na nim zarobić. Swoich stałych klientów, których słabości i nawyki doskonale znał, traktował dobrze, a nawet udzielał im kredytu, wpisując do zeszytu pobrany przez nich towar. Chaim miał żonę Małkę, syna Arona i córkę Dorę. Chaim był pobożny. Codziennie, po pracy kiwał się nad Talmudem. W Brzezinach nie było synagogi, ale mieszkał tu jeden Żyd po szkole rabinackiej i do jego domu w szabas schodzili się mężczyźni, by wspólnie odprawiać modły. Tenże Żyd miał uprawnienia do przygotowywania koszernej żywności. W innym z żydowskich domów urządzono rytualną łaźnię.

No i jeszcze wspomnijmy o dworze. Położony był daleko od wsi, ale przyjęło się nazywać go Dworem Brzezińskim. Prowadziła do niego długa aleja wysadzana drzewami kasztanowymi, kończąca się na dużym dziedzińcu, na którym stał ogromny budynek drewniany, ale podmurowany. Wielkość tego domu podkreślał wysoki, strzelisty, dwuspadowy dach kryty gontem, u szczytu zwieńczony małą wieżyczką, w której gnieździły

się gołębie. Wejście do domu poprzedzała obszerna, zadaszona weranda. Jej dach wychodzący ze ściany budynku wspierał się na dwóch pięknych kolumnach. Drewniane, ażurowe ściany werandy pokrywały liściaste zielone pnącza, które wchodziły aż na jej zadaszenie, a nawet sięgały dachu budynku. Na drewnianej podłodze stały dwa stoliki i ładne stylowe krzesła. Było to **doskonałe** miejsce na popołudniową herbatkę. Budynek otoczony był zielenią, a po obu stronach dziedzińca mieniły się kolorami i oszałamiały zapachem zadbane rabaty kwiatów. Za dworem, w pewnym oddaleniu, **znajdował** się długi rząd budynków gospodarczych: stodoły, obory, stajnie, szopy, magazyny i drewnitnia. Obok nich stały baraki dla służby obrządzającej gospodarstwo – dobytek i pola uprawne. W środku placu, między domem i budynkami gospodarczymi, była duża studnia. Kwadratowy szyb studni zbudowany był z dębowych bali. Studnia miała **zadaszenie**. Do czerpania wody służył drewniany walec z dwiema korbami, ułożyskowany nad szybem studni. Do walca były zamocowane dwa łańcuchy z wiadrami – jedno wiadro było zanurzone w wodzie studni, drugie wisiało puste przy bębnie. Gdy korbami wprowadzało się w ruch obrotowy walec, jedno wiadro napełnione wodą **szło** do góry, drugie, puste – w głąb studni dla zaczerpnięcia wody. (Budowę tej studni opisuję z uwagi na innowacyjny **sposób** poboru wody – jednocześnie wykorzystanie dwu wiader.)

Obok studni stały dwa długie koryta do pojenia bydła i koni. To była dobra studnia, jakość czerpanej z niej wody była doskonała, co jest rzeczą bardzo istotną. Dobra woda nadająca się do celów spożywczych to olbrzymie dobrodziejstwo.

Wnętrze tego domu było duże i chłodnie. Długi, umeblowany salon sąsiadował z obszerną kuchnią. Za nim znajdowała się sypialnia i pokoje gospodarzy dworu. Na **końcu**, od strony kuchni, dwa kolejne pokoje przeznaczone były dla służby domowej i guwernantki. Na poddaszu zaś trzy pokoje gościnne i magazyn.

Porządek, czystość i przepych rzucały się w oczy. Długi gościnny stół w salonie nakryty był kremowym adamaszkowym obrusem, harmonizującym z beżową tapicerką krzeseł. Nad stołem wisiały trzy żyrando-

le, wyposażone w duże lampy naftowe. Ściany salonu między oknami pokrywały ułożone w fałdy, brokatowe, o odcieniu brązowym kotary, a okna – śnieżnobiałe tiulowe firany, zawieszone przy suficie i sięgające podłogi. Usytuowany na ścianie obok drzwi kuchennych szklany kredens imponował zbiorem porcelanowych, zdobionych złotem naczyń stołowych i sztućców srebrnych. Po obu stronach kredensu na specjalnych półkach stały dwa lśniące, złociste samowary. W okresie zimowym dom był ogrzewany kaflowymi piecami usytuowanymi dyskretnie między pokojami. W salonie drewniana podłoga w kolorze orzechowym froterowana lśniła jak lustro. W podobnym kolorze fortepian stał w końcu salonu. W pokojach były dywany, łóżka, szafy odzieżowe i okna z widokiem na zaplecze dworu.

Gospodarz, Włodzimierz Sobolewski, był mężczyzną silnie zbudowanym. Bujne czarne włosy, mimo młodego wieku przyprószone siwizną, również czarne sumiaste wąsy i niebieskie łagodne w spojrzeniu oczy nadawały twarzy wyraz oryginalny, dobrotliwy i godny szacunku. Na co dzień ubiorem nie różnił się od zatrudnionych u niego parobków. W okresie letnim biała płócienna koszula i także spodnie wpuszczone w cholewy skórzanych butów. W czasie upałów to ubiór najzdrowszy, ponieważ tkanina z lnianego płótna jest przyjazna dla ciała. Był pan Włodzimierz gospodarzem bardzo zaangażowanym w prowadzeniu majątku, nadzorując go, a nawet włączając się przy każdej sposobności bezpośrednio w pracę. Oprócz dużego areалу ziemi uprawnej i łąk w granice jego posiadłości wchodził duży obszar lasu.

W obejściu gospodarskim były krowy mleczne i stado cielici tyrolskich, w stajni cztery konie pociągowe i dwa wierzchowce. Na końcu budynków gospodarczych znajdowały się pomieszczenia i wybiegi dla drobiu i nierogacizny. Były również magazyny, spichrze i komory na przechowywanie suszonej lub solonej żywności. Słowem – wielkie gospodarstwo wymagało zatrudnienia wielu robotników i solidnego nadzoru ze strony gospodarza, właściciela tego majątku. Pan Włodzimierz do snu kładł się wcześniej, a wstawał o wschodzie słońca. Wtedy dziewczyny doły krowy, parobcy czyścili, karmili i poili konie, kwiczały do-



magające się żeru świnie, porykiwało bydło, które po udoju prowadzono do koryt z wodą, a potem gnano na pastwiska. Gdy bydło było już na pastwiskach, a parobcy odjeżdżali do Żydów w Ludwipolu i do Chaima z mlekiem z porannego udoju, pan Włodzimierz szedł do domu na śniadanie. Zwykle jadał je w towarzystwie guwernantki, poważnej matrony – Matyldy Kozłowej. Jego żona Julia, syn Michałek i córka Elżbietka jeszcze spali. Pani Matylda była nauczycielką ich dzieci – tajną nauczycielką, bo uczyła po polsku. Nadzorowała też pracę pracowników kuchni, ustalając z kucharzami dzienne menu i pilnując przestrzegania higieny w kuchni. Właściwie od świtu do nocy miała oko na cały dom.

W nocy dworu i obejścia pilnował stróż Mikołaj. W okresie letnim, kiedy dziki wychodziły z lasu i niszczyły plony, Mikołaj brał strzelbę, dosiadał konia i objeżdżał pola od strony lasu. Często zdarzało się, że padał strzał, tak dla postrachu dzików, ale bywało, że któregoś z nich ustrzelił.

Pani Julia była panią ze sfer arystokratycznych, egzaltowana, czująca odrazę do każdej fizycznej pracy. Nigdy nie akceptowała bezpośredniego zaangażowania jej męża w prace gospodarskie, gardziła prostym ludem. Usilnie nakłaniała męża, aby sprzedał gospodarstwo i przeniósł się z rodziną do miasta, ale pan Włodzimierz słyszeć o tym nie chciał. Gospodarstwo, praca i obcowanie z przyrodą to była jego pasja, a prosty, pracowity lud zatrudniony na jego posiadłości szanował, chociaż wymagał solidnej pracy.

Zainteresowania pani Julii były wielostronne, ale płytkie. Chciała po trosze wiedzieć o wszystkim, co było modne w sferach arystokratycznych na tyle, aby móc odpowiednio znaleźć się w towarzystwie. Ta wiedza dotyczyła obszarów kultury: muzyki, teatru, literatury czy znajomości języków – przede wszystkim francuskiego. Pani Julia miała swoją bibliotekę, co też należało u niej do kanonu obyczajowego. Na półkach było trochę dzieł znanych klasyków. Pani Julia zapamiętała tylko tytuły i nazwiska autorów tych dzieł. Resztę tego księgozbioru stanowiły romanse, kryminały, leksykony, memuary, szarady i horoskopy. Do codziennych zajęć pani Julii, po wcześniejszym porannym makiżu, należało: ćwiczenie gry na fortepianie, leksykonowa nauka słów

francuskich, lektura romansów lub kryminałów, no i wreszcie nadzór nad pracą pokojówek. Opieka i nauka jej dzieci należały do obowiązków guwernantki, to znaczy pani Matyldy, która też kontrolowała pracę kucharzy, jak już wcześniej wspomniałem. Pani Julia unikała kontaktu, a właściwie dyskusji z Matyldą, która nieporównywalnie przewyższała ją swoją erudycją. Pani Julia o tym wiedziała, ale jej arystokratyczna duma nie pozwalała uznać wyższości intelektualnej służby nad panią domu, a do służby zaliczała też panią Matyldę. W przeszłości Matylda była nauczycielem akademickim. Dobrze знаła język rosyjski, polski i francuski, była doskonałym pedagogiem i wychowawcą młodzieży, Wszechstronna wiedza pozwalała jej uczyć przedmiotów humanistycznych i ścisłych. Pani Matylda była płomienną patriotką polską. Jej ojciec zginął jako powstaniec. Ich rodzinny majątek został przejęty przez zaborców, słabego zdrowia matka wkrótce zmarła. Osierocona Matylda zamieszkała u swoich kuzynów w Petersburgu, gdzie ukończyła szkołę średnią, a później uniwersytet. Władze tego uniwersytetu zaproponowały Matyldzie dalsze studia i pracę w tej uczelni, na co się zgodziła. Pracowała więc jako pracownik naukowy i wiodło jej się dobrze. Jako gorąca zwolenniczka walki z uzurpatorem rosyjskim, gdy nadarzyła się okazja, wstąpiła do tajnej organizacji antyreżimowej. Była to organizacja o orientacji socjalistycznej, skupiała głównie konspiratorów narodowości rosyjskiej, ale wśród nich znajdowała się również grupka Polaków. Zasady konspiracji były bardzo ścisłe. Dobór pseudonimów nie pozwalał ustalić płci i narodowości konspiratora. Mimo to policja wpadła na trop tej organizacji i wszczęła śledztwo, w jej posiadaniu znalazła się lista pseudonimów. Organizacja została rozwiązana, a jej członkowie na różne markowane sposoby starali się wyjechać z Petersburga. Podobnie zrobiła Matylda. Jej kuzyn udał się do lekarza narodowości rosyjskiej, ten za łapówkę wypisał świadectwo lekarskie, z którego wynikało, że Matylda Kozłowa jest chora na *czychotkę*, czyli suchoty – jak kiedyś Polacy określali gruźlicę. Lekarz dodał jeszcze, że konieczna jest zmiana klimatu.

Pani Matylda zwróciła się z prośbą do władz uczelni o zwolnienie

z pracy. Świadectwo lekarskie motywowało jej decyzję. Na ostatnim po-  
żegnalnym wykładzie powiedziała studentom, że z powodów zdrowot-  
nych musi opuścić tę uczelnię i wyjechać gdzieś na wieś – zmienić kli-  
mat. Gdy po tym wykładzie szła do swego gabinetu, podeszła do niej stu-  
dentka i poinformowała ją, że w guberni wołyńskiej brakuje nauczycieli.  
Radziła jej wyjazd do pięknej miejscowości Brzeziny, gdzie mieszka jej  
ojciec, tamtejszy pop. Właśnie tam potrzebny jest drugi nauczyciel. Pani  
Matylda skorzystała z tej informacji i przybyła do Brzezin. Nauczyciel  
w rozmowie z nią przestraszył się tak wysokiego wykształcenia kandy-  
datki, mówiąc jej, że na razie nie mają dla niej mieszkania, ale może ze-  
chciałaby udać się do dworu, bo tam potrzebują guwernantki. I tak pani  
Matylda spotkała się z panem Włodzimierzem, jego oferta finansowa,  
a przede wszystkim dobrotliwa, budząca zaufanie twarz zadecydowały  
o przyjęciu przez nią tej propozycji. Natomiast jej spotkanie z panią Julią  
wypadło niekorzystnie, ale pani Matylda nie wycofała się z porozumie-  
nia z gospodarzem, gdyż jako psycholog wnet rozpoznała typ pani domu  
i bez obawy zabrała się do pracy.

Tak duże gospodarstwo wymagało od gospodarza nie tylko nadzo-  
ru, ale i odpowiedniego planowania. Areal jego majątku to sto dziesię-  
cin ziemi ornej i dwieście dziesięcin łąk i pastwisk. Szczególnej rozwagi  
wymagała decyzja zagospodarowania pól pod uprawę zbóż: co zasiać,  
aby po żniwach łatwo było ziarno sprzedać. Włodzimierz musiał badać  
koniunkturę na rynku, aby zaplanować odpowiednie zasiewy zbóż i wa-  
rzyw. Pozyskiwanie zboża odbywało się wówczas powszechnie metodami  
prymitywnymi i pracochłonnymi. Na przykład zboże młócono cepami.  
Gospodarz majątku wprowadził tu innowację, sprowadzając młocarnię  
napędzaną końmi za pośrednictwem kieratu. Integralną częścią urządze-  
nia była wialnia, oddzielająca plewy od ziarna. Czyste, workowane zboże  
odbierali Żydzi kontraktorzy, którzy barkami spławiali towar do najbliż-  
szej stacji kolei żelaznej, a nawet hen, daleko, do Pińska nad Prypecią.

Włodzimierz uprawiał też rośliny oleiste, takie jak rzepak, len i ko-  
nopie. Rzekop jest nie tylko obfitym źródłem oleju, ale jego kwiat posiada  
też obfitość nektaru, podobnie jak w późniejszych plonach gryka, którą



również tu uprawiano. Nektar tych roślin to pożytek dla pszczoł, które Włodzimierz posiadał. Spora pasieka położona była między lasem a polami uprawnymi. Obsługiwał ją stróż Mikołaj z pomocnikiem, a i sam gospodarz zakładał siatkę na głowę i z przyjemnością włączał się do tej pracy. Interesowały go pszczoły nie tylko z tego powodu, że dostarczały miód, ale fascynowało go to niezwykle zjawisko przyrody, czyli zorganizowana praca tych cennych owadów, budowa ich gniazd, specyfika zbioru pożytku (nektaru). Pszczoły to jedyne owady, które w czasie jednego oblotu zbierają nektar tylko z jednego gatunku roślin, przenosząc przy tym pyłek, dlatego są najbardziej efektywnymi zapylaczami. Inne owady, np. trzmiel, siadają na różne kwiaty, tracąc pyłek niesiony z innego gatunku.

Opisany dwór był jednym z nielicznych dworów polskich, ocalałych po carskich konfiskatach w odwecie za powstanie styczniowe. Rodzice pana Włodzimierza mieli protektora w osobie generała Kozaków, który był kuzynem matki Włodzimierza. On swoimi wpływami osłaniał dwór w Brzezinach.

Wróćmy teraz do wcześniej wspomnianych rodzin Różańskich i Lipińskich. Ich wzajemne relacje sąsiedzkie i losy są główną treścią tego opowiadania. Jak cały lud polski w tym regionie, mówili po polsku, zabarwiając swą mowę rusycyzmami w słownictwie i akcencie. Charakteryzowało ich, jak wszystkich tamtejszych Polaków, silne poczucie polskości i wierność tradycjom narodowym, przejawiająca się w przestrzeganiu świąt katolickich i polskich obyczajów. Pozdrawiali się zawsze słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Odpowiedź brzmiała: „Na wieki wieków. Amen”. Swoim katolicyzmem odróżniali się, ale nie był to powód do sporów z sąsiadami, Ukraińcami wyznającymi prawosławie. Obie te grupy etniczne – polska i ukraińska – współżyły z sobą dobrze, a nawet w wielu wypadkach przyjaźnie. Istniały natomiast różnice polityczne. Ukraińcy, szczególnie chłopci, w tamtych czasach w zdecydowanej większości nie odczuwali zbyt silnej tożsamości narodowej. Jako oddzielna grupa czuli swoją przynależność do imperium rosyjskiego. Car był ich idolem i ojcem. Imponowała im jego potęga

i nieograniczona władza. Natomiast rodziny Różańskich i Lipińskich, jak wszyscy w tym regionie Polacy, uważali cara za uzurpatora Polski i jej suwerenności narodowej. Jako prosty lud znali historię nie z literatury, lecz z przekazów rodzinnych. Polskie powstania przeciw zaborcy rosyjskiemu, szczególnie to ostatnie – styczniowe, pozostawiły w sercach Polaków ranę i pragnienie odwetu. Żyjący jeszcze powstaniec Mateusz Lipiński i zmarły na skutek ran zadanych w bitwie Klemens Różański byli symbolem ruchu wyzwolenczego Polaków. Bywało, gdy obie te rodziny spotykały się, a działo się to szczególnie często w późne jesienne i zimowe wieczory, wtedy gdy dzieci już spały, padały pytania do dziadka Mateusza:

– Dziadku, opowiedzcie nam o powstaniu.

Wtedy Mateusz chwycił za cybuch swojej rogowej fajki, nabijał ją machorką, a po przypaleniu jej żarzącym węgielkiem z przypiecka, popykał kilka razy i rozparłszy się wygodnie w swoim fotelu opowiadał:

– Oj, chodzili my chodzili z kosamy, a było nas dwie z połowo setki chłopów. W naszej partyji my zawsze iszli w tyle, a przed nami powstańcy ży strzelbami i rewolwerami, a gdzie niektórzy karabinami, oni mieli też szable, a na samym przodzie chłopaki na koniach. Mieli oni szable piki, a niektórzy karabiny i rewolwery. Oni, znaczy się te na koniach, pierwsze szli do ataku na Moskalów, a za nimi te, co napiechote. Jak oni nie poradzili sobie, to my kosami pomogli. Oj, bali się Moskale naszych kos, bali się... – I dalej opowiadał Mateusz: – Jak my jednego razu iszli na Moskale, ali oni byli jeszcze daleko od nas i wieczorem zatrzymali my się dla odpoczynku na polanie w lesie, żep tam spędzić noc. Rozpalili my ogniska, pojedli to, co kto miał. Przed snem przódzy odmówili my modlitwę, a potem na stojąco odśpiewali pieśnię *Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej*. Wszystkie my śpiewali, nasz głos niesło przez las, a nam płynęły słowa z oczu.

Tu Mateusz zamilkł, jak gdyby przeniósł się do tej chwili i słuchał echa tego wzruszającego śpiewu. W końcu przetarł rękawem oczy i nos, zaciągnął się dymem z fajeczki i prawił dalej:

– A teraz ja wam powiem, jak my zatrzymali Moskale, które w wielkiej sile iszli na zachód wołyńskiej guberni. Oni już zbudowali sobie most na Słuczy i dalej na zachód, na Horyniu, żep mogło przejść ichnie woj-

sko. My spalili jym ten most na Słuczy i wybili kozaków, które pilnowali most. Niedaleko od szlachu, którym my spodziewali się nadyjścia Moskali, był las, my w nim cicho siedzieli i czekali Moskali. Nasze rozwiatki donosili, że oni idą w dużej sile. Przez noc naszło ich bardzo dużo. Zatrzymali się przy Słuczy i robili most. Oni nie wiedzieli, że my leżymy w lesie. Jak nadyjśzet świt, ichnia rozwiatka nas odkryła i u Moskali zrobił się ruch. Nasz komendant wyprowadził z lasu nasze jazde i dał im na czoło naszej partyji. Oni pierwsze poszli do ataku. Za nimi biegła nasza piechota. Tylko nam, kosynierom kazano leżeć i czekać rozkazu. Nasze chłopaki tak ostro uderzyli na Moskali, że chociaż ich było więcej, cofali się w pierwszym naszym ataku. Ależ potem zebrali się i parli naszych, które walcząc cofali się do lasu. Moskałe chcieli naszych zejść od tyłu. Z prawego skrzydła wyszło na koniach kilka setek Kozaków. Pędzili jak wiatry, żeby odciąć naszych od lasu. Ależ jak doszli do lasu, musieli spytać ichnie koni, bo krzaki i drzewa. Oni nic nie wiedzieli, że my leżymy na brzegu lasu. Tak my zerwali się na nogi i uderzyli na nich. Na poczontku oni zawracali koni i chcieli nas spytać, ależ kudy im. My wszystkie wbiegli między nich i zaczęła się straszna kłóśba. Póki Kozak krótko szable dostał naszego, on swoję długo koso przejechał jego po szyji. Jak nie dało się dostać Kozaka, to koso rozcinali my brzuchy ichnich koniom. Strach obleciał Kozaków i uciekali oni na boki, a my parli do przodu, aż doszli my do naszych walczących piechociarzy i pomogli im pognać Moskali. To była nasza wygrana bitwa. Moskałe kupkami uciekali w różne strony, a my zajęli się naszymi rannymi i zabitymi. W innych naszych bitwach było trudniej. My nie mieli dosyć karabinów tak jak oni – Moskałe. Nas było mało, a Moskali coraz więcej.

Wszyscy w napięciu i ciszy słuchali dziadka Mateusza. Słyszało się tylko westchnienia, w oczach mężczyzn ukazywały się błyski emocji, a u kobiet łzy.

Gdy dziadek umilkł, w izbie zapanowała cisza. Wszyscy siedzieli za myśleni. Słabo tliła się lampa naftowa, na przypiecku bulgotała jakaś gotująca się strawa, a pod piecem miarowo cykał świerszcz.

Wreszcie pierwszy Walerian głęboko westchnął i rzekł:

– I nic ni słychno, ni widno kiedy nadyjdzie czas, ży nazad będziemy mieli Polskie takie jak kiedyś ona była – od morza du morza i byz Moskali, które odyjdo tudy skont ony przyszli.

– Nadyjdzie taki czas! – zawołał dziadek Mateusz, którego słowa Waleriana pobudziły. – Na pewno nadyjdzie, bo naród polski pamięta, kim był. Myż mieli wielkich królów i hetmanów. Bali się nas ruskie, pruskie, tatarskie i tureckie napastniki. Osobno Turki, które mieli największe siłę, chcieli przejść przez Polskie i insze kraje, żep dostać się do Rzymu i zabić czy wziąć w jasyr naszego papieża, aliż nasza huzaria dała jim tako nauczke, co do dzisiaj pamiętajo. Za to mówiono na Polskie „Przedmurze chrześcijaństwa”. Nasze wrogi zobaczyli, ży siła Polski ni pokonajo. I tak zaczęli pocichu zasiwać nizgode między Polakamy. Najlepij udało się to robić ruskim. Ony wiedzieli, ży siła Polaków w jedności leży. Zaczeli tumanić i obmianiać naszego króla, panów i szlachte różnymi obiecankamy. Byli takie u nas, co jim wierzyli i zaczęli się swarzyć, ni było już jedności w naszym narodzie, a jak nima jedności, nima tyż siły. I tak popadli my w niewole. Nasz kraj zajeli Ruskie, Prusaki i Austryjaki. Prawda, ratował nas Kościuszko, ratowali powstańcy listopadowe, nu i te ostatnie, które zaczeli w styczniu 1863 roku. To tyż prawda, ży wszystkie ony przegrali, aliż pokazali, ży choć udało się wrogom zawojować Polaków i my popadli w niwole, to nigdy ni złamali naszego ducha i przyjdzie taki czas, ży Polaki zawojujo swoich wrogów i Polska nazad będzie. Pomoże nam nasza świen-ta katolicka wiara i Matka Boska, ot co! – zakończył dziadek Mateusz.

Przemówienie Mateusza wszystkim dodało animuszu. Towarzystwo wyraźnie się ożywiło. Mężczyźni prostowali się i podkręcali wąsa.

– My jym jeszcze pokażemy, jak Polak bije.

Wzruszone kobiety fartuchami wycierały łzy. Wreszcie Walerianowa zawołała:

– Nu, to czykajcie, ja wgoszcze was goroncymy pampuszkamy, które ja dzisiejszego wieczora upiekła.

Po tych słowach gospodyni chwyciła kociubę, rozgarnęła nią żarzące się węgle na przypiecku i za pomocą tejsze kociuby wysunęła z pieca dwie duże blaszane tace dymiących jeszcze i pachnących pampuszek

(pampuszki to popularne na Wołyniu duże pyzy z tartych kartofli i cebuli z dodatkiem jaj i mąki, niekiedy nadziewane serem). Zawartość tych blach wysypała do stojącej na stole makutry, a obok postawiła talerz śmietany, po czym zaprosiła wszystkich do częstowania się tym przysmakiem. Biesiadnicy sięgali po pampuszki w makutrze, maczali je w śmietanie i jedli. Teraz słyhać było łakome mlaskanie i zapraszanie gospodyni, która dolewała śmietany i mówiła:

– Jydzcie, jydzcie!...

Takie spotkania międzysąsiedzkie odbywały się często i nazywano je „wieczórkami”, dlatego że zawsze odbywały się wieczorem. Tematy spotkań były różne, czasami wymieniano doświadczenia czy porady w przedmiocie uprawy ziemi lub hodowli zwierząt, zwłaszcza krów, będących karmicielkami, jako że nabiał był głównym produktem spożywczym w rodzinach. Często „wieczórki” miały charakter rozrywkowy. Opowiadano gawędy, żartowano, a nierzadko śpiewano, i to nie tylko polskie pieśni, ale również rusińskie dumki. Bracia Lipińscy byli muzykantami, Władysław grał na skrzypcach, a Kazimierz był doboszem, ktoś inny przygrywał na harmonii. Bywało, że zapraszano więcej sąsiadów, wówczas kapela braci Lipińskich przygrywała do tańca. Bawiono się wesoło. Taki radosny nastrój był całkiem naturalny, bez środków dopingowych, takich jak alkohol, który można było nabyć w karczmie, ale nie leżało to w ówczesnej kulturze obyczajowej. W czasie zabaw nie pito alkoholu. Zdarzało się czasami niezwykle widowisko, a to wtedy, gdy Brzeziny odwiedził Sawko kataryniarz. Był to wędrowny dziad, kataryniarz, gawędziarz i śpiewak, podstarzały, z długą siwą brodą, ale krzepki jeszcze i posiadający silny głos. Kręcąc korbką, uruchamiał katarynkę, z której płynęła muzyka. Były też jeszcze inne atrakcje związane z kataryniarzem. Na jego katarynce siedziała bowiem papużka, która po każdej wrzuconej do skarbonki monecie wyciągała los, a Sawko wyciągał ze swojego worka fanty. Zwykle ten wędrowny bajarz śpiewem wygłaszał różne legendy i baśnie ludowe, budząc wielkie zainteresowanie całej wsi, a nawet dworu, który też odwiedzał. Płynnie mówił językiem ludowym tamtejszych Polaków, Rusinów i Rosjan. Nie ustalono jego narodowości.



Gdy znalazł się wśród Polaków, twierdził, że jest ich rodakiem, gdy był wśród Rusinów, utożsamiał się z nimi. Jedynie z jego pieśni wynikało, że bardziej czuje się Polakiem.

Reżim rosyjski ze szczególną uwagą śledził i represjonował wszelkie przejawy zachowań wyzwolenńczych Polaków. Za patriotyczne treści można było trafić na Sybir. Uczucia narodowe łatwiej było pobudzić pieśnią. W swoim repertuarze Sawko miał takie pieśni, które poruszały patriotyczne struny w Polakach, ich marzenia i nadzieję, a także pamięć poniesionych ofiar. Nie mógł wyrazić tego wprost, jego pieśń mówiła o innym narodzie, z innego kontynentu, którego tragiczne dzieje były porównywalne z polskimi. Słuchając tej pieśni, Polacy los tamtego kraju kojarzyli ze swoją zniewoloną ojczyzną. Ekspresja i żarliwość wykonawcy były przejmujące. Takie spektakle Sawki ciągnęły się do późnego wieczoru. Potem częstowano go kolacją i jeżeli było to lato, noc spędzał gdzieś w stodole na sianie. W innej porze roku udzielano mu noclegu w domu, najczęściej na ciepłym piecu chlebowym.

Uzupełniając spotkania wieczórkowe, nie można pominąć prząśniczek. Wówczas powszechnie uprawiano len, z którego pozyskiwano siemię przeznaczone na olej. Z łodyg lnu, po odpowiednich zabiegach, otrzymywano przędzę, którą kobiety ręcznie przędły i z tych nici lnu tkano płótno na odzież, głównie na bieliznę osobistą i pościelową.

Bardzo miłe były te wieczórkowe spotkania prząśniczek. Każda przynosiła kądziel i wrzeciono. W dużej izbie siadały w krąg i lewą ręką skubiąc lnianą kądziel, palcami prawej pokręcały wrzeciono, które z włókien kądzieli zwijało nić. Gdy nić miała około metra długości, była zwijana na wrzecionie. Zwabieni obecnością dziewcząt, przychodzili chłopcy. Wtedy w czasie wieczórek robiło się wesoło. Dziewczyny przędły, ale też zerkwały na chłopców, ci zaś płatali im różne figle: pociągali za warkocze, szczypali, straszili. Reakcją dziewczyn na to wszystko był pisk i śmiech. Bywało, że ktoś ze starszych wystąpił z jakimś ciekawym opowiadaniem, ale najczęściej śpiewano, i to nie tylko polskie piosenki, ale też rosyjskie i ukraińskie dumki. Był to taki pracowity i radosny sposób spędzenia wieczoru.

Wieczórkowe spotkania stwarzały okazję do zadzierzgnięcia się sympatii i kojarzenia par. Kazik Lipiński zapalał wielkim afektem do młodziutkiej Marty Różańskiej. Zachowanie dziewczyny też wskazywało na to, że miała się ku niemu. Przy każdym odwiedzinach Kazika w domu Różańskich twarz Marty płonęła jak róża, ogarniała ją jakaś tajemna słabość i błogi lęk, a powieki z długimi ciemnymi rzęsami przykrywały jej duże piwne oczy. W takich sytuacjach zwykle chwytła się jakiejś pracy. Gdy Kazik zwierzył się swoim rodzicom, że kocha Martę (mówiło się wtedy „lubi”), zdumiony ojciec Jan zawołał:

– Gdzieś ty, synku, udużał, toż to jeszcze młódka, w niej dopiero szysnaście lat. Ty mówisz, ży jo lubisz, a ja ni wim, czy ona ciebie lubi. Ni bońdź taki zahonysty, poczekaj, chaj ona duśpieje i poznij zobaczysz.

Słowa ojca nie przekonały Kazimierza. Jego męska intuicja mówiła mu, że on jako kawaler nie jest obojętny Martynce, a może nawet ona go lubi. Postanowił oświadczyć się jej i zapytać, czy chciałaby zostać jego żoną. Miłość nie lubi zwlekania. Postanowił, że jutro wczesnym rankiem uda się na spotkanie z Martynką.

Jakoż przy porannym udoju zjawił się przed oborą Różańskich, w samą porę, gdy Martynka ze szkopkiem mleka wychodziła z obory. Chłopak stanął przed zaskoczoną i skonfundowaną jego obecnością dziewczyną. Po powitaniu: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i jej odpowiedzi stali chwilę w milczeniu. On, zachwycony jej urodą i przejęty wzniosłością chwili – swoich oświadczeń, ona przejęta i drżąca z powodu niespodziewanego spotkania. Wreszcie on głęboko wzruszony przemówił:

– Martynka, ja ciebie lubie i chciałby ja, żep ty stała mojo żono. Co ty na to, Martynka!?...

Purpurowa twarz dziewczyny pobladła, a szkopek wypadł z jej ręki i długą strugą polało się mleko jakby symbol, że oto w ich życiu stało się coś bardzo ważnego o nieodwracalnych skutkach. Ku zaskoczeniu Kazimierza Martynka zamiast odpowiedzi wróciła do obory, usiadła na snopku słomy i rozpłakała się. Kazik ukląkł przy niej i spytał:

– Martynka, co z tobo, czy ty mnie nie lubisz i nie chcesz być mojo żono, jaż ciebie bardzo lubie.



– Ja ciebie też, aliz ja bede bojała się mówić za to mamie i tatкови.

Kazimierz, który był już dojrzałym i mądrym mężczyzną, zrozumiał, że to dziewczę żyje jeszcze w cieple matczynej kurateli, czyli na poły jest kobietą, na poły dzieckiem jeszcze. „Mój tatko miał rację”, pomyślał. Ucałował dziewczynę w czoło i rzekł:

– Martynka, ot ja rozebrał tera, ży ty jeszcze ni duśpiała do tego, żep odyjść od mamy, tyż jeszcze młodziutka. Ja ciebie lubie i bede czekać, aż ty duśpiejesz i powisz mnie, ży mogie pójść du twego tatka i mamy po-prosić jich, żep dali mnie ciebie za żone.

I jeszcze raz Kazik ucałował czoło Martynki. Ona zaś spojrzała na niego oczyma ze śladami łez z wdzięczną ufnością i chyba kielkującą miłością. Kazik jeszcze chwilę z przejmującym zachwytem patrzył na ukochaną i odchodząc powiedział:

– Zostań z Bogiem, Martynka, i pamiętaj ży ja zawsze twój.

Po tych oświadczeniach Kazimierz nadal odwiedzał dom Różańskich. Głównym powodem tego była Martynka, na którą pragnął popatrzeć.

Nadszedł dzień, a właściwie noc Kupały, ten odwieczny zwyczaj ludów słowiańskich: święto ognia, wody, słońca, księżyca, urodzaju i płodności, radości i miłości. Lud ukraiński celebrował tę noc z wielkim romantycznym pietyzmem, angażując w to całe swoje bogactwo folklorystyczne. Święto to wypada w czerwcu, w noc świętojańską, najkrótszą noc w roku. Wszystko odbywa się na wodzie. Młodzież ukraińska w swoich barwnych strojach ludowych płynęła na łodziach słuczą, śpiewając. W cichy, pogodny wieczór czerwcowy ten piękny, harmonijny śpiew niesło daleko, przez wieś, aż do dworu i dalej. Po jednej stronie rzeki zgromadzili się ludzie – widzowie tej imprezy, po drugiej parami szła młodzież, niosąc wieńce z palącymi się na nich świeczkami. Środkiem koryta rzeki płynęły łodzie, a na nich młodzież, też z wieńcami i płonącymi świeczkami. W nocnym mroku widowisko było niezwykle. Rzędy płomyków świec niesionych po drugiej stronie rzeki i tych z płynących łódek odbijały się w toni rzeki, tworząc urzekającą iluminację świetlną, a przy tym ten przejmujący swoją harmonią śpiew i okrzyki „Kupała, Kupała!”... W pewnym momencie

wszystkie te wianki ze świeczkami zostały puszczone na wodę, tworząc niesamowity rój jarzących się świętojańskich ogni. To było apogeum obrzędu, który zakończył ogólny śpiew z udziałem widzów. Na ten wieczorny spektakl Kazimierz udał się z Martynką i jej starszym bratem Romanem. W tłumie widzów stali nad brzegiem rzeki. Martynka między bratem i Kazimierzem. Byli ściśnięci w tłumie. Dziewczynę lewym bokiem przyciśniętą do Kazimierza opanowało władcze uczucie, które zdominowało wszystkie inne jej pragnienia. Fizycznie i duchowo czuła bliskość tego chłopaka, który od dawna wzbudzał jej zainteresowanie i dziewczęce intymne marzenia. Budziła się w niej natura dojrzalej kobiety, trwał proces narodzin wielkiej miłości...

On też był w ekstazie: czuł bezpośrednią bliskość ciała ukochanej, jej ciepło i szybko bijące serce. Owładnięty uczuciem wielkiej miłości, prawą ręką delikatnie objął kibić dziewczyny. W odpowiedzi ona uniosła głowę i spojrzała na niego. W tym spojrzeniu były miłość, ufność i oddanie. I chociaż nie padły żadne słowa, Kazimierz zrozumiał, że upragniony przez niego obustronnie dojrzały miłosny mariaż rozpoczął się.

Wracali do domu Martyny sami, Roman gdzieś się zagubił. Kazimierz, idąc, trzymał Martynkę za rękę. Gdy w nocnej ciemności zbliżali się do domu Różańskich ścieżką wiodącą przez przydomowy sad, Kazimierz zatrzymał się i stając naprzeciw dziewczyny spytał:

– Martynka, powiedz mnie tera, czy nastał czas, żep ja mók spytać twojo mame i tatka za to, czy ony zgadzajo sie, żep ty stała mojo narzeczono, a poznij żono?

I z niepokojem oraz niepewnością czekał chłopak odpowiedzi. Martynka chyba spodziewała się takiego pytania, gdyż nie chcąc przedłużać oczekiwania chłopca, przytuliła się do niego i cicho powiedziała „tak”. Słowo to zabrzmiało w duszy chłopca jak najwspanialsza symfonia tej cudownej nocy... Porwał w swoje silne ramiona Martynkę i z całej siły przytulił ją do siebie. Ich usta zwały się w rozkosznym, dawno upragnionym pocałunku. Symbol ongiś rozlanego mleka miał swój finał, czyli potwierdził się. Wszli do domu, rodzice jeszcze nie spali, bo któż by spał tej świętojańskiej nocy?... W izbie paliła się lampa naftowa. Po wymianie

kilku słów, pytań i odpowiedzi Kazimierz podszedł do siedzących rodziców Martynki, nisko im się uklonił i rzekł:

– Ja, Kaźmirz Jabłoński, dobrze wam znany, lubie wasze córki Martynkie i pokornie proszę Was, żep ona stała mojo narzeczono, a poznij żono.

Zaskoczeni Różańscy spojrzeli po sobie, po czym ojciec Walerian zwrócił się do Kazimierza:

– A nu, Kaźmirz, powic nam jeszcze raz, bo ja dobrze nie rozebrał, co ty chcesz.

Kazimierz powtórzył prośbę.

– My bardzo by chcieli Jabłońszczuka za zięńcia – rzekł Walerian. – Aliż w jij jeszcze sidymnaście lat ni ma, a podrugie, ja ni wim, czy ona ciebie lubi i chce stać twojo żono.

I zwrócił się Walerian do córki:

– A nu podejdz du nas, Martynka.

Bardzo skonfundowana dziewczyna z płonąłą twarzą podeszła do rodziców.

– Gadaj tera nam, czy ty jego lubisz i chciałaby stać jego żono?

Przykrywając twarz dłońmi, dziewczyna skinęła głową i cicho rzekła „tak”. W tej sytuacji Walerian zwrócił się do swej żony:

– Jak widno, Ludwiko, my powinne jich pobłogosławić? Co ty na to?

Wzruszona twarz Ludwiki wyrażała aprobatę, toteż w odpowiedzi mężowi skinęła głową. Kazimierz z Martynką uklękli, a oboje rodzice uczynili znak krzyża. Po czym Walerian zdjął zawieszony na ścianie obraz Matki Boskiej i dał do pocałowania młodemu, którzy uczynili to z wielkim nabożeństwem. Po tej uroczystej ceremonii ojciec rzekł:

– Znaczy się od tera stali wy narzeczone. Kiedy bedzie wasz szlup, powicie nam rani, jak dacie na zapowiedzi, żep my uśpieli przyszykować wesele. Jedna u nas docia, to i na wesele niczego ni poszkoduje, musi być takie, żep ludzi gadali: wesele było niczego sobie.

W taką to uroczystą Noc Świętojańską odbyły się upragnione oświadczenia Kazimierza. Mówiło się też „zaręczyny”.

Obie rodziny nie trzymały tego w tajemnicy. Wkrótce cała wieś wiedziała, że Kazimierz i Martynka są narzeczeństwem. Zazwyczaj taki stan związku młodej pary trwał do jednego roku, a nawet więcej. W tym czasie młoda para chodziła z sobą, poznawała się. Ich wzajemne stosunki intymne były głębią wielkiego szczęścia i miłości, ale miały granice. Te granice miały głęboki sens nie tylko etyczny, ale też praktyczny. Gdyby w tym okresie stwierdzili, że są jakieś przeszkody, np. że ich miłość to przejściowe zauroczenie albo ich charaktery mogą być przyczyną, że małżeństwo będzie udręką, mogli spokojnie cofnąć dane sobie słowo i zrezygnować z małżeństwa. Dlatego ówczesne pary wchodzące w związek małżeński w ogromnej większości były czyste swoją dziewiczością, co w obliczu nierozzerwalności związku sakramentalnego miało fundamentalne znaczenie.

Na powszechność tych zasad miały wpływ mądrość minionych pokoleń, tradycja i rodzina. Zdecydowana liczba rodzin pod względem cywilizacyjnym była prymitywna, ale ten prymitywizm nie wykluczał mądrości życia w warunkach, w jakich przyszło im żyć. Rodzice, aczkolwiek prości, niewykształceni ludzie, potrafili myśleć perspektywicznie i odróżniać dobro od zła w świetle wyznawanej wiary chrześcijańskiej. Dziesięć Przykazań Bożych było odmawianych w każdym porannym i wieczornym pacierzu. W tym kierunku wychowywali swoje dzieci, a formując ich charaktery, kładli nacisk na wierność zasadom i odpowiedzialność życiową. Przestrzeganie tych zasad potwierdzali przykładem swojego życia. W sukurs rodzicom przychodziły Kościół i szkoła. Okoliczności, w których tych wartości nie przestrzegano, było mało i ich wpływ na dzieci i młodzież nie był znaczący. Główną rolę wychowawczą odgrywały autorytety: rodzice, księża i nauczyciele, także organizacje młodzieżowe, takie jak harcerstwo.

Na terenach, na których rozgrywa się akcja opowiadania, wpływ na formowanie się postaw dzieci i młodzieży miała też otaczająca wszechobecna natura. Rządziła się ona swoimi niezmiennymi prawami, przez Stwórcę dana człowiekowi pod opiekę i będąca źródłem jego egzystencji. Dlatego jej pożytki nazywano darami Bożymi. Zatrudniane do po-

mocy w gospodarstwie dzieci pomagały rodzicom w pielęgnacji dobytku i pól rolnych. W ten sposób obcowały z naturą, uczyły się pracy i odpowiedzialności. Ważną rolę odgrywały posty. W piątki nie jedzono mięsa i tłuszców zwierzęcych. Podobnie w Adwencie i Wielkim Poście. Dotyczyło to też dzieci i młodzieży. Posty ćwiczyły charaktery i wdrażały cnotę wstrzemięźliwości. Ówczesna dyscyplina przestrzegania zasad była żelazną formułą obyczajową. Tak przygotowany młody człowiek był gotów do odpowiedzialnego założenia własnej rodziny.

\*

Życie religijne Polaków w Brzezinach koncentrowało się wokół dużego krzyża stojącego na obrzeżu środkowej części wsi. Tam odbywały się majowe nabożeństwa i okolicznościowe modły. Krzyż zawsze był udekorowany wieńcem i kwiatami. Brzeziny należały do parafii ludwipolskiej, gdzie znajdowała się kaplica i był ksiądz. Z Brzezin do Ludwipola było około 10 kilometrów. Można było tam dojechać piaszczystą i błotnistą drogą lub dopłynąć Słuczą. Te warunki komunikacyjne bardzo utrudniały udział brzezinian w nabożeństwach w parafialnej kaplicy, jednak mimo tych trudności w niedzielę i święta wielu pieszo lub końmi udawało się tam, żeby wziąć udział we mszy św. Księżda proboszcza przywożono do Brzezin w wypadkach nadzwyczajnych, np. do chorego, a także w okresie Bożego Narodzenia na kolędę. W okresie zaboru rosyjskiego, gdy nauka języka polskiego była zakazana, silny związek z Kościołem katolickim pozwolił Polakom zachować tożsamość narodową. Ksiądz spowiadał i wygłaszał kazanie w języku polskim, zachowały się też jeszcze modlitewniki w języku rodzimym, a były one jedyną legalną literaturą polską. W tych czasach słowo „katolik” znaczyło „Polak”.

Na Wołyniu, koło Stepania, w miejscowości Kazimierka znajdowało się sanktuarium maryjne. Do Madonny Kazimierskiej ciągnęły pielgrzymki ze wszystkich stron Wołynia. Po żniwach proboszcz parafii w Sarnach, gdzie był dekanat, organizował pieszą pielgrzymkę do Kazimierki. Udział w niej wzięły inne parafie, także ludwipolska. Narzeczeństwo Kazimierz i Martynka ofiarowali tę pielgrzymkę w inten-

cji ich małżeństwa. Pielgrzymi szli drogami, a na ziemi wołyńskiej były to najczęściej drogi piaszczyste i błotniste. Niosąc obuwie, szli boso. Na czelu w białej komży siedł ksiądz, a przy nim młodzieniec, również w komży, niósł duży krzyż. Następnie dziewczyny niosły chorągiew z wizerunkiem Matki Bożej, a za nimi ciągnęły długie rzędy pielgrzymów. Pochód zamykały dwie konne furmanki wiozące różne bagaże, środki pomocy sanitarnej i w razie potrzeby transportujące pielgrzymów, którzy zasłabli.

W ciągu pierwszego dnia pielgrzymi dotarli do Stepania nad Horyniem. W sąsiadującej z tym miasteczkiem wsi spędzili noc w stodołach na sianie i wczesnym rankiem, po umyciu się w Horyniu, na czczo wyruszyli do Kaźmierki, by zdążyć na poranną mszę i skorzystać z sakramentu pokuty. Mieli jeszcze do przebycia około ośmiu kilometrów. Ostatni odcinek drogi, około stu metrów, pielgrzymi przebyli na kolanach, śpiewając pieśń maryjną. Zwykle przybywało tam wiele pielgrzymek. Nie wszyscy mogli pomieścić się w kościele, większość wiernych wysłuchiwała mszy na zewnątrz świątyni. Wokół świątyni księża, siedząc na krzesłach, spowiadali wiernych.

Po mszy organizatorzy wprowadzali do świątyni poszczególne grupy, by mogły one adorować wizerunek Madonny. Gdy przyszła kolej na adorację pielgrzymów z Sarn, Kazimierz i Martynka klęczeli obok siebie i wpatrzeni w cudowny obraz z wiarą i nadzieją polecali swój los Kazimierskiej Madonnie...

Kaźmierka to przede wszystkim sacrum, ale też widowisko pozareligijne. Przed kościołem był ogromny plac na postój furmanek i rozległy kiermasz. Był tam duży wybór towarów. Jako ciekawostkę warto odnotować, że oferowano tam ręcznie pisane po polsku i pięknie oprawione książeczki do nabożeństwa. To było taki polski sposób obejścia rosyjskiego zakazu wszelkiego druku w języku polskim.

Kazimierz kupił swojej dziewczynie piękne korale, a swoim mamom oboje kupili barwne chusty na głowę. Z przejęciem patrzyli na dwa długie szeregi dziadów, żebraków. Wszyscy oni modlili się i lamentowali, wyciągając ręce po datki. Dwóm z nich nasza młoda para rzuciła jakieś kopiejki z prośbą o modlitwę za poległych powstańców.



Wieczorem pielgrzymi udali się do wsi, w której ostatnio spędzili noc, tam ponownie odpoczęli, by na drugi dzień wrócić do swojej parafii. Ten powrotny marsz, z przerwami na krótki odpoczynek, trwał cały dzień i był już mrok, gdy bardzo utrudzeni dotarli do Ludwipola. Tu spędzili noc w stodołach u okolicznych gospodarzy, by rano wyruszyć do Brzeziny.

Pielgrzymki były wyrazem głębokiego zakorzenienia wiary katolickiej w sercach Polaków. Łączył się z tym narodowy patriotyzm. Silny związek między tymi dwiema wartościami był warunkiem przetrwania tożsamości narodowej Polaków, mimo wrogiej presji antypolskiej ze strony zaborcy rosyjskiego.

\*

Był schyłek lata. Zboże znajdowało się już w stodołach, a na ługach stały wysokie stogi siana. Puste gniazda bocianie zwiastowały zbliżającą się jesień i pracowite wykopki kartofli. Sadzono ich tu dużo, jako że były podstawowym pożywieniem dla ludzi i zwierząt hodowlanych.

Na polach wyżej położonych sadzono kartofle pod pług. Pługiem też wyorywano je podczas zbiorów. Na terenie niżej położonym, podmokłym sadzono kartofle na grzędach. Rowy między grzędami odwadniały je i kartofle pielęgnowane, odchwaszczane znakomicie się udawały. W tym wypadku wszystko wykonywano łopatą i motyką (haczką). Wysuszone po wykopkach kartofle gromadzono na zimę w specjalnych lochach lub kopcach. Łęty (łodygi) kartofli po wykopkach spalano. Wieczorami czuło się tę charakterystyczną woń spalanych łęt, która przypominała, że oto jest jesień. Mówiły o niej też klekocące po wsi międlice, na których kobiety międlili len i konopie.

Kazimierz pracował wraz z Martynką i jej bratem Romanem na polach należących do Różańskich. Pracy było dużo. Trzeba było wywozić na pole gnój (obornik), rozrzucać go i zaorywać, czyli jak mówiono: „robić jesienne podorywki”. Oboje rodzice traktowali Kaźmirza jak syna i przyszłego zięcia. Jadał on z nimiienne posiłki i dopiero na nocny odpoczynek wracał do swego domu po drugiej stronie Słuczy.



Cotygodniowe jarmarki w Sarnach jesienią ożywiały się. Gospodarze wieźli tu do sprzedania płody rolne, wieprze i drób, prowadzili przeznaczone do sprzedania konie i bydło. W zamian można było kupić odzież zimową, obuwie, różne kosze, beczki i balie. Kręciło się tu dużo Żydów – kupców, dla których jarmarczny targ był żywiołem. I tylko dojazd był problemem. Poprzez błotniste i piaszczyste drogi konie z trudem ciągnęły załadowane wozy. Znacznie lepiej radziły sobie parami spięte woły. Z Brzezin do Sarn na jarmark płynęły Słuczą duże łodzie załadowane workami zboża i kartofli. Tak Żydzi transportowali towary zakupione we dworze i u drobnych gospodarzy.

Późną jesienią u wielu gospodarzy, a też we dworze odbywało się świnobicie. Hodowano wieprze słoninowe. To znaczy, że decydowano się na ubój wieprza wtedy, gdy jego grzbiet obrósł grubą słoniną. Po wyprowadzeniu na dziedziniec zwierzę zabijano w taki sposób, żeby krew pozostała w klatce piersiowej. Długą szczecinę wyskubywano w celu sprzedaży jako surowiec do produkcji szczotek, pozostałą opalano płonąca słomą. Po dokładnym opaleniu szczeciny spalone resztki zeskrobywano nożem. Na rozgrzane płomieniem z płonącej słomy cielsko wieprza lano wodę i za pomocą kosy, trzymając ją oburącz, skrobano opaloną skórę zwierzęcia aż stawała się żółta i czysta. Tak umytego i oskrobanego wieprza wnoszono do kuchni, gdzie najpierw otwierano mu klatkę piersiową i wybierano do czystego naczynia krew, której później używano do robienia kaszanki. Teraz odzierano cielsko ze słoniny, cięto ją w pasy, a następnie na kwadratowe kawałki i obficie osolone wkładano do dębowej beczki. Podobnie konserwowano wieprzowe mięso – obficie osolone i złożone do beczki wypuszczało z siebie resztki krwi, która zmieszana z solą tworzyła ropę, zanurzone w takiej zalewie mogło leżeć kilka miesięcy. Przed użyciem należało je dokładnie wymoczyć. Robiono też tak zwane „maćki”. Żołądek wieprza rozcinano i wywracano. Zdzierano i wyrzucano do odpadów warstwę wewnętrzną, zaś do żołądka dokładnie umytego ładowano osolone i nadziane czosnkiem mięso wieprzowe. Po wypełnieniu żołądek zaszywano i na długim sznurku wieszano na strychu domu. Wisiał tam całą zimę. Sól, która wykrystalizowała się

na całej powierzchni maćka, chroniła go od much i insektów. Po takim sezonie przyniesiony do kuchni i otworzony napełniał wspaniałym aromatem cały dom.

\*

Zima roku 1913/1914 była mroźna i śnieżna. Już w pierwszej połowie grudnia spadło dużo śniegu i mróz był trzaskający. Przymiotnik „trzaskający” wynikał z tego, że przy bardzo niskiej temperaturze w lesie z trzaskiem pękały pnie drzew. W takich ostrych warunkach i scenerii ośnieżonego świata obchodzono święta Bożego Narodzenia. Kolację wigilijną, którą zwykle obie rodziny spędzały razem, urządzono w domu Lipińskich. Wszystko odbyło się zgodnie z tradycją. W dużej izbie stał stół, pod białym obrusem warstewka siana, a w rogu izby snop zboża. Była też jarząca się płonącymi świeczkami choinka i dwanaście postnych potraw na stole. Pamiętano również o jednym wolnym krześle dla ewentualnego gościa. No i o opłatku, łamano się nim i składano sobie życzenia. Do stołu zasiadano ochoczo, gdyż w dzień wigilijny powstrzymywano się od posiłków, a stół obfitował w różne kulinarne przysmaki, których aromat kusił i zapowiadał wielką ucztę.

Po kolacji planowano wyjazd na Pasterkę do Ludwipola. Było do pokonania w tę śnieżną, mroźną noc około 10 kilometrów, ale że Msza Pasterska zaczynała się o godzinie 24.00 – można było zdążyć na ten czas. Mężczyźni przygotowali sanie „dwojaki”, wymościł je słomą i baranicami, a w zaprzęgu stała para pięknych koni. Na saniach zajęli miejsca: Jan Lipiński z żoną Marią, ich córka Kasia, Kazimierz z narzeczoną Martynką i brat Martynki Roman. Władysław powoził saniami.

Wypoczęte konie rwały się do biegu, niecierpliwie grzebały kopytami, rzucały w górę łbami, powodując srebrzysty jazgot dzwoneczków, tzw. „janczarów”, zawieszonych na ich szyjach. Śnieg leżał grubą warstwą, ale droga była już przetarta przez inne sanie. Koniki, ciągnąc lekko sunące sanie, biegły wyciągniętym kłusem, a pod ich kopytami skrzypiał zmrożony śnieg. W miejscu, gdzie zbiegały się drogi z Brzezin i dworu, wyprzedziły ich i szybko oddalały się dwie pary sań.

Na pierwszych jechał ze swoją rodziną, sam powożąc, gospodarz dworu, pan Włodzimierz. Na drugich jechała Matylda ze służbą, a powoził stróż Mikołaj. Władysław trzasnął batem, szybko dołączył do nich i tak mknął razem ten niezwykle kulig. Droga wiodła przez sosnowy bór. W jego tajemnej, nocnej, zimowej ciszy donośnie brzmiał metaliczny dźwięk janczarów, a także wesołe rozmowy i śmiechy jadących. Wysoko ponad ośnieżonymi koronami sosen widać było gwieździste niebo. Noc była pogodna, a las wyglądał jak uśpiony w zimowej szacie. Pięknie też wyglądał kościółek, którego dach przykrywała gruba śnieżna czapa. Świątynię otaczały wysokie ośnieżone świerki. Wnętrze kościółka oświetlono wielką ilością jarzących się świec, a ołtarz tonął w zieleni świerków udekorowanych kolorowymi wstęgami i srebrzącymi się gwiazdami. Balsamiczny zapach iglaków mieszający się z wonią kadzidła tworzył uroczysty, świąteczny nastrój. Świątynia po brzegi wypełniona była wiernymi. Wzruszający był moment, gdy ksiądz, podchodząc do ołtarza, zaintonował kolędę *Bóg się rodzi...* Cały kościół wypełnił się melodią i tekstem tej pięknej kolędy... Ksiądz w czasie kazania, nawiązując do pasterzy gromadzących się wokół stajenki betlejemskiej, apelował do katolików, aby nie zapominali, kim są, i jednoczyli się wokół Kościoła świętego. Wierni rozumieli, że słowo „katolicy” znaczyło Polacy, „Kościół święty” to Polska – umiłowana i umęczona ich ojczyzna. A w czasie modłów za zmarłych kapłan mówił: „Niech krew baranków przelana na kamieniu ofiarnym wzmocni naszą wiarę i będzie zarzewiem zbawienia”. Takie sentencje w czasie kazań i modłów, mające patriotyczny podtekst, głosili nasi księża, podtrzymując płomień pamięci i narodowego ducha. Słuchanie spowiedzi i związana z nią rozmowa z penitentem dawała księżom okazję formowania postaw – zwłaszcza młodzieży. Wielu takich kapłanów nie ominęły represje: więzienie lub Sybir.

Pierwszy i drugi dzień świąt obie zaprzyjaźnione rodziny spędziły wspólnie. W czasie tych świątecznych spotkań ustalono, że ślub i wesele Kazimierza i Martynki odbędzie się w nadchodzącym 1914 roku po śianokosach, przed żniwami. Młoda para pragnęła stać się małżonkami jak

najwcześniej, ale ostateczna decyzja należała do rodziców, a oni oboje musieli trwać dalej w sferze marzeń i cierpliwych oczekiwań.

Po świętach Bożego Narodzenia nastąpił okres odwiedzin duszpasterskich, tak zwana „kolęda”. Każdy proboszcz starał się odwiedzić możliwie wszystkie rodziny w swojej parafii. Kapłan w Ludwipolu miał własne konie, wóz i sanie, ale z osiedli dalej położonych wysyłało konie po księdza, a po kolędzie go odwożono. Zwykle zajmował się tym dwór w Brzezinach – przywoził i odwoził księdza. Wszystkie polskie rodziny przygotowywały się na przyjęcie niezwykle gościa. Szczególnie podniecone były dzieci. Z jednej strony był oczekiwany, bo zwykle rozdawał obrazki i słodczyce, a z drugiej bały się pytań z katechizmu.

Ale oto do Waleriana Różańskiego niespodziewanie przyszedł Chaim i przyniósł piękny wiklinowy koszyk wypełniony herbatą, rodzynkami, suszonymi figami i czekoladkami.

– Nu, pan Walerian, to dla pan ksiądz – oznajmił. – Ja wiedzieć, co un do mnie nie przyjdzie, aliż wiedzieć tyż, co un jest dobry dla nasze Żydki, to ja potrzebować dać jemu ten gift, cob un ni krzyczał na tego polski gospodarz, co czasem zajdzie do mego karczma i wypije czarkie anyżówka. To ni wielki giwałt, bo to tylko czasem. Gorzyj jest z panem pop. Ukraińskie baby ido do tego pop i skarżo na mnie, co ichnie cłowiki pijo u mnie gorzałka. To co ja mogie zrobić? Ja mieć karczme, cob sprzedać mój towar, to mój giszeft. Poszet ja du tego pan pop tyż z giftem, aliż un ni patrzył się nawet na to, co ja jemu przyniós i tylko krzyczał: „Wy, Chaim, rozpijacie mnie chłopów”. Un nawet potrzebował mnie zapytać, czy ja i moje Małka lubili by, cob nasz Aron pił horyłkie. O, my by ni lubili, ali nasz Aron ni pije. To un mówi, ży baby tych chłopów tyż ni lubio, jak jich cłowiki pijo, bo ty naliwasz jim horyłkie. Na koniec powiedział pan pop do mnie coś takiego: „Chaim, nie rób drugiego, co nie miło trzeciego”.

Walerian domyślił się, że pop powiedział: „Nie rób drugiemu co tobie nie miłe”. I dalej prawił Chaim:

– Pan Walerian, ja jeszcze powiedzieć, co chce zrobić. Ja mieć w mieście co się nazywa Lwów mój onkoł (wujek). Un już stary szłowiek, aliż

un ma bardzo git giszeft tam w tyn Lwów na ulica... – I tu Chaim zapomniał nazwy tej ulicy. – O już wim. To ulica Mićka Adamowicza (chodziło o ulicę Adama Mickiewicza). Ten mój onkoł chce oddać mnie tego giszeft. Ja i moje Małkie chcemy wyjechać do tego Lwów, a karczme zostawić dla Aron i Dora. Co pan Walerian powi na to?

Ale Walerian nie miał na ten temat żadnego zdania i odpowiedział:

– Ja nie znam sie na waszych geszeftach. Wim tylko, ży karczma potrzebna tyż dla porządnych ludzi, bo gdzie kupisz tytion, sól czy nafte. U was można tyż kupić smarówki du wozu, zapaliki, jakieś igły, nici i guziki, a nawet butynki. A chto bedzie sprzedawać, Chaim czy Aron, to wszystko jedno.

Chaim odszedł, a Walerian się zamyślił. Na ogół nie oceniał Chaima źle, ale było też faktem że kilku chłopów we wsi miało skłonności do picia horyłki. Oni wynosili do Chaima jaja i kury, w zamian za co on im podawał horyłkę.

Wizyty księdza odbyły się. Kapłan poświęcił domy i obory, porozmawiał i pobłogosławił rodziny. Z tą kolędową wizytą związane były też datki na kościół. Zwykle były to jakieś kopiejki, a czasami osełka masła czy sera. Zdarzały się ofiary w postaci młodego jagnięcia lud prosięcia czy worek owsa dla księżowskich koni. Jeżeli rodzina była uboga, ksiądz ofiary nie przyjmował, a nawet ją wspomagał.

\*

Zima była okresem odpoczynku dla ludu wiejskiego. Ale i w tym czasie nie próżnowano. W wielu chatach trzaskały warsztaty tkackie. Kobiety tkwały lniane płótno na pościel i bieliznę lub wełnę na ciepłą odzież. Zajmowano się dobytkiem, jego wyżywieniem. Wyprowadzano krowy i konie do koryt z wodą. Przy tej okazji zwierzęta przewietrzały się, a z obór osuwano gnój i zmieniano słomianą wyściółkę.

W stodołach cepami młócono zboże. Z drewnutni przynoszono drewno i palono w *grubkach*. Wieczorami słyszało się głucho uderzenia stępora w stępie. To mężczyźni tłukli proso, które po odwianiu plewy stawało

się pszonem na kaszę jaglaną. Bywało, że dziewczyny zbierały się na darcie pierza do pierzyn. Te zajęcia nie przeszkadzały popularnym wieczorkom, śpiewom lub gawędom.

\*

Nadchodziła wiosna. Słońce coraz silniej grzało, śnieg szybko znikał. Odpadały sople lodu wiszące u strzech, szemrały strumyki odprowadzające wodę do Słuczy, której poziom podnosił się i łamał lód. Kry niesione prądem wody piętrzyły się, tworząc zaporę dla spływu wciąż rosnącej ilości wody. Mimo że wieś leżała znacznie wyżej niż poziom brzegu rzeki, wody roztopów sięgały już niektórych progów. W końcu jednak nastąpiło przesilenie i wody zaczęły opadać. Wkrótce można było wciągnąć na rzekę prom i umożliwić kołową komunikację między obiema częściami wsi.

Brzezinianie ściągali sok brzozowy. Każdego poranka nieśli napełnione sokiem wiadra i wlewali go do dębowych, stojących w lochach beczek. Odpowiednio doprawiony i sfermentowany był doskonałym i zdrowym napojem w czasie żniw.

Ożywiało się ptactwo wodne, na błoniach zakwitły kaczęce, a w gniazdach pojawiły się bociany. Ich radosny klekot i wachlowanie skrzydłami cieszyło mieszkańców wsi, a jednocześnie zapowiadało, że wkrótce trzeba będzie wychodzić z pługiem w pole. Jakoż wkrótce pola – te chłopskie i te dworskie – zaroily się pracowitym ludem. Czarne, lśniące skiby żyznej ziemi wychodziły spod licznych pługów. Za oraczami szły wrony, szpaki i bociany, wybierając sobie wyorane smakołyki. Bydło, czując wiosnę, porykiwało w dusznych oborach, wabione zapachem kwiatów i młodej trawy. Krowy wyprowadzane przez pastuchów spieszyły na pastwiska rozkoszować się słońcem, świeżym powietrzem i smakowitą młodą trawą. U brzegu rzeki na wierzbach kwitły bazie, wokół wsi i dworu bieleły się kwitnące czereśnie, a w ich koronach słyszało się bzyczenie pszczół, które zbierały pierwszy wiosenny nektar. We dworze Mikołaj i pan Włodzimierz robili pozimowy przegląd uli.



Był Wielki Tydzień, ostatni, bardzo uroczysty tydzień Wielkiego Postu. Przygotowywano się do świąt Wielkiej Nocy. Dziewczyny kolorowały (kasiły) jaja. Robiły tak zwane pisanki. Kistkę zanurzały w roztopionym gorącym wosku i rysowały nią na jajku różne wzory. Później jajko zanurzały w wywarze zewnętrznych łupinek cebuli, uzyskując kolor brązowy i wyraźnie jaśniejsze wzory woskowe. Takie jajko nazywano pisanką, zaś te bez wzorów woskowych, tylko ukraszone, nazywano kraszanką. Zwykle na świątecznym stole stały misy z kraszankami i pisankami. Jeszcze parę słów o budowie kistki. Robiono ją z cienkiej ołowianej folii. Pasek takiej folii związało się na zaostrozonym ołówku. Powstawał wtedy taki stożek ścięty, którego wierzchołek miał otworek o średnicy jednego milimetra. Taki stożek (kistkę) mocowano na drewnianym patyku, zanurzano w roztopionym wosku i wierzchołkiem tego stożka pisano woskiem po jajku.

Warto wspomnieć o panującym tu obyczaju. W czasie świąt dzieci i młodzież odwiedzały sąsiadów, niosąc w torbie kraszanki i pisanki i dzieląc się nimi z gospodarzami, w zamian zaś otrzymywały kraszanki z ich stołu. Przy tym uprawiano taką grę: zarówno młodzi i starsi, trzymając w ręce jajko, uderzali nim w jajko trzymane przez partnera. To, którego skorupka nie wytrzymała uderzenia i pękała, należało oddać partnerowi gry. Dodam jeszcze, że takie chodzenie po domach z jajkami nazywano „włóczębne”. Czyli chodzono po włóczębnym.

W Wielką Sobotę wożono do ludwipolskiej kaplicy potrawy wielkanocne do poświęcenia. Zwykle wszystkie rodziny polskie z Brzeziny łądowały na jedną furmankę pięknie przystrojone barwinkiem koszyki z żywnością i tak wieziono je do poświęcenia.

Niektórzy udawali się do kościoła w Ludwipolu na uroczystości wielkopiątkowe, pokonując wielki trud jazdy po błotnistej drodze. Natomiast pierwszego dnia świąt na mszę świętą jechało do tej świątyni wielu polskich parafian. Młodzież preferowała drogę rzeczną. W dół Łódź płynęła z nurtem rzeki. Natomiast powrót wymagał wysiłku. Chociaż wody



Śluczy były leniwe, trudniej było płynąć pod prąd za pomocą wiosł. Używano więc długich drągów, którymi, opierając o dno rzeki, pchano łódź do przodu.

Wielkanoc to wielkie święto, to Dzień Zmartwychwstania Pańskiego, to tryumf życia nad śmiercią. Owiane płomiennym duchem kultu religijnego wśród chrześcijan, ale też hołdem budzącej się do życia natury po zimowym śnie, która wita ten dzień seledynową zielenią lasu, kolorystyką i zapachem kwitnących pól i łąk, szczebiotem ptactwa i brzęczeniem pszczoł. Trwały gody życia całej fauny.

W pogodne świąteczne popołudnie nasza para – Kazimierz i Martynka – wyszli na spacer, trzymając się za ręce. Mijali pola i łąki, aż znaleźli się na skraju lasu. Przytuleni do siebie, siedzieli na pniu jakiegoś powalonego przez wiatr drzewa, rozkoszując się sobą, doniosłością świątecznego dnia i otaczającą ich wiosenną atmosferą. Oboje w tym uroczystym dniu i w tej wiosennej scenerii z drżeniem serc dziękowali Zmartwychwstałemu za miłość i wytrwałość w oczekiwaniu na ich sakramentalny związek, tak bardzo oczekiwany, kiedy będą mogli żyć życiem pełnym, bezgranicznie szczęśliwym. Ten czas się zbliża...

W czerwcu oboje udali się do proboszcza, aby „dać na zapowiedzi” (tak się mówiło) i ustalić datę ślubu. Takie zapowiedzi ksiądz ogłaszał przez trzy kolejne niedziele, a brzmiało to tak: „kawaler Kazimierz Lipiński ze wsi Brzeziny z panną Martą Różańską ze wsi Brzeziny zamierzają połączyć się związkiem małżeńskim. Zapowiedź pierwsza. Kto by wiedział o przeszkodach zachodzących między tymi osobami powinien powiadomić mnie jako proboszcza”. Narzeczeni odpowiednio duchowo przygotowani uczestniczyli w każdej tej mszy.

Na ucztę weselną Walerian zabił kabana (wieprza), cielę i sporo drobiu. Wynajął kobiety do pieczenia ciast i przygotowania posiłków. U sąsiadów wypożyczył talerze. Stoły i ławy wykonano z desek i ustawiono w sadzie koło domu. Walerian chciał ugościć całą wieś – wszystkich, którzy zechcą przyjść. Zaangażował miejscową kapelę, a od Chaima sprowadził skrzynkę gorzałki. Bo jak mówił: „U mnie jedna je docia i ni bede szkodował, żep wesele ni było niczego sobie”.

Warto dodać, że Chaim nie przyjął pieniędzy za anyżówkę (szlachetniejszy gatunek gorzałki).

– Uj – mówił – ja za tego anyżówka nie brać ani kopiejka, chaj to będzie na zdrowie i szczęście dla tego młoda para.

\*

Była piękna, pogodna niedziela drugiej połowy lipca 1914 r. Wczesnym rankiem przed domem weselnym stało kilka par koni przystrojonych wstążeczkami i z janczarami na karkach. Na pierwszym wozie zasiedli państwo młodzi i para świadków wraz z powożącym Romanem. Na dwóch pozostałych zajęli miejsca drużby i drużbowie orszaku weselnego, za nimi wozy z rodzicami i kuzynami obu rodzin. Martynka ubrana była w białą suknię, powłóczysty welon i wianek z polnych kwiatów na głowie. Kazimierz w czarny garnitur. Także wszystkie drużby ubrane były w białe suknie, a drużbowie w czarne garnitury. Młoda para, członkowie jej orszaku i wszyscy goście mieli przypięte do odzieży na piersiach białe kokardki jako symbol uczestnictwa w weselu. Poranna msza święta była bardzo uroczysta. W czasie jej trwania odbył się równie uroczysty ślub Kazimierza z Martynką. Oboje głęboko przejęci wymówili sakramentalne słowo „tak”. Z drżeniem serc wzajemnie wkładali sobie obrączki i w głębi ducha polecali Bogu przyszły los ich małżeństwa. Po mszy kapłan złożył im życzenia, a organista zaśpiewał przy dźwiękach fisharmonii hymn do Ducha Świętego – *Veni Creator Spiritus*. Gdy odchodzili od ołtarza i szli przez świątynię, oboje przeżywali tę oczekiwaną i wielką zmianę w ich życiu, że oto już stanowią nierozdzielalną jedność osobową, zanurzoną w misterium małżeństwa, a słowo „Ja” zastąpi słowo „My”. Podczas wyjścia z kaplicy, zgodnie ze zwyczajem, obsypani zostali ziarnami zboża. Po czym składano im życzenia.

Młoda para po powrocie z kościoła została powitana przez zgromadzonych przed domem weselnym gości. Było ich dużo, Polaków i Ukraińców. Przybył też gospodarz dworu z panią Matyldą i Mikołajem, który powoził. Przy wozie szła jałówka tyrolska jako prezent dla młodej pary. Po chwili przybył ksiądz własnymi końmi z koszykiem słodczy.

Przyszedł też tutejszy pop z koszykiem smakowitych wiśni.

Organizatorzy uczty weselnej zapraszali do stołu. Naprzeciwko młodej pary, po drugiej stronie stołu, zajęli miejsca duchowni oraz pan Włodzimierz z panią Matyldą. Po obu ich stronach usiedli rodzice młodych. Pozostałe miejsca zajęli sąsiedzi, którzy przyszli na wesele. Przy osobnym długim stole zasiadła młodzież polska i ukraińska. Przy tym stole było najgłośniej. Najpierw jednak obaj duchowni pobłogosławili potrawy i wszyscy, stojąc, przeżegnali się. Po tym w przydomowym sadzie, gdzie odbywała się uczta, słychać było gwar i brzęk talerzy oraz – według zwyczaju – zapraszanie gości przez gospoście, które za plecami biesiadników chodziły z ręcznikami w ręku i prosiły:

– Jedzcie, jedzcie drogie gości – albo do Ukraińców: – *Jiżte, jiżte my-tyńki hosti.*

Po pewnym czasie ksiądz i pop, po pożegnaniu młodej pary i ich rodziców, opuścili weselny dom. Wtedy na stołach, gdzie siedzieli star-si, pojawiła się chaimowa anyżówka. Młodzieży alkoholu nie podawano, a i ona tego nie oczekiwała, bo nie było to w ówczesnym zwyczaju. Anyżówka uruchomiła wesołe nastroje, zrobiło się bardziej gwarno i radośnie, wybuchały śmiechy i solowe przyspiewki. Ukraińskie *mołodycie* po wypiciu kusztyczka anyżówki odśpiewywały różne, nawet frywolne przyspiewki. A oto jedna z nich:

*Oj wypyla, wychylała,  
Sama sebe pochwalała  
A ja z dobroho rodu,  
Pju horyłku jak wodu.*

Ale oto zagrała kapela. Młodzież od stołu ruszyła do tańca na trawie. W szalonych tanecznych wirach fruwały warkocze dziewczyn, mieniły się kolory ich ubiorów, a przy tym śpiewano i rozbrzmiewały okrzyki: „Uha, uha!”

Wesołość młodzieży udzieliła się starszym, którzy też parami wychodzili do tańca. Wreszcie ruszyła młoda para. Na ich widok młodzież otoczyła ich kołem i przytupując w miejscu, klaskali w dłonie, a oni tańczyli

z godnością. W wielkim miłosnym uniesieniu on ramieniem lewej ręki przygarnął ją do swojej piersi i szeptał jej do ucha:

– Martynka, pierwszy raz tańczymy jako żona i mąż...

Ona zaś z miłością popatrzyła na niego i wyszeptała:

– Och, Kaźmirz... – i skłoniła głowę na jego ramię...

Tańce i śpiewy przeciągnęły się do rana. Biesiada weselna trwała dwa dni i była otwarta dla wszystkich ze wsi.

Młodzi zamieszkali w oddzielnej izbie, dobudowanej do domu Walerianów jeszcze przed ślubem ich córki. Kazimierz stał się współwłaścicielem tego zamożnego gospodarstwa. Usłyszał o tym z ust gospodarza, teścia, który w czasie obiadu następnego dnia po weselu rzekł do niego:

– Nu, taki dziękować Bogu, dujszto już du tego, ży ty Kaźmirz stał naszym zięciem. Ja i moja rade z tego, ży nasza docia popadła w dobre renki. Ty bedziesz dla nij dobry, bo jak widno lubicie się. Ty nigdy nie bedziesz znuszczać się na nij, jak bywajo gdzie niktórne myszczyny, bo ty dobry chłopaka. Nu, a co du gospodarki, to wiadomo, dwoje w nas dzieci, to i gospodarka na połowe idzie. Ja myśle, ży wy pogodzicie się z Romanem która część ziemi dla Was, a która dla Romana, a jakby co, to ja wam powie.

Kazimierz słuchał tego z zażenowaniem, z głową spuszczoną, wiedząc i czując, że największy skarb, jaki od nich otrzymał, to żona, Martynka. Był ubogim chłopcem. Nie mógł liczyć na jakieś znaczące dobra materialne od swoich rodziców, bo rodzina była liczna, a gospodarstwo niewielkie.

Miodowy okres małżeństwa na gospodarstwie i przed żniwami istnieje, ale nie zwalnia od codziennej pracy. Pracowali więc oboje, i to od pierwszych dni ich małżeństwa, ale ta wspólna praca była też miodową, bo przecież byli razem, patrzyli na siebie, uśmiechali się, wspólnie odpoczywali i spożywali posiłki. Ale oto błogie i pełne szczęścia życie zostało nagle zakłócone.

# Pierwsza wojna światowa

Pewnego dnia w końcu lipca 1914 r. gruchnęła wiadomość, że wybuchła wojna. Między jakimi krajami – jeszcze nie wiadano, natomiast powszechnie głośzono, że w tę wojnę zaangażowana jest Rosja. Potwierdziły to *powiastki* (wezwania wojskowe), dostarczone przez sołtysa wielu mężczyznom we wsi. Taką *powiastkę* otrzymał brat Kazimierza, Władysław, a we dworze pan Włodzimierz. Wszyscy, którzy otrzymali takie wezwanie, musieli niezwłocznie zgłosić się na punkt zborny, gdzie czekały na nich furmanki celem odwiezienia ich do stacji kolei żelaznej, transportującej poborowych do jednostek wojskowych. Po dramatycznym pożegnaniu z rodziną Władysław odjechał.

We wsi wywieszone zostały czerwone, rzucające się w oczy afisze, informujące ludność o wojnie i jej przyczynach. Miejscowy nauczyciel i ci, którzy potrafili czytać, głośno odczytywali ten tekst, a ludzie z zainteresowaniem słuchali. Mówiąc krótko, tekst wyjaśniał, że Austro-Węgry przy poparciu Niemiec wypowiedziały wojnę Serbii. W tej sytuacji Rosja w obronie bratniej Serbii wypowiada wojnę Austro-Węgrom i Niemcom. Ukraińscy chłopci, bardzo oddani carowi *batiuszce*, po wysłuchaniu tego komunikatu machali ręką i odchodzili, mówiąc:

– *Nasz popre.* (Car pogoni.)

Ludność polska, chociaż nie chciała i bała się kataklizmu wojennego, to jednak łączyła z tym swoje nadzieje na odrodzenie państwa polskiego. Takie nadzieje zaszczepiali wędrowni piewcy ludowi, którzy chodzili po polskich domach i brząkając palcami po strunach bałajki śpiewali pieśni budujące nadzieję i budzące narodowego ducha. Z treści takiej pieśni

wynikało, że będzie wielka wojna, a w czasie jej trwania narodzi się niepodległa Polska.

Początkowo odgłosy wojny nie dochodziły do Brzezin, dopiero po roku, gdy boje toczyły się nad rzeką Styr na Wołyniu, usłyszano grzmoty dział. W tym czasie przywieziono do domu ze szpitala Władysława Lipińskiego. Odłamek pocisku artylerii urwał mu prawą stopę. Rana była już zagojona, a kikut nogi zaopatrzony został w okrągłą drewnianą stopkę, swoistą protezę. Władysław mógł samodzielnie chodzić, podpierając się laską. Rodzina bardzo cieszyła się z jego powrotu. Skupiano się wokół Władysława, a ten opowiadał swoje przygody i przeżycia wojenne. Był on żołnierzem rosyjskiej piechoty.

Front przebiegał przez gubernię wołyńską. Przez wiele miesięcy trwała walka pozycyjna między Austriakami i Rosjanami. Po obu stronach w ciężkich warunkach w okopach siedzieli żołnierze i trwał stały obstrzał z broni ręcznej i artylerii. Obie strony dążyły do przerwania frontu i posunięcia się w głąb nieprzyjacielskiego terenu. W tym celu inicjowano ataki. Taki atak polegał na tym, że na pewnym odcinku frontu żołnierze wyskakiwali z okopów z bagnetem na broni i z okrzykiem „hurra!” biegli w kierunku okopów przeciwnika, skąd wyskakiwali żołnierze do przeciwnatarcia. Dochodziło wtedy do okrutnej walki wręcz – *na sztychy*. Władysław przeżył jeden taki atak. Jak mówił, nikogo nie zabił, udało mu się wtedy dobiec do okopów przeciwnika i wraz ze swoimi kolegami zająć w nich pozycję obronną. Za sobą, na polu starcia, słyszeli jęki rannych, których wynosili sanitariusze. Ze szczególną zgrozą słuchano jego relacji, z której wynikało, że w tej walce Polak mógł zabić Polaka, jako że w obu walczących z sobą armiach – rosyjskiej i austriackiej – byli Polacy. Przekonali się o tym, gdy na Wigilię i święto Bożego Narodzenia uzgodniono i wprowadzono „zawieszenie broni”. Wówczas po obu stronach frontu słyszało się kolędy śpiewane w języku polskim... Władysław mówił o krążących w wojsku rosyjskim pogłoskach, że niedaleko od nich, na prawym skrzydle frontu, w rejonie miasta Kołki nad Styrem, po stronie austriackiej walczyły brygady legionów polskich. Nikt nie rozumiał i nie widział sensu dobrowolnego przelewania krwi polskiej za Austrię, która też była zaborcą ziem polskich. Jednak



sam fakt istnienia wojsk polskich podniecał marzenia Polaków o restytucji utraconej wolności. Tak też słuchacze odbierali relację Władysława.

Tymczasem we wsi rozdano nowe *powiestki*. Tym razem wezwanie otrzymał Kazimierz. Wywołało to przerażenie w obu rodzinach. Martynka, półprzytomna z rozpacz, objęła męża, chcąc go zatrzymać, uchronić... On ją uspokajał, perswadował, że wojna się skończy i on wróci do niej. Ale oto wydarzyło się coś, czego nikt nie przewidywał. Pierwsze furmanki, które wiozły poborowych do stacji, wróciły z nimi z wieścią, że wybuchła rewolucja i *branka* została odwołana. Dyspozytorzy na kolei nie otrzymali instrukcji, gdzie mają poborowych odwieźć.

Nastąpiło zamieszanie i bezprawie. Taki stan uważany jest przez chłopstwo ukraińskie za swobodę. Ruszono więc na lasy. Wycinano najpiękniejsze drzewa, polowano na zwierzynę leśną, a w końcu podjęto atak na dwór. Była tam tylko pani Matylda ze służbą. Pan w wojsku, pani z dziećmi po poborze męża wyjechała do miasta. Matylda dzielnie stawiała czoła rabusiom, ale to ich nie powstrzymywało. Wynoszono cenne materiały i naczynia, wyprowadzano z obór bydło. Wreszcie Matylda zaczęła desperacko krzyżeć:

– Mój brat jest generałem Kozaków! On tu przyjdzie i was znajdzie!

To poskutkowało. Niektórzy prowadzący zrabowane krowy porzucali je i uciekali. Także przestano wynosić z dworu wszelkie dobro. Dzielna niewiasta siedziała na korycie przy studni i ciężko sapała. Przy niej stał zawsze wierny Mikołaj.

Car rosyjski został aresztowany i władzę nad Rosją objął komunista Lenin. Kraj znalazł się w stanie wojny domowej. Komunistyczna Czerwona Armia walczyła z rosyjską niekomunistyczną Armią Białą. Po kraju krążyły silne oddziały Czerwonej Armii, szerzące strach wśród ludzi. Miały one za zadanie niszczyć, a nawet palić dwory polskie. Do Brzezin przybył taki oddział i zakwaterował we dworze. Przed ruszeniem w dalszą drogę *kamandir* oddziału rozkazał spalić dwór. Gdy usłyszała o tym Matylda, podeszła do niego, pokazała mu swoje dokumenty i z naciskiem rzekła:

– *Ja, Matylda Kozłowa, u mienia jest' brat, Stiepan Kozłow, zasłużennyj gienierał w Krasnoj Armii. Wy toczno znajetie, czto on sposo-*

*bien unicztóżyť wsiech wrıdıtıelıej ot samogo Lienına. Etot sud – bıłogo Krasnoj Armıı. I czto, wy chotıejetıe jęgo podżecz?* (Ja, Matyllda Kozłowa, mam brata, Stepana Kozłowa, który jest zasłużonym generałem w Armii Czerwonej. Wy na pewno wiecie, że on od samego Lenina ma pełnomocnictwo do niszczenia wszelkich szkodników. Ten dwór to dobro Armii Czerwonej! I co, spalicie go?)

– *Nıet, prostıte, ja etogo nie sdıetajıu* (Nie, darujcie mnie, ja tego nie zrobię.) – Przestraszony *kamandir* dał rozkaz swoim żołnierzom: – *W putı!* (W drogę!)

I pomknęli. Pani Matyllda oczywiście nie miała brata generała. Jako filozof, psycholog i socjolog dobrze znała mentalność słowiańskich ludów wschodnich, w tym rosyjskiego, i wiedziała, co w określonej sytuacji należy im mówić, jak się zachować, jak się przed nimi bronić, a także jak sobie ich zjednać. Pomogła jej w tym zimna krew, determinacja, intuicja i odwaga.

Walczące z sobą, wyczerpane wojną państwa osłabły, a wiadomo: gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Stało się to jedenastego listopada 1918 roku, po zawarciu w Europie pokoju. Wówczas jak Feniks z popiołów powstała niepodległa Polska. Sklecona z trzech porozbiorowych segmentów terytorialnych, jeszcze nieściśle oznaczona granicami, ale już uznana przez Ligę Narodów i posiadająca własną armię, której załóżkiem były te legiony, o których mówił nasz weteran Władysław.

Trwały jeszcze zamieszki w naszym odrodzonym państwie, To Ukraińcy, którzy nigdy jako naród nie mieli własnej państwowości, teraz chcieli skorzystać z naszych odzyskanych suwerennych praw i kosztem Polski uzurpowali sobie prawo do władania terenami od wieków należącymi do naszego kraju. Te walki toczyły się głównie na Wołyniu. Wojsko polskie szybko opanowało sytuację i oddziały ukraińskie wycofały się z Wołynia. Później ukraiński ataman Semen Petlura doszedł do wniosku, że walka z Polakami nie ma sensu w sytuacji, gdy tereny, na których dominuje ludność ukraińska, są zagrożone inwazją Rosji bolszewickiej. Doszło do porozumienia Petlury z Piłsudskim. Polskie racje polityczne opowiadały się za istnieniem niepodległej Ukrainy, która terytorialnie oddzielałaby

nasz kraj od Rosji bolszewickiej. Tego życzył Polsce Józef Piłsudski. Na jego rozkaz wojsko polskie przy udziale petlurowców wyzwoliło od bolszewików Kijów. Wówczas Ukraińcy ustanowili swój rząd na czele z premierem Izaakiem Mazepą. Petlurowców było tylko 30 tys. Rząd ukraiński usiłował zorganizować silną armię, zdolną powstrzymać inwazję bolszewicką. W tym celu rozpoczął werbunek do armii, ale chłop ukraiński, przywykły do władzy carskiej, nie miał aspiracji wolnościowych i raczej łaknął więcej ziemi, a teraz mamiony propagandą bolszewicką, wedle której wszystka ziemia pańska będzie oddana chłopom, nie popierał petlurowców, których zaliczał do rzeczników ziemian – obszarników.

A tymczasem Polska pośpiesznie organizowała armię i kontrolowała kraj.

Do Brzezin od wschodu nagle przybył oddział kawalerii polskiej. Sforsował rzekę i jak burza przemknął przez wieś i dwór, a nie napotykając nieprzyjaciela, pomknął dalej. Na jego widok Polaków ogarnęła cicha radość i duma, zaś Ukraińców lęk i respekt przed siłą. Dziadek Mateusz ze łzami w oczach dziękował Bogu, że pozwolił mu dożyć Polski niepodległej, o jaką walczył w powstaniu styczniowym.

– No, ale gdzie jest ta nasza wymarzona Polska? – pytali się nawzajem brzezinianie. – Tu u nas jej jeszcze nie widzimy. Podobno w Sarnach i Kostopolu jest wojsko i urzędy, ale ciągle nie wiemy, gdzie jest granica państwa.

\*

Nadszedł rok 1920. Młode Państwo Polskie krzepło. Było już po zwycięskim powstaniu wielkopolskim. Trwały jeszcze boje z Niemcami o Górny Śląsk. W tym czasie rozeszła się wieść o inwazji Rosji bolszewickiej na Europę. W kierunku naszej ojczyzny od strony południowej nadchodziła bolszewicka armia konna dowodzona przez Siemiona Budionnego, od strony północnej potężna armia dowodzona przez Michaiła Tuchaczewskiego i trzecia grupa, środkowa – Mazyrska, uderzająca na Polskę od strony Polesia i Wołynia. W tej sytuacji wojsko polskie wspierające armię Petlury pośpiesznie wycofało się z Kijowa, by

zasilić naszą defensywę. Petlurowcy w pierwszych starciach z armią bolszewicką zostali pobici, po czym w popłochu i nieładzie wycofali się na zachód, dołączając do armii polskiej.

Lenin i jego towarzysze byli pewni zwycięstwa. Państwa europejskie były mocno wyczerpane wojną. Słaba, porewolucyjna Republika Weimarska nie stanowiła przeszkody w marszu Armii Bolszewickiej na Anglię, gdzie ich czekano, czy na Francję i Hiszpanię. Jedyne Polska będzie się bronić, ale przywódcy bolszewiczcy byli przekonani, że Warszawę zdobędą z marszu.

W Polsce trwały intensywne przygotowania defensywne. Potrzebna była broń, którą oferowali nam Francuzi, ale dostawy były blokowane przez Anglię i Niemcy. Dostawy z Węgier blokowali Czesi. Jednak nasi węgierscy przyjaciele znaleźli jakiś kanał na transport broni do Polski. Tą drogą weszły też posiłki Armii Hallera. Na apel Episkopatu trwały modły za ojczyznę. Nasi przywódcy wygłaszali odezwy do narodu o jedność i wolę walki o utrzymanie świeżo zdobytej niepodległości. Poruszające były słowa Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego i Wincentego Witosa, którzy swoją postawą i argumentami motywowali chłopstwo polskie do obrony Rzeczypospolitej Polskiej. Apele, włącznie z odezwą Episkopatu, odniosły pożądany skutek. Młodzież chłopska masowo wstępowała w szeregi wojska polskiego.

Genialny wódz Józef Piłsudski organizował wojskowy sztab Armii Polskiej, powierzając funkcję szefa sztabu gen. Tadeuszowi Rozwadowskiemu. Konfrontacja z bolszewikami była dramatyczna. Bohatersko broniona Warszawa powstrzymywała natarcia przeciwnika, który, ufając swojej przewadze, sforsował Wisłę i rozlewał się po kraju, okrążając Warszawę. Wykorzystało to dowództwo wojsk polskich. Pięć dywizji polskich znad Wieprza, które poprowadził Józef Piłsudski, uderzyło w środek rozciągniętej armii Tuchaczewskiego, przerywając ją i powodując ogromną dezorganizację w szeregach najeźdźców. Odtąd wojska bolszewickie były w odwrocie. To ich skrzydło, które przekroczyło Wisłę i usiłowało okrążyć Warszawę, dostało się do niewoli polskiej lub wycofało się do Prus Wschodnich. Wschodnie skrzydło pod naporem wojsk polskich

wycofało się za Niemen, gdzie Polacy stoczyli z nimi ostatnią, zwycięską bitwę. Konna armia Budionnego też została pokonana, głównie w bitwie pod Komarowem. Resztki tej armii panicznie wycofały się na wschód. To zwycięstwo Polaków zwane „Cudem nad Wisłą”, ocaliło Polskę, ale też uratowało od „raju sowieckiego” słabą i politycznie zdeorientowaną Europę.

# Uprowadzenie Kazimierza w głąb Rosji

A jak przeżyli nawałę bolszewicką nasze rodziny w Brzezinach?

Pierwsze docierające tu wieści, że armia sowiecka idzie do Polski, by ją pochłonąć i podporządkować sobie jako nowemu zaborcy, napełniały serca polskie lękiem. Ludzie się modlili. Przy obrazach świętych w polskich domach płonęły świeczki.

Ukraińcy czuli to inaczej. Byli podnieceni i ciekawi, czy sprawdzą się pogłoski, że rewolucja bolszewicka i jej władza zabierze ziemię panom i rozda chłopom. Oczekiwali więc władzy bolszewickiej z nadzieją.

Pierwsze *rozwiatki* najeźdźców pytały: „Czy są tu żołnierze polscy?”. W Brzezinach nie było, więc pomknęli dalej. Ale oto za kilka godzin nadeszły *czołowe* oddziały bolszewickie i szły bez przerwy, coraz większą masą. Jeden oddział zatrzymał się w Brzezinach na odpoczynek, podczas gdy inne *szły* i szły bez przerwy. Ogołocili wieś z mleka, sera, jaj i drobiu. Zabijali świny, cielęta i na ogniskach przyrządzali sobie posiłki. Krowy i konie gospodarze ratowali, wyprowadzając je do lasu. Dwa dni przewalała się ta masa żołdactwa idącego na Warszawę. Potem nastała cisza. Do Brzezin nie dochodziły żadne odgłosy walk. Do Warszawy było stąd około czterystu kilometrów. Dopiero po dwóch tygodniach, w końcu sierpnia 1920 r. pokazały się pierwsze oddziały pośpiesznie wycofujących się bolszewików, obdartych, poranionych, przestraszonych. Wyraźnie widziało się, że uciekają pobici. W pośpiechu porywali to, na co się natknęli. Krowy, konie, nawet chleb ze stołu.

Gdy wyszły z lasu pierwsze oddziały tych uciekających rozbitków, Kazimierz, niczego nie przeczuwając, wyjechał konnym wozem po zbo-



że, bo były jeszcze żniwa. Nagle został otoczony przez grupę bolszewików, którzy zaczęli pytać go o drogę do miejscowości, którą wskazywali na mapce. Kazimierz starał się im objaśnić drogę, bo znał tę miejscowość, ale ich dowódca powiedział:

– *Jesli ty znajesz put', otwezi nas tuda.* (Skoro znasz drogę, to zawieź nas tam.)

Kilku rannym lub słabszym powiedział, żeby wsiedli na wóz, a Kazimierzowi kazał jechać. Nie pomogły prośby, aby mógł on powiadomić rodzinę, że jedzie z nimi. Bolszewik pokazał mu lufę rewolweru i nakazał jechać. Gdy wreszcie przybyli do miejsca, o które go pytano, Kazimierz myślał, że teraz pozwoli mu wrócić do domu, ale skądże, oświadczono mu, że jest im potrzebny i nie zwolnią go. Wówczas, prosząc ich, zaproponował, że zrezygnuje z konia i wozu, aby tylko on mógł być zwolniony i wrócić do swojej rodziny, ale i na to nie wyrażono zgody. Sytuacja stawała się coraz bardziej groźna. Kazimierz czuł się uprowadzony i tracił nadzieję, że będzie mógł wrócić do domu. Chcąc ostatecznie wyjaśnić swoją sytuację, w odpowiednim momencie zwrócił się do *kamandira* i przedstawiając swoją sytuację, prosił o uwolnienie. Ten najpierw zauważył, że Kazimierz ma na palcu obrączkę.

– *Eto zołotoje kolco, ono tiebie nie nužno. Daj jego mnie.* (Ten złoty pierścionek ci niepotrzebny. Daj mi go.)

– To moja ślubna obrączka – bronił się Kazimierz. – Jest ciasna i trudna do zdjęcia.

– *Niczoho, otreżem palec. A na szcot twojego oswobożdienija, etogo nie budiet nikogda. A jesli ty nie budesz nam nužen, nie ostawim tiebia w żywych* (Nie szkodzi, odetniemy palec. A gdy chodzi o twoje uwolnienie, to ono nigdy nie nastąpi. A jeśli nie będziesz nam potrzebny, to nie pozostawimy cię przy życiu) – wyjaśnił mu krótko.

Teraz już wszystko było jasne i tragiczne. Nie odzyska wolności, ale i jego życie jest zagrożone. Pozostała jedyna alternatywa – ucieczka. Jednak przekonał się, że nocą ich obóz jest pilnie strzeżony, a w czasie dnia praktycznie nie ma szans na ucieczkę.

Tymczasem ludzie, którzy widzieli jak bolszewicy zagarnęli Kazimierza z jego wozem i koniem, powiadomili o tym Martynkę. Bardzo przejęta tym, wybiegła na drogę ze swoim bratem Romanem, ale Kazimierz był już daleko. Bezradni wrócili do domu. Zrozpaczona Martynka uklękła przed obrazem Matki Bożej i wybuchła płaczem. Brat i rodzice, pochyleni nad nią, pocieszali, perswadując, że odwiezie ich i wróci. Jednak minął dzień i noc, a Kazimierz nie wracał. Obie rodziny – Różańskich i Lipińskich – głęboko zaniepokojone losem Kazimierza, skupiały się teraz wokół Martynki, której stan wymagał szczególnej troski.

Minęło kilka dni wyczerpującego marszu, gdy Kazimierz i jego prześladowcy znaleźli się w Żytomierzu, mieście opanowanym przez bolszewików. Tu załadowano ich do wagonów towarowych i pociągiem wyruszyli na wschód. Teraz już Kazimierz nie widział możliwości ucieczki, bo wagony zostały zamknięte. Siedział w rogu na podłodze wagonu i z ciężkim sercem myślał o Martynce. Jak ona bardzo przeżywa to, co się stało. Jak bardzo odczuwa jego brak w sytuacji, gdy za kilka miesięcy ma urodzić ich dziecko. Z takimi czarnymi myślami, wsłuchany w miarowy stukot kół pociągu, jechał w nieznaną. Był głodny, wyczerpany trudami i psychicznie załamany. Dawano mu resztki żołnierskiego jedzenia, które utrzymywały go przy życiu. Po kilku dniach pociąg zatrzymał się i kazano im wysiadać. W miejscu tym stały puste gospodarskie szopy, które miały być ich schronieniem.

Słuchając rozmów żołnierzy, dowiedział się, że tu ma być zgrupowanie większej jednostki wojskowej. Siedział w pobliżu dwóch żołnierzy, którzy rozmawiali między sobą. Z ich rozmowy wywnioskował, że to miejsce, gdzie obecnie się znajdują, leży na wschód od rzeki Don. Kazimierz zrozumiał wtedy, jak daleko jest od swojej ojczyzny i ukochanej żony. Stąd uciec jest bardzo trudno. Po drodze do Polski jest Don, Dniepr, Prypeć i ogromne przestrzenie stepowe.

Tymczasem włączono go do brygady naprawczej budynków. Reperowano dachy, okna, drzwi i podłogi. Kazimierz znał się na ciesiel-

ce. Z bratem Władysławem wybudowali niejedną stodołę. Dodatkowo powierzono mu opiekę nad końmi, których kilkanaście posiadało to wojsko. Kazimierz wyprowadzał je na paszę i do wodopoju. Nikt go nie pilnował, bo wiadano, że nie ucieknie, nie wiedząc, gdzie jest i w którym kierunku jest jego kraj, a poza tym szeroka rzeka Don stanowiła naturalną przeszkodę w ucieczce. Żołnierze, z którymi pracował, zaakceptowali go, a niektórzy byli mu przyjaźni. Trudno im było wymawiać imię Kazimierz, a nawet Kazimir, toteż mówiono na niego Stiepan. Upraszczano również jego nazwisko: zamiast Lipiński, pisano Lipin. Tak też był zapisany na liście tego oddziału.

Pewnego razu udało mu się niepostrzeżenie wziąć ze stołu mapę. Nikogo wówczas nie było w pomieszczeniu. Widząc na stole wśród papierów mapkę, chwycił ją i ukrył w stajni. Jakoś nikt go o nią nie pytał, bo kto mógł przypuszczać że się odważy po nią sięgnąć. Na pewno wśród żołnierzy dyskutowano, kto mógł sobie ją przywłaszczyć, ale że wśród nich kradzieże były częste, na tym się skończyło.

Kazimierz przyjrzał się później tej mapce, okazało się, że nie jest to mapa wojskowa, tylko zwykła mapka fizyczna fragmentu terytorium rosyjskiego przylegającego do Morza Czarnego. Cztery zimy chodził do szkoły rosyjskiej, gdzie uczono też geografii, potrafił więc tę mapę odczytać. Widział na niej rzeki Don, Dniepr i Prypeć, które w czasie ucieczki trzeba by sforsować, i serce mu się ścisnęło na myśl, że może się to okazać niemożliwe. Ale zamiaru ucieczki nie zaniechał, a nawet przygotowywał się do niej. Prowadząc naprawy budynków, miał dostęp do różnych narzędzi. Wybrał sobie niedużą siekierkę, taki toporek i odpowiedni nóż. Starannie schował to pod końskim żłobem. Zbliżała się zima. Żołnierze otrzymali ciepłą odzież, tak zwane kufajki i spodnie watowane. Taki komplet otrzymał też Kazimierz. Zimą tę odzież żołnierze ubierali pod szynel (płaszcz), Otrzymali też porządne żołnierskie buty. Tak wyposażano tylko elitarne bolszewickie jednostki wojskowe.

# Ucieczka

Żołnierze codziennie wychodzili na ćwiczenia. Krążyły wśród nich pogłoski, że wkrótce wyruszą na front walki z Białą Armią, która jeszcze istnieje i zagraża bolszewikom. Słyszając to, Kazimierz doszedł do wniosku, że czas na ucieczkę, bo gdy wprowadzą pogotowie wymarszu, będzie już za późno. „Jest już jesień – myślał – może spaść śnieg, a wtedy zostaną ślady ułatwiające pogoń”. Od kilku dni przygotowywał się do ucieczki. Zbierał odpadki sucharów, u kucharza wyprosił kawałek słoniny. Ucieczkę planował wieczorem w czasie pojenia i obrządku koni. Wtedy zmęczeni po ćwiczeniach żołnierze są już po kolacji i szykują się do snu. Straże nocne są, ale nie zwracają na niego uwagi, wiedząc, że to codzienna jego powinność – obrządek koni.

Przy korycie do pojenia wybrał najlepszego konia, założył mu uzdę i uwiązał przy studni. Po odprowadzeniu pozostałych koni do stajni zabral swój przygotowany ekwipunek, a była to siekierka, nóż, torba z żywnością i wodą oraz zrolowana i związana ciepła odzież. To wszystko zamocował na grzbiecie konia, przy jego karku, dosiadł go oklep, przeżegnał się i ruszył w kierunku zachodnim. Początkowo koń szedł stępą, ale gdy się oddalił od straży, ruszył kłusem, a później przeszedł w galop. Pędził Kazimierz z szumem wiatru w uszach, pędził do ukochanej Martynki, do swojej ojczyzny. Nie myślał w tym momencie o przeszkodach na drodze, ale o tym, że każdy skok konia przybliży go do nich, swoich, kochanych. Gdy koń z wysiłku zaczął chrapać, Kazimierz pozwolił mu iść stępą, a sam gorąco modlił się o powodzenie jego ucieczki. Czuł i wierzył, że w tym momencie modli się za niego Martynka. Wyobrażał sobie, że te

gorące modły ich obojga zbiegają się z sobą gdzieś w przestworzach i łączą u stóp Madonny, w której pokładają nadzieję. Po tym odpoczynku, który był potrzebny konikowi, znów przeszedł w kłus i galop. Jesienna noc jest długa. Kazimierz oceniał, że przebył ogromny szmat drogi, może nawet czterdzieści lub więcej *wiorst*. W tej sytuacji pogoń już mu nie grozi, więc zwolnił, bo czuł, że koń jest już bardzo wycieńczony, głodny i spragniony.

Błogosławionym szczęściem było to, że gdzieś niedaleko znalazła się woda. Pierwszy wyczuł ją koń. Węsząc w trawie skierował się w bok, a po chwili ze strumyka ukrytego w trawie chciwie zaczął żłopać wodę. Kazimierz zeskoczył z konia i garścią zaczerpnął wody. Okazała się zimna, czysta i doskonała do picia. Nappełnił nią swoją manierkę, poklepał konia, który żarłocznie pożerał trawę koło strumyka. Dał mu chwilę na odpoczynek i posilenie się, po czym ruszył w dalszą drogę. Starając się nie tracić kontaktu ze strumykiem, który płynął do jakiejś większej, może dużej rzeki – do Donu. Nie było to jednak łatwe i możliwe. Ciek strumienia miał kierunek zmienny, częste zakręty i meandry, a tu trzeba się trzymać możliwie prostego kierunku na zachód.

Noc nie była zbyt ciemna, na niebie świecił księżyc, ale jadąc szybko w terenie nieznanym, należało patrzeć do przodu, by nie natknąć się na jakąś przeszkodę. Tak pędząc, dotarł do terenu podmokłego. Pod kopytami konia chlupała woda. W tych warunkach musiał Kazimierz pozwolić mu iść stępa. Nie miał kompasu, w utrzymaniu kierunku na zachód pomagało mu w czasie dnia słońce, zaś nocą, jeśli niebo było pogodne, obserwował gwiazdę północną. Koń był głodny i zmęczony, potrzebował dłuższego odpoczynku i posiłku, toteż gdy skończyły się moczary i Kazimierz znów znalazł się na suchym terenie, spętał przednie nogi konia i pozwolił mu odejść na paszę. Ten, poszukując lepszej trawy, oddalił się. Rosły tam z rzadka drzewa, pod jednym z nich Kazimierz usiadł, oparł się plecami o jego pień i usnął.

Nie wiedział, jak długo spał, gdy nagle obudził go przeraźliwy jęk, a wkrótce rżenie duszonego konia. Kazimierz ze zgrozą w lot zrozumiał, że jego koń jest zarzynany przez wilki, a on nie może go uratować.

wać. Zresztą jest już za późno i trzeba myśleć o własnym bezpieczeństwie. Musiał jak najszybciej podjąć marsz pieszy, aby oddalić się od tego miejsca. Wilki po rozszarpaniu konia napełnią swoje żołądki i nie odejdą z tego miejsca, póki nie pożrą ostatniej kości swojej ofiary, a to może trwać kilka dni. Kazimierz był pełen obaw, że w dalszej drodze może natknąć się na inną watahę tych groźnych drapieżników. Ścisnął w ręce rękojeść toporka i rozglądając się szedł, ile starczało mu sił w nogach. Uspokajało go to, że w razie pojawienia się wilków ma kilka paczek zapalek, a ognia wilki się boją.

Ucieszyło go, gdy na wschodzie niebo bladło, różowiało, zapowiadając wschód słońca. Wkrótce nastał dzień. W pewnym momencie zauważył wzniesienie, coś jakby kopiec czy kurhan. Wszedł na jego szczyt i popatrzył przed siebie na zachód. Przed oczyma miał bezkresny step, aż do styku z horyzontem. Załamał go na chwilę brak wiary, że taką przestrzeń będzie w stanie przejść pieszo, ale tylko na chwilę. Patrząc nadal w tym kierunku, z determinacją postanowił pokonać wszystkie przeszkody w drodze do ukochanej żony i kraju rodzinnego. Roztropnie też pomyślał, że nie może nadużywać swych sił, rezygnując z wypoczynku. Usiadł na tym kopcu, sięgnął po posiłek, a po zaspokojeniu głodu usnął nagle, nie wiedząc kiedy. To zmęczenie i przeżyte emocje wyczerpały go, posiłek i sen warunkowały powrót jego sił.

Obudził się, gdy słońce już dość wysoko wytoczyło się na niebo. Ukląkł i zaczął się modlić, polecając Bogu dalszy swój los w tej śmiałej, ryzykownej ekspedycji. Rozumiał, że zwlekać nie może i musi wyruszyć w tę nieznaną drogę, najeżoną różnymi przeszkodami. Miał na sobie ciepłą, watowaną odzież przydatną na nocny chłód, ale utrudniającą szybki marsz w czasie dnia. Niósł torbę z żywnością i szynel, który przyda się w czasie snu lub deszczu. Ciepło wysyłane przez listopadowe słońce było słabe, przy tym lekki wiaterek stwarzał warunki do normalnego marszu. I szedł nasz samotny wędrowiec.

Po drodze napotkał jakiś krzak, wyciął z niego ładny, smukły pęd, który mu służył do podpierania się w obfitej głębszej trawie i też jako dodatkowa broń. Z uporem woli i ze wszystkich swych sił parł do przodu



i pokonał w tym dniu dużą odległość. Gdyby ktoś z oddalenia popatrzył na ten step zalany światłem słońca, mógłby dostrzec na horyzoncie mały, ciemny, ruchomy punkt. Tym punktem w wielkim stepowym obszarze był Kazimierz.

Czuł się już bardzo zmęczony. Na chwilę zatrzymał się dla odpoczynku, łyku wody z manierki i w tym momencie usłyszał gęganie i sznur dzikich gęsi na niebie. „Lecą na wieczorny żer i nocny odpoczynek – pomyślał. – Ale w tym samym kierunku co ja”. Doszedł do wniosku, że zbliża się do mokradeł albo wielkiej wody, chyba do Donu. „No, ale to może być jeszcze daleko na moje nogi” – pomyślał i zazdrościł ptakom ich skrzydeł i lotu. Jednak to zjawisko dodało mu animuszu i przyspieszył kroku. Po chwili usłyszał kwakanie i lecący klucz dzikich kaczek. To utwierdziło Kazimierza, że woda jest już niedaleko. Idąc, rozglądał się po terenie. Dzień zbliżał się ku wieczorowi i Kazimierz był już bardzo zmęczony, ale wola walki z tą przekłętą przestrzenią pchała go do przodu, więc szedł pochylony, opierając się kijem.

W pewnym momencie spojrzał na prawo i daleko na horyzoncie zobaczył szereg dymów. „To jakieś osiedle ludzkie” – pomyślał. Bał się kontaktu z ludźmi, ale że są daleko, nie zmieniał kierunku i szedł, a właściwie bardzo już wyczerpany włókł się do przodu, myśląc, że jeżeli są tu ludzie, to musi być rzeka. I rzeczywiście, zobaczył przed sobą krzaki. Była to nadbrzeżna łoża, a za nią szerokie koryto rzeki Don. Tak, to Don, co do tego nie miał wątpliwości. Pokonał pierwszy etap swojej ucieczki.

Co teraz uczyni, nie wiedział. Pragnął tylko paść gdzieś i odpocząć. Szedł brzegiem rzeki i szukał między łożami dogodnego miejsca na odpoczynek, szedł, jakby wiedziony niewidzialną ręką Opatrzności, bo natknął się na przycumowaną u brzegu rzeki łódź. Padł przy niej na kolana i dziękował Bogu, przekonany, że jest to niewątpliwie cud. Dzięki tej łodzi będzie mógł przedostać się na drugi brzeg. Ale to później, teraz konieczny jest spoczynek. Narwał suchej trawy i sitowia, wymościł nimi dno łodzi. Sięgnął po resztki zapasów jedzenia, a to, co zjadł, popił wodą i już nakryty szynelą pogrążył się we śnie. Spał całą noc.

O wschodzie słońca, gdy już się rozwidniło, obudziło go stukanie w łódź. Otworzył oczy i z przerażeniem ujrzał pochylonego nad nim staro, brodatego człowieka, który spytał go:

*Chto ty? (Ktoś ty?)*

Kazimierz usiadł i odpowiedział mu:

– *Ja biednyj, gołodnyj, biezorużnyj czelowiek.* (Jestem biednym, głodnym i nieuzbrojonym człowiekiem.)

– *Kak ty okazałsia w mojej łódkie?* (Jak się znalazłeś w mojej łódce?)

– *Wot, ja bieżeniec i chocz dojt do wołyńskiej guberni, na moju rodinu, w moju stranu.* (Jestem uciekinierem, chcę dojść do guberni wołyńskiej, do mojej ojczyzny, mojego kraju.)

Starzec myślał przez chwilę, patrząc na Kazimierza. Naraz podał mu rękę i powiedział:

– *A nu wstawaj i wychodi na bierieg. Ja wiżu, czto ty slizskom osłabieł. Tiebie nużen dlinnyj otdych i domaszniij uchod.* (No cóż, wstawaj i wychodź na brzeg. Widzę, że jesteś zbyt osłabiony. Potrzebny ci jest długi odpoczynek i domowa pielęgnacja.)

Wziął Kazimierza pod rękę i mówił dalej:

– *A nu pojdiom do mojej chatyny.* (Cóż, pójdziemy do mojej chaty.)

Kazimierz nie sprzeciwiał się i posłusznie szedł obok niego. Dom starca był dość daleko, leżał na skraju niedużego osiedla – *posiołka*. Gdy weszli do izby, gospodarz posadził Kazimierza przy stole i zawołał:

– *Nataszeńka, a nu chodi siuda.* (Nataszeńko, chodź tu.)

Z przyległej izby wyszła młoda kobieta i spytała:

– *Czoho, bat'ku, choczete?* (Czego chcecie, ojcze?)

– *Bystrien'ko prigotow' zawtrak etomu czelowieku, a to on oczen' gołodien.* (Szybciutko przygotuj dla tego człowieka śniadanie, bo jest bardzo głodny.)

Kobieta szybko rozpałała ogień pod płytą kuchenną, słyszało się brzęk naczyń i wreszcie smakowity zapach smażonej słoniny. Za chwilę ugotowane już były kartofle, nakrojony chleb i smażone na słoninie jaja. Natasza podała to gościowi i ojcu, przyniosła w kubkach herbatę i zaproszona przez ojca usiadła z nimi do śniadania.

Kazimierz jadł w milczeniu, w sercu mając wielką wdzięczność Bogu i gospodarzom. Po śniadaniu gospodarz przyniósł ze stodoły duży snop słomy, rozłożył przy ścianie i rzekł:

– *Zaraz ty oczen' nuždajeszsia w otдыхie. Lahaj spaty, a pohoworym zawtra.* (Teraz bardzo potrzebujesz odpoczynku. Kładź się spać, a jutro porozmawiamy.)

Kazimierz podziękował i wygodnie położył się na słomie, ale nim usnął, myślał jeszcze o tym, co go spotkało. **Gospodarz** budził w nim wielkie zaufanie i wdzięczność. To dobry człowiek, można liczyć jego na dalszą pomoc. Miał na myśli to, że przewiezie on go swoją łodzią na drugi brzeg Donu. W tej nadziei i z takimi myślami usnął tak twardo, że przespał resztę dnia i całą noc.

Rano obudził go skrzyp drzwi. To gospodarz wrócił od obrządku *chudoby*, a Natasza krzątała się przy sporządzaniu śniadania. Widząc gościa siedzącego na słomie gospodarz zapytał:

– *Nu kak, wyspałsia?* (No i jak, wyspałeś się?)

– *Wyspałsia choraszo, bat'ku, diakuju wam.* (Wyspałem się, ojcze, dziękuję.)

– *Tak mołysia Bohu i zawtrakat' budiem.* (W takim razie pomódl się i będziemy jeść śniadanie.)

Kazimierz odwrócił się do ikony na ścianie, ukląkł, przeżegnał się i odmówił pacierz. Bystry gospodarz zauważył, że żegna się inaczej niż oni, ale nic nie mówiąc, gestem zapraszał do stołu. W ciszy we troje spożyli poranny posiłek.

Natasza udała się do swoich zajęć w oddzielnej izbie, a starzec, siedząc przy stole na przeciw Kazimierza, zwrócił się do niego słowami:

– *Tak tiepier' rasskaży mnie wsio o siebie.* (A teraz opowiedz mi wszystko o sobie.)

Kazimierz spodziewał się takich pytań, ale teraz stanął przed dylematem, co mu powiedzieć, wszystko, czy czegoś nie zataić? Po tym krótkim namyśle uznał, że najlepiej odpowiedzieć na jego pytania. Nie miał zamiaru niczego ukrywać, ale niepytany wolał mówić jak najmniej o sobie.

– *Ja gotow, bat’ku, otwietit’ na waszy woprosy. (Jestem, ojcie, gotów odpowiedzieć na wasze pytania.)*

– *Nu, ładno – powiedział gospodarz. – Tak snaczała skaży mnie, kak twoi nastojaszczyje imia i familija. Ja dumaju, czto ty nie Stiepan. (No dobrze. Tedy najpierw powiedz mi, jakie jest twoje prawdziwe imię i nazwisko. Myślę, że nie Stiepan.)*

– *Prawilno, otiec, mienia zowut Kazimierz Lipiński. (Macie rację, ojcie. Nazywam się Kazimierz Lipiński.)*

– *Ty nawierno Polak? Ja zamietil, kak ty kriestiłsia. Skaży, kak ty siuda popał i ot kogo udirajesz. (Pewnie jesteś Polakiem. Zauważyłem, jak robiłeś znak krzyża. Mów, jak się tu dostałeś i przed kim umykasz.)*

– *Kogda bolszewiki otstupali ot Warszawy, wziali mienia w plien. (Kiedy bolszewicy wycofywali się spod Warszawy, wzięli mnie do niewoli.)*

– *Ty wojennyj? (Jesteś wojskowym?)*

– *Niet, ja graždanskij, a popał w ichnije ruki, koły wozom jichał prywezy żyto. Oni zastawili mienia wezti ich moim wozom i daże nie razrieszyli mnie poproszczat’sia z sem’joj. I tak ja okazałsia daleko za Donom. Ja rieszył udirat’, kogda oni gotowilis’ k pochodu dalsze na wostok, wojewat’s Biełoj Gwardijej. (Nie, cywilem, a wpadłem w ich ręce, kiedy jechałem wozem, by przywieźć żyto. Zabrali mi konia i wóz i nawet nie pozwolili się pożegnać z rodziną. Znalazłem się daleko za Donem. Postanowiłem uciec, gdy szykowali się do marszu dalej na wschód, by walczyć z Białą Gwardią.)*

– *A ty ostawyl bat’ka i matir doma? (Zostawiłeś ojca i matkę w domu?)*

– *Da. (Tak.)*

– *A chto pry jich ostałsia? (A kto z nimi został?)*

– *Moj starszuj brat i mładszaja siostra. (Mój starszy brat i młodsza siostra.)*

– *Tak ty, biednyj, pierieżył użasnoje wriemia. Mołodiec, czto udrał. Ja, gołubczik, nie Russkij, ja Biełorus. Nasz posiołok biełorusskij, wsiego dwie siem’ji russkije, odnako eto wsio charoszyje ludi. Wot, ty mnie skazał wsio, czto ja chotiel’ znat’, a tiepier’ posłuszaj mienia. Na wsiakij słuczaj*

luczsze ty gowori, czto ty Stiepan Lipin, a czto kasajetsia mienia, tak ty nie zabywaj, czto mienia zowut Maksym Dubowicz. W posiołkie ja skażu, czto ty moj swojak. A na szczot dalniejszego twojego pochoda na rodinu, k roditielam, ja dumaju, czto siejczas eto niewozmożno. Dywysia czerez okno, nocz'ju wypał śnieg. Wże naczynajetsia zima. Ja uże produmał eto dieło i tiepier, mnie każetsia, wsio zawisit od tiebia. Jesli ty rieszysz ostat'sia na zimiu u mienia, ja nie protiv. Ty nie stiesniajsia, czto ja tiebia prihołubił, u mienia jest' rabota dla tiebia. A ot, baczysz, czto ja staryj i nie w siłach wsio sdiełat' w chozajstwie. K tomu że ja rybak i rybnaja łowla otnimajet u mienia mnogo wriemieni. Mnie nużna pomoszcz', i ja szczytaju na tiebia. Eto zawisit ot tiebia, pieriezimujesz, a wiesnoj, zachociesz – pojdiosz, zachociesz ostat'sia – ja tiebie pomogu. (Biedny, przeżyłeś straszny czas. Zuch z ciebie, żeś uciekł. Ja, gołabczku, nie jestem Rosjaninem, lecz Białorusinem. Nasza wioska – białoruska, tylko dwie rodziny są rosyjskie, ale wszystko to dobrzy ludzie. Tak więc powiedziałeś mi wszystko, co chciałem wiedzieć, a teraz ty mnie posłuchaj. Na wszelki wypadek mów lepiej, żeś Stepan Lipin, a co do mnie, nie zapominaj, że nazywam się Maksym Dubowicz. We wsi powiem, że jesteś moim krewniakiem. Gdy chodzi o twoją dalszą wyprawę do ojczyzny i rodziców, sądzę, że teraz to niemożliwe. Popatrz przez okno. Nocą spadł śnieg. Już zaczyna się zima. Przemyślałem sprawę i wydaje mi się, że teraz wszystko zależy od ciebie. Jeśli zdecydujesz się zostać u mnie na zimę, nie mam nic przeciwko temu. Nie krępuj się, że cię przyhołubiłem, bo mam pracę dla ciebie. Ot, widzisz, stary jestem i nie mam siły, by wszystko zrobić w gospodarstwie. Do tego jestem rybakiem i łowienie ryb zabiera mi dużo czasu. Potrzebna mi pomoc, więc liczę na ciebie. To zależy od ciebie. Przechodzisz, a wiosną zechcesz – pójdziesz, nie zechcesz – pomogę ci.)

Kazimierz był przekonany, że trafił na człowieka życzliwego, ale takiej propozycji z jego strony nie spodziewał się. „To Opatrzność przez osobę tego człowieka rzuca mi koło ratunkowe, abym nie zginął i wrócił do swojej rodziny” – myślał. Z konieczności ten czas powrotu będzie późniejszy o całą długość zimy. W odpowiedzi podszedł do gospodarza, ucałował jego rękę i rzekł:

– *Eto Hospod' izwolił, czto ja popał w waszy błagorodnyje ruki. Wy spasajetie mnie żyzn', a na szczot raboty, ja gotow priniat'sia za lubuju. Ja priwyk rabotat'.* (To Pan Bóg pozwolił, że dostałem się w wasze szlacheckie ręce. Ratujecie mi życie. A co do pracy, przyjmę każdą. Przywykłem pracować.)

– *Nu, ładno, hołubczyk, szczytaj moju chatu swojej. A wot eta kojka z siohodnisznioho dnia budiet twoja, potomu czto ja wsieгда splu na chlebnoj pieczkie. U Nataszy swoja komnata. Ona nie moja doczka, chotia ja jejo lublu kak swoju. Jejo mat', to jest' moja siostra, pomierła, a bat'ko pogib na wojnie. Natasza eto dorohońkaja moja dytyna.* (Dobrze, gołubczku, uważaj moją chatę za swoją. Ta leżanka będzie od dziś twoja, bo ja zawsze śpię na piecu chlebowym. Natasza ma swój pokój. Ona nie jest moją córką, chociaż kocham ją jak swoją. Jej matka, a moja siostra umarła, a ojciec zginął na wojnie. Natasza to moja najdroższa dziecina.)

Tak więc Kazimierz tego poranka dowiedział się tak wiele. Przede wszystkim to, że nie musi podejmować dalszej ryzykownej, można powiedzieć beznadziejnej wędrówki, że znalazł się w domu przyjaznym, w którym może się czuć bezpieczny i swobodny jak w swoim. Poznał też relacje domowników i swoją rolę w tym domu i gospodarstwie. Perspektywa pracy cieszyła go jako rekompensata za udzieloną mu możliwość przetrwania zimy.

Na razie gospodarz nie wyznaczał mu pracy. Może uważał, że chłopak po tylu przejściach potrzebuje ochłonąć i wypocząć, ale Kazimierz z własnej inicjatywy sam ją rozpoczął. Najpierw przeglądał dom, dach, okna, drzwi, stan umeblowania. Obejrzał też budynki gospodarskie i ogrodenia. Odnotował wiele usterek i potrzeb naprawy, uszczelnienia i ocieplenia na zimę. Gospodarz posiadał nieco różnych narzędzi, materiałów i gwoździ. Kazimierz rozpoczął pracę od naprawy dachów. Bystry gospodarz, który sam znał się na różnych robotach, w lot zorientował się, że jego gość potrafi wiele, a że jest młody, zrobi to, czego on już fizycznie nie jest w stanie wykonać, i rósł u niego respekt dla Kazimierza i budowała się ich wzajemna domowa zażyłość. Wieczory spędzali razem, gawędząc, i wtedy bywało, że przysłuchiwała się im Natasza, prze-



dąc przy tym len. Zdawało się, że wszystko jest (jak to mówią) „takie sielskie, anielskie”. Ale gdyby zajrzeć w głąb duszy Kazimierza, to nie było tam spokoju: uporczywie drążył ją robak wielkiej tęsknoty za Martynką, rodziną i ziemią ojczystą. Starał się tego nie okazać, ale zdradzały to nie zawsze opanowane, głębokie westchnienia.

\*

A jaka sytuacja w tym czasie była w Brzezinach?

W całej wsi i dworze powoli odbudowywano straty i szkody wyrządzone przez bolszewicką nawałę. Szczególnie ucierpiał dwór. Tylko dzięki Matyldzie, Mikołajowi i niektórym wiernym gospodarzowi robotnikom i pastuchom udało się uratować trochę dobytku. Pan Włodzimierz, który szczęśliwie wrócił z wojny, teraz pracował od rana do wieczora. Zatrudniał kilku parobków ze wsi. Pani Matylda została zaangażowana przez urząd oświaty jako nauczycielka. Władze polskie wprowadziły obowiązkowy system nauczania. Każde dziecko musiało uczęszczać do szkoły aż do ukończenia czterech klas szkoły powszechnej. Oprócz Matyldy w szkole pracował jeszcze jeden dotychczasowy nauczyciel. Zgodnie z polskim prawem w szkołach, w których większość stanowią dzieci ukraińskie, językiem nauczania był ich język, a oprócz tego były obowiązkowe godziny języka polskiego.

Zbliżała się zima. Już w pierwszych dniach grudnia ostry mróz skuł lodem wody Słuczy i przybrzeżnych moczarów. Potem spadł obfity śnieg i grubą warstwą, jak pierzyną, pokrył i ubielił całą okolicę. Chłopskie chaty o słomianych dachach pokryły grube czapy puszystego puchu. Zasypane zostały ulice i zagrody. Szczególnie poranek był cichy, bezwietrzny, śnieg już nie padał i panowała cisza, majestatyczna zimowa cisza, nawet ptaszek nie zaćwierkał. Wróble i sikorki pochowały się gdzieś w zakamarkach strzech, a nawet wewnątrz stodoł. Dopiero później gospodarze z łopatami wychodzili do usuwania śniegu z przejść do obór i studni, udrażniali ulice i dojścia do zagród. Wtedy słyszało się porykiwanie bydła domagającego się żeru i wody, kwik świń i gdakanie kur.

Wieś budziła się z tego zimowego snu. W taki to grudniowy dzień Martynka poczuła bóle porodowe. Za chwilę pojawiła się przy niej zawsze opiekuńcza i czujna żona Władysława, Bronisława. Posłano po miejscową wiejską akuszerkę. Była nią kobieta w starszym wieku, która w młodości pracowała w kijowskim szpitalu na oddziale porodowym i posiadała doświadczenie położnicze. Obie kobiety asystowały przy porodzie pierwszego dziecka Kazimierza i Martynki. Była nim dziewczynka. Dzieciątko głośnym płaczem powitało świat, na który przyszło. Ale w subtelnym odczuciu matki nie był to płacz, lecz tryumfalny krzyk owocu wielkiego misterium, w którym z miłości dwojga ludzi i z woli Stwórcy zaistniało życie nowego człowieka, które dojrzało w łonie matki i teraz przychodzi na ten świat do rodziny, by z nią żyć, rozwijać się, kochać i być kochanym.

\*

Och, gdyby anieli niebiescy zanieśli ten płacz Kazimierzowi, z jak ogromnym przejęciem on by to przyjął, jak bardzo zapragnąłby lotem gołębia do nich przybyć... Może dobrze, że nic o tym nie wiedział, chociaż przeczuwał, że już nadszedł ten czas. W jego myślach, marzeniach i snach dominowało pragnienie połączenia się z rodziną. To nie dawało mu spokoju. Ten męczący stan jego ducha w pewnym stopniu rekompensowała praca.

Gospodarstwo Maksyma było średniej wielkości. Należało do niego kilka dziesięcin ornej, żyznej, stepowej ziemi i duży obszar łąk, z których pozyskiwał siano, a za arealem tych łąk rozciągał się nieograniczony obszar pastwisk dla koni i krów, z którego korzystali wszyscy mieszkańcy tego niedużego posiołka, położonego w szczerym stepie w pobliżu Donu. Kilka wiorst od zabudowań rósł gęsty las. Do najbliższego miasteczka było około dwudziestu wiorst. Do tego odosobnionego osiedla nie prowadziły żadne drogi, był otoczony stepowymi bezdrożami. Chyba z tego powodu w czasie wojny nie docierały tu wojska i nikt tu nie widział bolszewików, chociaż tereny te leżały w strefie ich panowania. Ta sytuacja sprzyjała Kazimierzowi, który ciągle obawiał się, że osiągną go jego prześladowcy.

Wszelkie prace naprawcze Kazimierz zakończył przed zimą. Pozostało mu wypełnienie drewnutni drewnem opałowym. Duże stosy suchych gałęzi i pni drzewnych, które jesienią z Maksymem nawieźli z lasu, trzeba było porąbać siekierą lub ciąć piłą. To było teraz głównym jego zajęciem w czasie zimowych już dni. Wieczorami odpoczywał w ciepłej izbie, słuchając ciekawych opowieści Maksyma o wydarzeniach z jego życia. Zawsze towarzyszyła im Natasza, która częstowała ich suszonymi *siemiuszkami* (suszone ziarna dyni). W takich momentach Kazimierz dostrzegał, że ta urodziwa dziewczyna bada go wzrokiem, jak gdyby był on obiektem jakiegoś szczególnego jej zainteresowania. Intuicja męska mówiła mu, jakie to zainteresowanie, ale zachował spokój i powagę, nie dając żadnego powodu do podejrzeń, że tak to rozumie. Nataszę szanował jako dziewczynę dobrą, mądrą i pracowitą, ale była przy tym bardzo małomówna. Nieraz bez słów pracowali wspólnie przy obrządku *chudoby* lub przy piłowaniu opałowego drewna. Była gospodynią tego gościnnego dla niego domu.

Panowała mroźna, śnieżna zima i w domu przebywało się stale, poza wyjściem do obrządki dobytku. Pewnego wieczoru po kolacji i dłuższej gawędzie z Maksymem ten odszedł na piec, by położyć się do snu. Przy stole zostało ich dwoje. Kazimierz trzymał na obu swoich rękach motek nici, a Natasza tę nić zwijała w kłębek i od czasu do czasu filuternie zerkała na niego. Gdy skończyli, podsunęła misę z *siemiuszkami* i zachęcała do wspólnego raczenia się tym przysmakiem. Kazimierz spodziewał się raczej, że po zwinięciu nici Natasza odejdzie do swojej izby. Stało się inaczej i nie wypadało odmówić. Przez pewien czas w milczeniu łuskali pestki, ale Kazimierz zauważył, że jest pod stałym obstrzałem spojrzeń dziewczyny. Nie uszło jego uwadze, że te spojrzenia mają wyraźne cechy zalotności. Znalazł się w kłopotliwej sytuacji, ale udając, że niczego nie zauważa, skupił się na łuskaniu *siemiuszek*. Później, gdy Natasza odeszła, a on położył się do łóżka, natrętne myśli cisnęły mu się do głowy. Pomyślał, że chyba zrobił błąd, ograniczając informację o sobie tylko do odpowiedzi na pytania Maksyma. Należało powiedzieć mu więcej, także o tym, że jest człowiekiem żonatym. Miałoby to wpływ na zachowanie Nataszy w stosunku do niego.

Ona była piękną dziewczyną, on przystojnym młodym mężczyzną. Jej spojrzenia mogły być wyrazem wrodzonej, niewinnej, dziewczęcej kokieterii. Przysłowie ludowe mówi: „Nie ma miłości bez obecności”. Zawarte w nim ostrzeżenie nakazuje czujność. Kazimierza, kochającego żonę Martynkę, też nie omijały pokusy. Przysparzała mu ich Natasza, nie tylko spojrzeniami, ale też podczas wspólnej pracy czy posiłków, gdy podsuwała mu najlepsze kęski. Nie mógł tego nie zauważyć Maksym, który to aprobował, bo polubił Kazimierza. Martwiło to Kazimierza, bo był on człowiekiem odpowiedzialnym i rzetelnym, dlatego właśnie zastanawiał się, czy o swoim małżeństwie nie powiedzieć Maksymowi. Niespodziewanie wszystko zostało wyjaśnione w niezwyklej rozmowie zainicjowanej przez samego Maksyma. Stało się to wtedy, gdy obaj byli sami w domu. Natasza z sąsiadami pojechała do miasteczka. Wówczas Maksym otworzył w podłodze izby dość dużą przykrywą i wszedł do znajdującej się tam piwnicy, w której w czasie zimy przechowywane były kartofle i warzywa. Po pewnym czasie wyszedł stamtąd, trzymając w rękach *kastrulku* (rondelek). Usiadł w izbie na ławie i przywołał Kazimierza, aby usiadł obok niego. Chwilę Maksym myślał, a potem powiedział:

– *Ty, Stiepanko, użе s nami niekotoroje wriemia żywiosz. Ja tiebia szczytaju choroszym, dobrosowiestnym czelowiekom. Ty znajesz, w mene ona odna, dorohońkaja Natasza. Ja staryj, dołgo nie pożywu, i tomu w mene odna welykaja żurba: szczo bude s neju po mojej smerti, s kiem ona ostanietsia. U mienia choziajstwo niebogatoje, no wsio eto budiet jejo. Kromie tego jest’ u mienia jeszcze koje – kakije sbierieżenija, eto tożе dla niejо.* (Ty, Stepanko, mieszkasz już od jakiegoś czasu z nami. Uważam cię za dobrego, sumiennego człowieka. Wiesz, że mam ją jedną, najdroższą Nataszę. Ja stary, długo nie pożyję i dlatego czuję wielką troskę, niepokój, co z nią będzie, z kim zostanie. Moje gospodarstwo niebogate, ale wszystko to będzie jej. Oprócz tego mam jeszcze trochę oszczędności – też dla niej.)

I zdjął Maksym pokrywkę z rondelka, a oczom Kazimierza ukazały się złote monety, *piatiorki* i imperiały. Było tego dużo, Maksym przegarnął je ręką i rzekł:

– *Możno skazać, czto eto sbierieżenija mojej żyzni. Kogda-to ja był szachtiorom, a także żeleznodorożnym koczegarom.* (Można by rzec, że to oszczędności mojego życia. Kiedyś byłem górnikiem, a potem palaczem na kolei.)

Kazimierz patrzył na tę niezwykłą kasę, zaskoczony i zażenowany zwierzeniami Maksyma, o których wolałby nie wiedzieć. Dziwiło go, po co on wtajemnicza go w swoje rodzinne sprawy. Po chwili Maksym mu to wyjaśnił:

– *Stiepanko, wot ja wsio produmał i u mienia k tiebie sierjoznyj wopros. Otwiet' mnie czestno: ty chotiel by żeniťsia na mojej Natasze? Ty so-głasien wziat' jejo w żenu?* (Stepanko, wszystko przemyślałem i mam do ciebie poważne pytanie. Odpowiedz mi uczciwie, czy chciałbyś się ożenić z moją Nataszą? Czy zgadzasz się pojąć ją za żonę?)

Kazimierz w tym momencie poczuł się jak porażony piorunem. „Boże mój, co on do mnie mówi... No tak, przecież on nie wie, że jestem żonaty, to ja zrobiłem błąd, nie wszystko powiedziałem o sobie”. Rzucił się do rąk starca, całował je, mówiąc:

– *Dorogoj otiec, ja waszu Nataszu oczen' uważaju, no mnie nielzia do jejo trogat', daże dumat' pro niejo nie mogu. U mienia jest' žena.* (Drogi ojcze, bardzo szanuję waszą Nataszę, ale nie wolno mi jej tknąć, nawet myśleć o niej mi nie wolno. Ja mam żonę.)

Trzymany przez Maksyma ronderek z monetami spadł z brzękiem na podłogę, on zaś odchylił się do tyłu, oparł głowę o ścianę i milczał chwilę, zaskoczony i przejęty sprawą. Kazimierz z lękiem oczekiwał reakcji starca, spodziewał się wybuchu gniewu z jego strony, ale gniewu nie było. Ten dobry, szlachetny człowiek uniósł głowę, skierował swój wzrok na Kazimierza, po czym spokojnym, cichym i drżącym głosem pytał:

– *Synok, da poczemu ty nie skazał mnie ob etom rańsze?* (Synku, czemu nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?)

– *Ja otwicział na waszy woprosy, baťku. Wy taki nie spraszywali mienia, czy ja chołostoj. Nie chotiel ja was biespokoit' moimi sobstwiennymi problemami. Poetomu ja promolczał, szczo ja uże rańsze poliubył diwczy-nu i na niej żeniłsia. Żał, czto ja wam nie skazał ob etom. Izwinitie, eto*



*moja bolszaja oszybka.* (Odpowiadałem na wasze pytania, ojcze. Nie pytałeś, czy jestem kawalerem. Nie chciałem was niepokoić moimi własnymi problemami. Dlatego przemilczałem, że już wcześniej pokochałem dziewczynę i się z nią ożeniłem. Szkoda, że nie powiedziałem wam o tym. Wybaczcie, nie miałem racji.)

*–Nie turbujsia, Stiepanko, mojo otnoszenije k tiebie nie mieniajetsia, wsio ostajotsia, kak było. Ty czestnyj czełowiek. Ja tiebia po-prieżniemu uważaju i lublu kak syna. I ja tiebie żelaju szcástliwo wiernuťsia domoj k żenie i siemje.* (Nie martw się, Stepanko, mój stosunek do ciebie się nie zmienia, wszystko zostaje tak, jak było. Jesteś uczciwym człowiekiem. Szanuję cię jak dawniej i kocham jak syna. A także życzę ci szczęśliwego powrotu do domu, do żony i rodziny.)

W życiu człowieka niespodziewanie może wydarzyć się coś, co przynajmniej go o wstrząs. Tego doświadczyli oni obaj. Szczególnie plany i marzenia starego Maksyma legły w gruzach.

Kazimierz natomiast po tym dramatycznym dialogu, w którym wyjaśnił gospodarzowi, że z jego łaski jest tylko gościem w tym domu, ochłonął i poczuł się dobrze. Pomógł mu w tym Maksym swoją wyrozumiałością i wręcz ojcowską postawą. Dyskomfortem pozostało tylko to, że nie uprzedził gospodarzy o swoim małżeństwie, co oszczędziłoby Maksymowi bolesnego rozczarowania.

Dalsze dni w tym domu płynęły Kazimierzowi bez większych zmian. Natasza nadal faworyzowała go jako gospodyni podczas podawania posiłków, tylko zauważył wyraźny smutek w jej twarzy. „Widocznie Maksym przeprowadził z nią jakąś rozmowę” – myślał.



## Powrót do domu

Zbliżała się wiosna. Dzień stawał się coraz dłuższy, a słońce grzało coraz mocniej. Śnieg ginął w oczach, a w sercu Kazimierza rosła tęsknota i niecierpliwość w oczekiwaniu dnia wymarszu do domu. Również stary Maksym myślał o tym. Z uwagą obserwował aurę, zachowanie i stan wody Donu.

Był koniec kwietnia 1921 roku. Wiosenne słońce i ciepły wiatr spowodowały, że przybrzeżne lody zniknęły, a kra lodowa spłynęła do morza. Z każdym dniem wody Donu obniżały swój poziom. Na nadbrzeżnych łożach zakwitły baze. Towarzyszyła temu wzmożona migracja różnego gatunku ptactwa wodnego. Maksym uznał, że są już odpowiednie warunki do przetransportowania Kazimierza na drugi brzeg Donu. Miał to wykonać w asyście i przy ewentualnej pomocy swego przyjaciela, rybaka, który na swej łodzi pozostanie przy brzegu rzeki. Don jest rzeką szeroką, a jego nurty mają groźne zawirowania, trudne do opanowania nawet doświadczonemu wioślarzowi, zwłaszcza na małej łodzi.

Dla bezpieczeństwa połączono liną obie łodzie. Jedna z nich była przycumowana u brzegu, a drugą Maksym i Kazimierz mieli płynąć do przeciwległego brzegu, a w razie zagrożenia asekurowający mógł za pomocą tej liny pomóc partnerom wyjść z impasu.

Były pierwsze dni maja. Natasza przygotowała Kazimierzowi torbę suszonego chleba i kawałek słoniny. Maksym poprosił Kazimierza na rozmowę. Gdy ten usiadł przy nim, rzekł:

– *Ja dumaju, czto ty znajesz, czto u tiebia wpieriedi dalnij put'. Tolko do Dniepra, można szczytat', budiet czetyrye sotni wiorst, a rieka Dniepr*

*toże szyrinoj nie mien'sze Dona. Ty pokazał mnie twoju kartu. Ja u susida distaw karmannyj kompas, cztob ty mog udierzał azimut – naprawlenije twojego pochoda, On tiebie budiet polezien osobiennono noczju. I jeszcze odno. Kak tolko pierieprawim tiebia za Don, pojdiesz priamo na zapad. Kak pieriejdziesz dwadcat' wiorst, budiet lesok, za leskom - posiołok. Tam żywe mij ridnyj brat, Konrad Dubowicz. Zajdziesz k niemu otdochnut'. On razwodit łoszadiej. Wot, tut ja napisał jemu pi'smo, cztob dał tiebie ka-kuju-nibud' łoszadionku. Posle ja s nim rassczytajus'. (Myślę, że wiesz, że przed tobą daleka droga. Można liczyć, że tylko do Dniepru będą cztery setki wiorst, a szerokość rzeki Dniepr jest nie mniejsza niż Donu. Pokazałeś mi swoją mapę. Dostałem od sąsiada kompas kieszonkowy, żebyś mógł łatwo wyznaczyć kierunek twojej wyprawy, żebyś nie zabłądził, zwłaszcza nocą. I jeszcze jedno. Jak tylko przeprawimy cię przez Don, pójdiesz prosto na zachód. Jak przejdiesz dwadzieścia wiorst, będzie lasek, za laskiem wioska (osada). Tam mieszka mój rodzony brat – Konrad Dubowicz. Wstąpisz do niego, żeby odpocząć. On hoduje konie. Oto tu napisałem mu list, żeby dał ci jakiegoś konika. Później się z nim rozliczę.)*

Po oddaniu Kazimierzowi listu Maksym sięgnął do kieszeni i dał mu kilka złotych monet, mówiąc:

– *Eto tiebie za twoju rabotu. Możet tiebie ponadobiatsia w puti.* (A to dla ciebie za twoją pracę, może ci się przyda w drodze.)

Kazimierz w podziękowaniu ucałował rękę starca i powiedział:

– *Ja ocen' błagodarien wam, dorogoj otiec, za wsio, czto ja połuczył ot was i w waszem domie.* (Jestem wam, ojczu, bardzo wdzięczny za wszystko, co otrzymałem w waszym domu.)

Następnego dnia wczesnym rankiem Kazimierz opuszczał gościnny dom. Najpierw ukląkł przed ikoną Matki Bożej i w krótkiej, żarliwej modlitwie polecił Jej swoją ekspedycję. Potem podszedł do Nataszy, objął ją i dziękował, że była mu dobra jak siostra. Chwycił torbę z żywnością i ekwipunkiem na podróż i razem z Maksymem, który już na niego czekał, wyruszyli na brzeg Donu. Tu był już wspomniany partner Maksyma. Nie zwlekali, wkrótce Maksym i Kazimierz wypłynęli na rzekę. Obaj

wiosłami kierowali łódź ku drugiemu brzegowi, ale prąd rzeki znosił ją w kierunku jej spływu. Wtedy partner Maksyma liną zamocowaną przy rufie łódki porywanej przez prąd nurtu rzeki, powstrzymywał ją na chwilę, a oni obaj intensywnie wiosłowali. W ten sposób łódka po linii ukośnej zbliżyła się do przeciwległego brzegu. Chwycili gałęzie rosnące tam łoży i przyciągnęli łódkę. Kazimierz w pożegnaniu objął Maksyma i wyskoczył na brzeg. Chwilę jeszcze rozmawiali ze sobą. Maksym pokazał mu kierunek, gdzie jest posesja jego brata, wyrzekł ostatnie pożegnane słowa:

– *Niechaj ciebia Boh chranit* (Niech cię Bóg chroni) – i ręką wykonał znak krzyża.

Po czym dał znak swojemu koledze, aby ten ściągał łódkę w swoim kierunku. Kazimierz stał na brzegu i patrzył na oddalającego się Maksyma. Gdy ten dotarł do drugiego brzegu, pomachali do siebie rękami, Kazimierz przeżegnał się i ruszył w obranym kierunku.

Dzień był pogodny i ciepły. Nasz wędrowiec nie miał łatwego marszu. Jego nogi nurzały się w ubiegłorocznej gęstej, suchej i wysokiej trawie, z której wychodziła już młoda, zieleniejąca, wiosenna, a wśród niej kwiaty. Miejscami step mienił się kolorami różnych kwiatów. Kazimierz obserwował wzmożony ruch różnego ptactwa, tego lecącego w różnych kierunkach i tego gnieźdźącego się w trawie, które, idąc, wypłaszał. Step już rozbudził się z zimowego snu i teraz gadał piskiem, gwizdem i szczebiotem ptactwa, bzyczeniem owadów i ważek, cichym wachlowaniem różnokolorowych skrzydeł licznych motyli, upajał powietrzem przesyconym delikatną wilgocią i zapachem kwiatów. Ta sceneria i atmosfera kojąco działała na duszę i samopoczucie Kazimierza. Mimo wielu przewidywanych i jeszcze niewiadomych przeszkód oraz groźby ewentualnego dostania się w ręce bolszewików, był w optymistycznym nastroju. Cieszyło go, że wreszcie minął czas oczekiwania i że znów jest w drodze do domu, że każdy krok zbliża go do niego i mimo trudu prze do przodu.

W miarę pokonywania tej przestrzeni teren urozmaicał się. Tu i ówdzie pokazywały się kępki lasu lub moczary porośnięte krzakami i oczere-tem, pełne skrzeczących żab i płazów. Aż wreszcie na horyzoncie zobaczył

pasmo lasu. Ucieszył go ten widok, za nim przewidywał osiedle ludzkie, do którego zmierzał. Las rzeczywiście w tym miejscu nie był głęboki. Po przejściu około wiorsty wyszedł na otwartą przestrzeń i w pewnej oddali zobaczył domy oraz zabudowania posesiłka.

Było to małe osiedle – kilka gospodarstw. Gdy zbliżył się do pierwszej zagrody, zobaczył w niej duże budynki gospodarskie i ogrodzony wybieg dla koni, na którym pasło się kilkanaście sztuk. „Ach, to chyba ten dom” – pomyślał. Gdy otworzył furtkę ogrodzenia domu i chciał wejść na posesję, został zaatakowany przez dużego psa, który wyszedł ze swojej budy i zajądło na niego czekał. Ten psi alarm wywołał z domu gospodarza. Trzymając rękę nad oczami patrzył w kierunku przybysza, który powitał gospodarza słowami:

– *Zdrowstwujić i sława Bohu.* (Dzień dobry i niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.)

– *Sława na wieki* (Na wieki wieków. Amen) – odpowiedział tamten.

– *Wy Konrad Dubowicz?* (Czy wy jesteście Konradem Dubowiczem?)

– *Da, ja* (To ja) – odpowiedział gospodarz.

Kazimierz podszedł do niego, podał mu rękę i przedstawił się.

– *Mienia zowut Stiepan Lipin. Ja prziszł ot waszego brata Maksyma, a wot wam piśmo ot niego.* (Nazywam się Stiepan Lipin. Przyszedłem od waszego brata, Maksyma. A oto list od niego.) – i podał mu list Maksyma.

Gdy ten czytał, Kazimierz mu się przyglądał. Ruchy i sylwetka ciała wskazywały, że jest znacznie młodszy od Maksyma, ale długie, dawno niestrzyżone włosy i broda, jak też niedbały strój, temu zaprzeczały i wydawało się, że to jakiś pustelnik. Gdy po przeczytaniu listu podszedł bliżej do Kazimierza, ten zobaczył jego bystre, z ciekawością patrzące oczy, opaloną słońcem i wiatrem stepowym twarz, po czym usłyszał:

– *Tak wy ot Maksyma...* (A więc jesteście od Maksyma.)

Kazimierz w tym spojrzeniu i słowach wyczuł swoiste ciepło, przypominające mu Maksyma.

– *Tak proszu was w chatu.* (W takim razie proszę do izby.) – I ujął delikatnie Kazimierza pod rękę, prowadząc do wnętrza swojej sadyby.

W wielkiej izbie uwijała się przy piecu kobieta w średnim wieku. Konrad zwrócił się do niej:

– *Jewdocha, prigotow' wkusnyj obied. U nas gost' ot Maksyma.* (Jewdocha, przygotuj smaczny obiad. Mamy gościa od Maksyma.)

Kobieta popatrzyła na Kazimierza i rzekła:

– *Priwiet wam!* (Dzień dobry.)

– *Zdrawstwujtie* – odpowiedział Kazimierz.

– *Eto moja žena, Jewdocha. U mienia jest' jeszcze doczka, no ona zamujem, za naszym susidom i żywe u cjomu seli.* (To moja żona Jewdocha. Mam jeszcze córkę, zamężną, wyszła za naszego sąsiada i mieszka w tej wsi.)

Kazimierz rozejrzał się po izbie. Była obszerna i ciemna. Przez okna wpadało światło dzienne, ale drewniane ściany i sufit niebielone, z widocznymi słojami i sękami, przypominały drewnianą kaplicę. Podkreślały to duże ikony zawieszone na ścianie, przy której stało łóże małżeńskie nakryte puszystą kapą, a na niej leżały dwie duże poduszki. Na ścianie nad łóżkiem wisiała strzelba myśliwska. Na pozostałych ścianach znajdowały się malowane sceny rodzajowe oraz kilka poroży jeleni i kozłów. Wszystko wskazywało na to, że gospodarz uprawia myślistwo. Konrad nie przeszkadzał swojemu gościowi w lustracji jego domu. Dopiero później powiedział:

– *Kak widitie, u mienia biednaja chata, potomu czto ja nikogda nie zaboitiłsia o niej. Mojo dieło – koniusznia. U mienia wsiegda było nie mienieje sotni łoszadiej. Żydy prijezzali pokupat', a ja im prodawał. Tiepier' nie stoit razwodit' łoszadiej, potomu czto kak pridut bolszewiki, zabierut u mienia wsio, nie daw mnie ni kopiejki. Poetomu siejczas u mienia w koniusznie wsiego tridcat' łoszadiej. Eto toże sliszkom mnogo i ja zakanczywaju s etim, a łoszadiej razdam sosiediam. Konieczno, wam toże dam. Mojo malen'koje choziajstwo snabżajet nas wsiemi nieobchodimymi produktami. Ja zanimajus' ochotoj i poetomu u nas na stole czasto bywajet dicz.* (Jak widzicie, mam biedną chatę, bo nigdy się o nią nie troszczyłem. Moją rzeczą jest stajnia. Zawsze miałem co najmniej setkę koni. Żydzi przyjeżdżali kupować, a ja im sprzedawałem. Teraz nie warto hodować koni, dlatego że jak przyjdą bolszewicy, zabiorą mi wszystko i nie dadzą

ani kopiejki. Dlatego teraz mam w stajni wszystkiego trzydzieści koni. To też za dużo, więc kończę z tym i konie rozdaję sąsiadom. Oczywiście wam też dam. Jedzenia nam starczy. Poluję, dlatego na moim stole często bywa dziczyzna.)

W tym czasie gospodyni nakryła stół, zapachniały smaczne potrawy... Zasiadli do spożycia obiadu. Gospodyni podała kumys i ser z koźiego mleka. Gospodarz jako myśliwy pragnął zaprezentować na stole sporo doskonałej dziczyzny. Była więc pieczeń z młodego dzika, był comber zajęczy. W czasie obiadu Kazimierz zwierzył się, że w swoim domu nie jadł tak smacznych dań. Na co gospodarz odpowiedział:

– *Diakuju! Dieło nie w kulinarnom iskusstwie, no w kaczeście produktow. Dicz – eto samoje wkusnoje mięso, chotia prigotowlienije obyknowiennoje. W to wriemia, kak ja był w russkoj armii powarom, Jewdocha była mojej pomoszcznicej. My togda poznaomilis’.* Etot nasz wojennyj opyt imiejiet wlijanije na domaszniuju kuchniu. (Dziękuję, rzecz nie w sztuce kulinarnej, ale w jakości produktów żywnościowych. Dzikizna to najsmaczniejsze mięso, a przyrządzenie jej jest bardzo proste. W czasie, kiedy służyłem w armii rosyjskiej, pełniłem funkcję kucharza, a Jewdocha była moją pomocnicą. Wtedy się poznaliśmy. Nasze wojskowe doświadczenie ma wpływ na domową kuchnię.)

Potem rozmowa toczyła się na inny temat. Konrad był zorientowany w aktualnej sytuacji politycznej. Pytał Kazimierza, czy wie o wielkiej klęsce bolszewików pod Warszawą w 1920 roku.

– *Polsza siejczas niezawisimoje gosudarstwo* (Polska jest teraz niepodległym państwem) – mówił.

To Kazimierza bardzo interesowało. Będąc w domu, cieszył się odzyskaną 11 listopada 1918 roku niepodległością, ale w roku 1920 bolszewicy w dużej sile najechali Polskę. Wiedział, że w bitwie pod Warszawą Polacy bolszewików pokonali. Sam widział wycofujących się w głąb Rosji bolszewików, przez nich został porwany. Jednak zwycięska bitwa nie świadczy o wygranej wojnie. Teraz usłyszał, że Polska jest niepodległa i ogarnęła go radość. „A więc wracam do rodziny i wolnej Polski...” – myślał. To jego poruszenie nie uszło uwadze Konrada, który powiedział:



– Rozrieszytie mnie skazat', czto u was, Polakow negatiwnoje otnoszenije k Russkim. Ja was ponimaju i razdieliaju waszu toczku zrienija, potomu czto Russkije byli zachwaczkami waszej strany. Eto prawda. Czto kasajetsia mienia, ja kak monarchist, storonnik caria, proti wiewoluciji i bolszewikow. Oni unicztoszat tiepieriesznij poriadok i wwiedut tierror i nesczastije w naszej stranie, potomu czto otricajut Boga i iskluczajut Boga iz žyjni czelowieka. Ja jeszcze nadiejus' na soprotiwlenije russkogo naroda, na Bieluju Armiju, na to, czto etot, anarchistiskij riežym nie prodieržyt-sia. My pobiedim, kak pobiedili Palaki pod Warszawoj. (Niech mi będzie wolno powiedzieć, że wy, Polacy, macie negatywny stosunek do Rosjan. Rozumiem was i dzielam wasz punkt widzenia, ponieważ Rosjanie byli zaborcami waszego kraju. To prawda. Co do mnie, ja jako monarchista, zwolennik cara, jestem przeciwnikiem rewolucji i bolszewików. Oni zniszczą obecny porządek, wprowadzą terror i nieszczęście w naszym kraju, ponieważ odrzucają Boga i wykluczają Boga z życia człowieka. Pokładam jeszcze nadzieję w oporze narodu rosyjskiego, w Białej Armii, w tym, że ten anarchistyczny reżim upadnie.)

Plonem tej rozmowy przy obiedzie dla Kazimierza była wiedza o sytuacji w tym kraju, przez który wiodła jego droga do domu, a przy tym dowiedział się, jaka jest postawa polityczna Konrada.

Nadchodził wieczór. Gospodarz musiał udać się do wieczornego ob-  
rządku zwierząt. Przede wszystkim konie musiały być sprowadzone z pa-  
stwiska do stajni. Miał do pomocy parobka, który pilnował i dbał o nie. Czyścił stajnię, czesał zgrzeblę konie, poił je i karmił. Jewdocha zaj-  
mowała się oborą – krowami, świniami i drobiem. Przy pracach w polu  
Konrad musiał korzystać z najemników. Całe to gospodarstwo pokazał  
Kazimierzowi, któremu wszystko to nie było obce, bo przecież sam był  
rolnikiem. Zauważył jednak pewne różnice w stosowanych narzędziach  
czy metodach kultywacji ziemi.

W końcu Konrad zaprowadził gościa do stajni. Pokazał mu konie  
i powiedział, że jutro wybierze sobie jednego rumaka, który zanieśie go  
do Polski. Cudownie zabrzmiało to w uszach Kazimierza, ale momental-  
nie uświadomił sobie, ile niewiadomych przeszkód może go spotkać na

tej drodze. Po kolacji Kazimierz spędził noc w wygodnym łóżku w oddzielnej izbie.

Rano wyspany, wypoczęty i odświeżony był gotów do podróży. Jakoż po śniadaniu, zaopatrzony w wędzone mięso, słoninę i chleb, udał się z gospodarzem do stajni. Koni było zbyt dużo do wyboru. Pomógł mu w tym Konrad, radząc, aby wybrał konia tatarskiej rasy. Nie są one duże, ale bardzo odporne na trudy i szybkie, a poza tym doskonale pływają. Można na nich forsować rzeki, choć nie takie szerokie jak Dniepr, który będzie na drodze. Tej rasy koni miał Konrad zaledwie kilka sztuk. Polecał Kazimierzowi tego z nich, który oprócz wymienionych już zalet reagował na hasło *łożys'* i w razie potrzeby na takie polecenie kładł się. Wybrany i ofiarowany Kazimierzowi trzyletni „tatar” miał długą grzywę i nie trzymał głowy wysoko. Lśniąca, zadbana, gniada sierść i pełne wigoru ruchy świadczyły o sile i energii. Taki rumak gotów jest podjąć każde wyzwanie w kategorii biegowej.

Słowami wielkiej wdzięczności dziękował gospodarzom Kazimierz za gościnność i dar w postaci konia. Po czym ich pożegnał, dosiadł konia i wyruszył według obranego azymutu. Początkowo jechał stępa i dopiero gdy znikli mu z oczu pożegnalnie machający rękami gospodarze, nakazał rumakowi przejść w klus. Poranek był pogodny i ciepły. Kazimierz głęboko oddychał powietrzem przesyconym delikatną wilgocią, zapachem kwiatów i soczystych stepowych traw. Modlił się o pomyślne przebycie drugiego etapu ucieczki, który skończy się za Dnieprem. Gdy znajdzie się po tamtej stronie, zacznie się trzeci etap, ostatni i prawdopodobnie najtrudniejszy, bo w terenie znacznie gęściej zamieszkanym przez ludzi. Na razie jednak nic się nie zmieniło i Kazimierz mijał kraj bezludny. Zmieniała się natomiast rzeźba terenu, pokazały się wzniesienia i wąwozy.

Po wielogodzinnej jeździe Kazimierz natknął się na głęboki jar, który należało przejść, by móc kontynuować podróż w obranym kierunku. Koń chrapał i nie chciał schodzić po stromym spadku ściany jaru. Kazimierz go nie zmuszał, posuwali się wzdłuż wąwozu, szukając łagodniejszej ściany. Gdy wreszcie ją znaleźli, zeskoczył z konia i prowadząc go za uzdę, osiągnął dno jaru. Tu jednak pojawił się problem z pokonaniem

przeciwległej ściany, która okazała się zbyt stroma. Szedł, prowadząc konia wzdłuż wąwozu, w nadziei znalezienia możliwej do pokonania ściany, by znaleźć się po drugiej stronie wąwozu i kontynuować swój marsz. Tak przeszedł spory kawałek wąwozu i łagodnego wejścia nie znalazł. Na szerokim dnie rosła natomiast młoda, obfita trawa, którą konik łakomie skubał. Przy końcu tego zielonego placu ujrzał małe źródło, z którego wypływał strumień. „Znakomicie – pomyślał. – Jest trawa, jest woda, a ponieważ zbliża się noc, można by tu zanocować”. Spętał konia i puścił na paszę. Poszukał odpowiedniego miejsca do wypoczynku dla siebie. Znalazł je w zagłębieniu ściany wąwozu. Uzbierał suchej trawy na swoje legowisko. Nauczony przykrym doświadczeniem z pierwszego etapu ucieczki, kiedy wilki zabiły mu konia, uzbierał suchych gałęzi z licznych tu krzaków i rozpałił ognisko. Ogień odstrasza te drapieżniki. Położył się i starał się usnąć, ale roje różnych myśli spędzały mu sen z powiek i usnął dopiero nad ranem. Obudził się, gdy było już całkiem widno. Wstał i rozejrzał się za koniem. Znalazł go leżącego w trawie. Zwierzę odpoczywało po wczorajszym biegu.

Po posiłku Kazimierz zaczął się rozglądać za miejscem, którędy mógłby się wydostać z wąwozu. Wreszcie znalazł nieco mniej stromą ścianę. Oceniał, że on ze wspinaczką sobie poradzi, ale jak zachowa się koń, czy zechce wspinać się na ścianę? Miał nadzieję, że tak, w końcu to rasa koni najbardziej posłusznych człowiekowi. Gniady, prowadzony za uzdę, niosący na swym grzbiecie nieduże juki, starał się nadążyć za swoim panem. Szedł na szeroko rozstawionych nogach, zapierając się kopytami o strome zbocze i chociaż grunt obsuwał się spod nich, tak że chwilami koń brzuchem opierał się o ziemię, parł do przodu. Gdy znaleźli się w pobliżu krawędzi jaru, zwierzę nie mogło przednimi nogami sięgnąć brzegu, by ostatecznie stanąć na płaskim obrzeżu wąwozu. Pomógł mu w tym Kazimierz, który pierwszy wyskoczył na brzeg i wyteżając wszystkie siły ciągnął za paski kantar, pomagając zwierzęciu wydrapać się z jaru. Gdy znaleźli się na brzegu, koń silnie otrząsnął się, by pozbyć się piachu z sierści, po czym posłusznie stanął przy swoim panu, gotowy do dalszych usług. Kazimierz poklepał go po karku, dosiadł jego grzbietu i ruszyli w dalszą drogę.

Krajobraz niewiele się zmienił. Ciągłe step i step, ale coraz bardziej kolorowy, aromatyczny. Jego wiosenne, bujne trawy usiane kwieciami jak gigantyczny dywan rozciągały się przed oczyma naszego wędrowcy. I gdyby nie brzemień ciągłego zagrożenia i niepewność jutra... Kazimierz nie miał czasu na podziwianie otaczającej go scenerii. Musiał zachować czujność – bacznie obserwować teren, po którym się poruszał, no i azy-mut, który mimo różnych obejść i kluczeń w rezultacie musiał być utrzy-many w kierunku na zachód.

W pewnym momencie zauważył polną drogę, która świeżo poro-sła wiosenną trawą, jednak widoczne były ślady kół i końskich kopyt. Uważnie patrzył, w jakim kierunku biegnie. Zauważył, że nie zmierza ona w kierunku jego marszu, ale jest dowodem na to, że są tu osiedla ludzkie. Ta okoliczność zmuszała do większej ostrożności. W tym mo-mencie Kazimierz zaczął się zastanawiać, czy nie przejść na marsz w go-dzinach nocnych. Na razie zdecydował jednak jechać w ciągu dnia.

Z wysokości końskiego grzbietu obserwował okolicę i w pewnym momencie zobaczył w oddali kopulastą wieżę cerkwi, a gdy uważniej się przyjrzał, ujrzał chaty jakiegoś osiedla. A więc znalazł się na terenie za-mieszkanym przez ludzi. „Step się kończy” – myślał. Także flora zmienia-ła się. Coraz więcej było widać krzaków i drzew, a daleko na horyzoncie niewyraźnie rysowało się pasmo lasu. Nie był tym zaskoczony, przewidy-wał, że step się skończy i zacznie się teren leśny, zamieszkany przez ludzi. To będzie trudniejszy etap jego podróży. W tych warunkach musi być bardzo roztropny, aby nie wpaść w ręce bolszewików, którzy na pewno kontrolują ten teren. Na razie jeszcze zaryzykował jazdę w czasie dnia.

Właśnie przedzierał się przez napotkane gęste krzaki, a gdy z nich wyszedł, nagle znalazł się na drodze. To było dla niego wielką niespo-dzianką, ale jeszcze większą i bardziej niepokojącą był usłyszany głos rozmawiających ludzi. Nim zdążył ukryć się w krzakach, zza zakrętu wy-szło kilka kobiet. W tej sytuacji nie mógł się cofać, lecz, udając spokój, ruszył w kierunku idących.

Gdy był bliżej, spokojnie spytał:

– *Kuda idete, mołodyci?* (Dokąd idziecie, kobiety?)

– *Idem na torh w horodec'* (Idziemy na targ do miasteczka) – odpowiedziały.

Potwierdzały to niesione przez nie na plecach *korobki* wypełnione plewą, a w nich jaja lub nabiał. Kazimierz nie pytał już, jaką nazwę ma ten *horodec*, ale zadał pytanie jak daleko jest do Dniepru.

– *Toż nad Dniprom my żywemo* (Przecież mieszkamy nad Dnieprem) – odpowiedziała jedna z nich.

Druga zaś, wskazując palcem wyciągniętej ręki, dodała:

– *A ot, od tyj dorohy ne bude daże dwoch wiorst do Dnipra.* (Od tej drogi nie będzie nawet dwóch wiorst do Dniepru.)

Kobiety poszły, a Kazimierz stanął przed dylematem: co ma robić, gdzie iść. Wiedział tylko, że natychmiast musi zejść z tej drogi, aby nie nadszedł nią ktoś bardziej nieoczekiwany, a nawet groźny. Poszedł w kierunku Dniepru i ukrył się w krzakach. Zszedł z konia i myślał: „Kobiety szły z jakiegoś osiedla do jakiegoś miasteczka, a zatem jestem w środku i mogę tylko iść w kierunku rzeki. Jeżeli nie natknę się na jakieś przeszkody, stanę na brzegu Dniepru, a co zrobię potem, zobaczę”. Ruszył w kierunku rzeki, prowadząc konia za uzdę. Przedzierał się przez dziko rosnące krzaki dość długo, aż wreszcie stanął u jej brzegu.

Nie było tam już krzaków i rosła młoda wiosenna trawa. Konik skubał ją łakomie. Jednak Kazimierz z powrotem wprowadził go w krzaki, były one jednak niskie i nie ukrywały konia. W tej sytuacji Kazimierz kazał mu się położyć. Koń posłusznie spełnił polecenie i wtedy Kazimierz zbliżył się do brzegu rzeki, która w tym miejscu, bardzo szeroka, płynęła cicho i dostojnie, jak na królową rzek ukraińskich przystało. Z respektem i obawą patrzył na płynące olbrzymie masy wody, które widział jako ścianę stojącą na drodze do jego rodzinnego domu. Bez pomocy Pana Boga jej nie pokona... Ukląkł w trawie przy brzegu wielkiego Dniepru i zaczął się gorąco modlić. Po pewnym czasie w górnym biegu rzeki zauważył jakiś ruchomy punkt, którego rozmiary stopniowo rosły. Wyglądało na to, że zbliża się, czyli płynie z nurtem rzeki. Minęło jeszcze trochę czasu, zanim Kazimierz zorientował się, że w jego kierunku płynie jakaś barka lub tratwa. I rzeczywiście, to była duża tratwa, którą tworzyły połączone ze



sobą bierwiona dużych drzew. Na pokładzie tej tratwy, w jej środku, znajdował się szałas, a po obu stronach tej osobliwej platformy stali ludzie, którzy długimi drągami usiłowali utrzymać swój kurs w środku koryta rzeki. Tak wyglądał jeden ze sposobów transportu materiału drzewnego przy wykorzystaniu rzek.

W chwili, gdy tratwa mijała miejsce, gdzie znajdował się nasz wędrowiec, Kazimierz cofnął się i ukrył w krzakach obok konia. Gdy odpłynęli, wyszedł z krzaków i **pozwolił** swojemu rumakowi posilić się trawą. W dalszym ciągu obserwował odpływającą tratwę. Zauważył, że daleko od miejsca, w którym się znajduje, jest wyspa, zielona, więc chyba pokryta roślinnością, widocznie drzewami. Zauważył, że owa tratwa minęła tę wyspę po jej prawej stronie. Dzień zbliżał się ku wieczorowi. Kazimierz postanowił niezwłocznie udać się w kierunku tej wyspy, aby jeszcze dziś zobaczyć ją z bliska. Dosiadł konia i kłusował wzdłuż brzegu rzeki, aż znalazł się naprzeciw wyspy. Była duża, a przede wszystkim długa. Porastały ją duże drzewa i bujne, zielone poszycie. Zauważył, że wyspę od brzegu, na którym stoi, oddziela rzeka w tym miejscu dość szeroka, ale spokojnie, wolno płynąca, może nawet płytka. Jako człowiek obyty z rzekami Słucz, Horyń i Styr, a nawet Prypeć nie bał się wody, potrafił odpowiednio wyprowadzić łódź z miejsc o silnych wirach wodnych. Teraz postanowił zmierzyć się z Dnieprem, a przynajmniej na razie z tą jego częścią, która dzieli go od wyspy. Szybko zdjął z siebie odzież i owinął ją wokół szyi, dosiadł konika i skierował go ku rzece. Posłuszne zwierzę weszło do wody i początkowo, zanurzone do połowy tułowia, szło. Stopniowo koń zanurzał się coraz bardziej, aż zaczął płynąć. Łeb trzymał nad wodą, a ciało jeźdźcy zanurzone było aż do piersi. I tak spokojnie płynęli, zbliżając się do wyspy. Wreszcie, gdy byli już blisko niej, woda **zrobiła** się płytsza, koń znów kopytami sięgnął dna i idąc, brnął aż do brzegu.

Gdy weszli na wyspę, zobaczyli ślady po ogniskach i miejsca zaśmieczone przez koczujących tu rybaków. Potwierdzały to kawałki porzuconych sieci rybackich i nieprzyjemna woń po patroszonych rybach. Było tu dużo zieleni i świeżej trawy, którą konik zaczął chciwie skubać. Z wy-



spy mógł Kazimierz przyjrzeć się głównemu korytu rzeki, które będzie musiał pokonać. Niepokoił go bystrzejszy nurt wody w środku koryta. Świadczyły o tym szybko płynące kawałki drewna czy gałązki zieleni. Doszedł do wniosku, że nawet z pomocą konia przeprawa może być trudna, a nawet niebezpieczna. Nie pozostało mu nic innego, jak szukanie nowych pomysłów lub oczekiwanie na jakąś nadzwyczajną okazję. Tymczasem na wyspie były warunki do odpoczynku. Miał jeszcze żywność dla siebie, a koń dobrą paszę. Po jakimś czasie nadpłynęła następna tratwa. Ukryty w zieleni, obserwował ją bacznie. Było na niej kilku flisaków. Jeden z nich grał na *garmoszcze* (rodzaj akordeonu). Wszyscy śpiewali znaną Kazimierzowi pieśń ukraińską. W tej sytuacji nie poruszał go jednak piękny, liryczny folklor tego kraju, on raczej myślał o tym, że taka tratwa mogłaby posłużyć mu w przeprawie na dobrze widoczny, ale trudno osiągalny drugi brzeg Dniepru. Kończył się dzień i on wciąż niczego nie wymyślił. Pozostała tylko nadzieja, że nadarzy się jakiś szczęśliwy przypadek. W smutnym nastroju szykował sobie miejsce do snu, ale pokrzepiony modlitwą uspokoił się i usnął.

O świcie obudziła go głośnie rozmowa mężczyzn. Jeden z nich wołał:

– *O, kiń, dywysia kiń! Jak win tut popał?! (O, koń, patrz, koń! Jak on się tu znalazł?)*

Nie było żadnej możliwości ukrycia się. Kazimierz uważnie patrzył spośród krzaków, czy ci ludzie są uzbrojeni, czy to aby nie bolszewicy. W takim wypadku desperacko rzuciłby się wpław przez rzekę w kierunku drugiego brzegu. Nawet śmierć w nurtach tej wody była alternatywą ujęcia z ich rąk, ale istniała szansa ucieczki i ocalenia. Zobaczył jednak, że są to cywile bez broni, chyba rybacy. Było ich trzech. Zdecydowanie wyszedł z ukrycia i stanął naprzeciw nich. Nim zdążył coś powiedzieć, został zaskoczony powitaniem:

– *Dobroho dnia!*

Gdy odpowiedział im na pozdrowienie, usłyszał pytanie:

– *Ce wasz kiń? (Czy to wasz koń?)*

– *Mij. (Mój.)*

– *Jak wy wwely joho tut? (Jak go tu wprowadziliście?)*

- Czerez tu wodu. (Przez wodę.)

Kazimierz pokazał palcem wyciągniętej ręki, skąd tu przyszedł. Nieznajomi wydawali się przyjaźnie nastawieni do Kazimierza. Patrzyli na niego z zaciekawieniem. Starszy z nich spytał:

- *De wy żywete i czoho tut naszłysia?* (Gdzie mieszkacie i dlaczego się tu znaleźliście?)

- *Ja iz wołynskoj guberni, tam jest' moja żena, dytyna, ta stareńki baťky. Ja do nych idu.* (Jestem z guberni wołyńskiej. Mam tam żonę, dziecko i starych rodziców. Idę do nich.)

- *Jak wy tut popali? Ceż duże dałeko ot waszoji krajiny!* (Jak się tu znaleźliście? Przecież to bardzo daleko od waszego kraju.)

Kazimierz badawczo spojrzał na nieznajomych i wywnioskował, że musi powiedzieć im prawdę, całą prawdę. Zaryzykował i powiedział. Słuchali go w milczeniu, ale wyraźnie poruszeni dramatem przypadkowo spotkanego człowieka.

I znów odezwał się ten starszy:

- *Tak wy duże smiełyj bieżeniec. Niechaj Boh i Swiataja Prieczysta was szczaśływo zawede do waszuj simji. My wtrjoch rybaky. Ja, baťko, a ce moi synky, a ot tam, u wodi nasza łodka. Nu, a skażyte meni, jak wy dumajete perechodyty na druhyj bereh Dnipra. Ja dumaju, szczo ce niewozmožno.* (Jesteście bardzo odważnym tułaczem. Niech Bóg i Święta Przeczysta szczęśliwie doprowadzi was do waszej rodziny. My trzej jesteśmy rybakami. Jestem ojcem, to moi synowie, a tam na wodzie jest nasza łodka. Ale powiedzcie mi, jak macie zamiar przejść na drugi brzeg Dniepru? Wydaje mi się, że to niemożliwe.)

- *Ja toże tak dumaju* (Też tak myślę) – odpowiedział Kazimierz.

- *Jesli wy chotitie, my možem was pieriewiezti. Nasza łodka pierieplywiot Dniepr w lubom miestie.* (Jeśli chcecie, możemy was przewieźć. Nasza łodka przepłynie Dniepr w każdym miejscu.)

Kazimierz myślał, że śpi jeszcze i że to sen. Nie, to rzeczywistość, ale też wyraźne działanie Opatrzności... Pokazali mu łódkę. Była to duża łódź, zaopatrzona w ster. Decyzje zapadały szybko. Rybacy chcieli przeprowadzić naszego uchodźcę i rozpocząć swoją pracę przy połowie. Problem

był z koniem, nie potrafił on i bał się wejść do łodzi. Wobec tego kantar konia uwiązano przy burcie na krótkiej lince. Gdy znaleźli się na rzece, koń płynął trzymany przez linkę blisko burty. Wszystko poszło sprawnie. Ojciec siedział przy sterze, a synowie, razem z Kazimierzem, przy pomocy drągów i wiosel kierowali łódź ku brzegowi rzeki. Koń trzymał się dzielnie i chociaż przy końcu ze zmęczenia chrapał, to jednak wytrwał i wkrótce jego kopyta stały już na piaszczystym dnie rzeki.

Kazimierz wyskoczył na brzeg i pomógł swojemu towarzyszowi pochodu – koniowi, wyjść na brzeg. Wdzięczny swoim dobroczyńcom, sięgnął do kieszeni po złote ruble i chciał je im dać. Senior rybaków spytał:

– *Zwitky majetie ce zołoto.* (Skąd macie to złoto?)

– *Meni daw odyn duże dobryj czołowik na czornyj den', koły ja iszow do ridnych.* (Dał mi pewien bardzo dobry człowiek na czarną godzinę, kiedy szedłem do bliskich.)

– *Tak schowajcie sobi nazad w karman. Do waszoho domu szcze daleko i czornyj den' może szcze trapytysia.* (To schowajcie sobie z powrotem do kieszeni. Do waszego domu jeszcze daleko i czarna godzina może się przytrafić.)

Rybacy szybko odpłynęli do swojej roboty, Kazimierz zaś padł na kolana i dziękował Opatrzności za pomyślne, graniczące z cudem zakończenie drugiego etapu ucieczki.

Następnie spojrzął na mapę i kompas. Po ustaleniu optymalnego azymutu doszedł do wniosku, że na wyznaczonej przez niego trasie mogą być osiedla ludzkie i lasy. Nie było jednak wyboru, trzeba będzie iść nocą, kluczyć w terenie albo omijać te osiedla, ale trzymać się wyznaczonego kierunku.

W tym momencie, patrząc w obranym kierunku, widział przestrzeń otwartą, bez osiedli ludzkich, a daleko na horyzoncie pasmo lasów. Postanowił tę przestrzeń do lasu możliwie szybko przebyć konno. Wskoczył na konia i stopniowo nabierał prędkości. Wypoczęty gniady, parskając i energicznie potrząsając łbem, ochoczo galopował. Mijali drogi polne, przesadzali przeszkody terenowe, takie jak kanały, wykroty, strumyki, i szybko zbliżali się do lasu. Jeździec roztropnie zwolnił bieg konia,

dając mu sposobność oddechu. Gniady szedł stępa. Las już był blisko. Okazało się, że jest to piękny sosnowy bór. Gdy Kazimierz się w nim znalazł, zeskoczył z konia i prowadząc go, szedł przez las, zażywając ruchu w kryształowo czystym powietrzu. Konik też potrzebował takiego relaksu. Doszli do polanki, gdzie rosła młoda soczysta trawa, a środkiem płynął mały strumyczek. Doskonałe miejsce na odpoczynek i posilenie się. Koń skubał trawę, a Kazimierz usiadł pod drzewem i sięgnął do torby po resztki swojej żywności. „Jutro zacznie się głodówka” – myślał. Jednak świadomość, że jest coraz bliżej domu dodawała mu animuszu i wiary, że z pomocą Bożą pokona wszystkie trudności i przeszkody, osiągając upragniony cel – połączenia się z rodziną. A teraz, gdy konik się posilał, on wsłuchiwał się w szczebiot różnego ptactwa, które o tej porze roku licznie wypełnia las.

Po tym krótkim wypoczynku wyruszył forsownym marszem w dalszą drogę. Ciągle jeszcze był las, ale po drodze napotykał drogi leśne, które gdzieś wiodły. Świadczyły one, że są tu osiedla ludzkie. I rzeczywiście, zdarzało się, że na jego drodze wśród lasu leżały wsie lub małe posiadki, które wielkim łukiem omijał.

Zbliżał się wieczór. Jeździec, a zwłaszcza jego koń byli krańcowo wyczerpani. Gdy dotarli do takiego miejsca, gdzie była pasza i woda, zatrzymali się. Kazimierz spętał konia i wypuścił go na paszę, a sam usiadł pod drzewem i nie wiedząc kiedy usnął.

O świcie obudził go chłód i chór ptasich głosów. Kazimierz zerwał się na nogi i rozejrzał się w poszukiwaniu konia. Znalazł go. Gniady po porządnym posiłku położył się w trawie i wypoczywał po wczorajszym wysiłku.

Niezwłocznie wyruszyli w dalszy pochód. Dla rozgrzewki Kazimierz szedł, prowadząc konia i dopiero później dosiadł go i ruszył kłusem. W myśli szacował, ile wiorst przebył wczoraj. „Mogło ich być około stu pięćdziesięciu” – myślał. W tym drugim dniu po przeprawie przez Dniepr podróż Kazimierza przebiegała bez większych przeszkód, tylko o głodzie. Jego zapasy żywności skończyły się wczoraj.

W godzinach popołudniowych na drodze naszego uchodźcy znalazło się osiedle. Wyglądało to tak. W pewnym miejscu las się kończył. Za nim

były pola uprawne, a w oddali widać było budynki osiedla. Kazimierz zauważył, że w pobliżu lasu na uprawnym polu dwie kobiety za pomocą kopanek (haczek) sadziły kartofle. Zostawił konia ukrytego w zieleni i podszedł do kobiet z prośbą:

– *Dobroho dnia, choziajki! Ja hołodnyj, nemajete kusok chliba dla mene?* (Dzień dobry, gospodynie! Jestem bardzo głodny. Nie macie kawałka chleba dla mnie?)

Kobiety, zdziwione nagłą obecnością przybysza, wzruszyły ramionami i rzekły:

– *My tut chliba nemajem.* (My tu chleba nie mamy.)

Ale jedna z nich powiedziała:

– *Ja pidu w chatu, taj prynesu wam chliba.* (Pójdę do chaty i przyniosę wam chleba.)

I poszła. Kazimierz, widząc kartofle w worku, spytał kobiety, czy może sobie wziąć trochę tych kartofli. Gdy mu pozwoliła, naładował nimi torbę. W tym momencie popatrzył w kierunku osiedla i zobaczył, że ta kobieta, która poszła po chleb, teraz szybko się zbliża w towarzystwie dwóch mężczyzn. Kazimierz nie ryzykował, lecz natychmiast wycofał się do lasu, dosiadł konia i szybko się oddalił. Za sobą słyszał słowa:

– *Postoj, ne wtikaj!* (Poczekaj, nie uciekaj.)

Ale on wycofał się w głąb lasu i omijając to osiedle, kontynuował swój marsz. Gdy zatrzymał się na nocny odpoczynek, rozpałił ognisko i upiekł kartofle, racząc się smaczną kolacją. Myślał też o tej dzisiejszej przygodzie. Może ci ludzie nie mieli złych zamiarów, ale dobrze zrobił, unikając spotkania z nimi.

Drugą noc po pokonaniu Dniepru Kazimierz spędził w warunkach bardzo trudnych, w lesie. Nie miał odpowiedniego okrycia. Noce, a szczególnie poranki, były jeszcze chłodne. W tych okolicznościach trudno przychodził krzepiący sen. Czuł się niewyspany i zmęczony. Natomiast koń po wyczerpującej całodzienniej wędrowce, chwilami bardzo szybkiej, po nocnym odpoczynku wracał do dobrej formy i rano był do dyspozycji swego pana. Świeży, wypoczęty i syty, bo wiosennej soczystej trawy było dużo.

To już trzeci dzień od czasu przeprawy przez Dniepr. Z tym dniem Kazimierz łączył wielką nadzieję... Marzył, aby wieczorem jego nogi stały na ziemi ojczystej. Jeżeli nie dotrze do Brzezin, to może znajdzie się w pobliżu. Przeżegnał się, poklepał gniadego po karku, wskoczył na jego grzbiet i ruszył. Już wkrótce zauważył, że dotarł na teren bardziej zamieszkany przez ludzi. Świadczyły o tym drogi leśne, coraz częściej na trasie jego marszu pojawiały się osiedla, które musiał omijać. Po pewnym czasie las się skończył i przed naszym wędrowcem szeroko rozpościerał się teren bezleśny, rolniczy. Daleko przed nim leżała duża wioska. Na polach widać było oraczy, a na łąkach pasło się bydło. Kazimierz cofnął się do lasu i myślał, jak ma tamtędy przejść. Najbezpieczniej byłoby czekać nocy i pod jej osłoną kontynuować marsz. No, ale ma przed sobą cały dzień. Szkoda czasu na oczekiwanie nocy. Trzeba spróbować w czasie dnia. Śmiało puścił konia w kłus i tak mijał pola, przejeżdżał obok pracujących w polu ludzi, a nawet tych, których mijał z bliska, głośno pozdrawiał. Być może ludzie patrzyli na niego z ciekawością, zdziwieni, skąd i dokąd ten jeździec jedzie.

Wreszcie trafił na drogę wiodącą w kierunku, w jakim i on się przemieszczał. Skierował na tę drogę swego konia. Co pewien czas mijały go jadące w drugą stronę chłopskie wozy gospodarskie, inne zaś jechały w tym samym co on kierunku. Kazimierz nie wiedział, jakie większe miejscowości są w tej okolicy. Mapka, którą posiadał, nie była szczegółowa i właściwie poruszał się na ślepo, pilnując tylko kierunku.

W pewnym momencie zobaczył wypadek drogowy. Stary chłop jechał furmanką zaprzęgniętą w woły. Z jakiegoś powodu woły zboczyły z drogi i wóz przewrócił się do rowu, z wozu wypadły worki ze zbożem, a woły spięte jarzmem zatrzymało drzewo rosnące przy drodze. Chłop stał bezradny i dumiał chyba, jak sobie poradzi w tej sytuacji.

Kazimierz zeskoczył z konia i zawołał:

– *Ne żurit'sia, otiec, ja wam pomogu!* (Nie smućcie się, ojczce, pomogę wam.)

Nim zaskoczony jego interwencją chłop ochłonął, Kazimierz chwycił za drabinę wywróconego wozu i krzyknął:



– *Choziaın, dawajcie podnıem wasz woz!* (Chodźcie, gospodarzu, podniesiemy wasz wóz!)

We dwóch postawili wóz na kołach, załadowali leżące w rowie worki zboża i przy pomocy wołów wyprowadzili wóz na równą drogę. Chłop dziękował, ale Kazimierz tylko rzekł:

– *Otıc, ne treba diakuwatı. Łuczszε dawajte pohoworymo. Ja jıdu w tom že naprawlenjı. Pozwolte meni sistı koło was na wozie i pohoworym. Ja toże ustał i mnie nužen otдых.* (Ojcie, nie trzeba dziękować. Lepiej porozmawiajmy. Idę w tym samym kierunku. Pozwólcie mi usiąść koło was na wozie i porozmawiajmy. Jestem zmęczony wędrówką i potrzebuję odpoczynku.)

Chłop bardzo chętnie zrobił miejsce obok siebie, po czym rzekł:

– *Proszu was, sıdajte koło mene.* (Proszę, siadajcie koło mnie.)

Kazimierz uwiązał konia do drabiny wozu i wskoczył na miejsce obok gospodarza. Lud tutejszy był gościnny, więc chłop pytał:

– *Jakszczo wy w dorozi, tak dumaju wy hołodni? Moja baba prygotowała meni połuđen<sup>1</sup>.* (Ponieważ jesteście w drodze, myślę, żeście głodni? Moja baba przygotowała mi posiłek.)

I sięgnął do torby po chleb i słoninę. Dużą pajdę chleba i spory kawałek słoniny podzielił nożem na dwie części i zapraszał do jedzenia. Nasz wygłodzony wędrowiec rozkoszował się smakiem poczęstunku i jednocześnie myślał, jak nawiązać rozmowę na interesujący go temat, a najważniejsza była dla niego informacja o terenie: gdzie jest i jakich zagrożeń może się spodziewać na drodze swojego marszu. Chłop, słysząc, że nieznajomy mówi w języku rosyjskim, również w tym języku zapytał:

– *Kuda wy idıotıe, mołodoj czelowiek?* (Dokąd idziesz, młodzieńcze?)

Kazimierz doszedł do wniosku, że może mu wyjawić prawdę, gdyż rozpoznawał tego człowieka jako życzliwego i godnego zaufania. Tylko szczere wyznanie może tego człowieka poruszyć i skłonić do pomocy.

Odpowiadając na pytanie, w wielkim skrócie nakreślił mu swoją sytuację od momentu porwania do dzisiejszego dnia. Następnie poprosił go

<sup>1</sup> *Połuđen* to dosłownie południe (środek dnia). Tak samo określano posiłek, który spożywano ok. godz. 12.00, między śniadaniem a obiadem.

o informację dotyczącą terenu, na którym się znalazł, oraz ewentualnych zagrożeń. Chłop wysłuchał z uwagą i wyraźnym przejęciem, a widząc, że ten młody człowiek jest zagubiony w nieznanym terenie, starał się mu pomóc. Kazimierz dowiedział się więc, że jest już niedaleko granicy niepodległej Polski, w terenie niebezpiecznym, bo są tu posterunki czerwonej straży granicznej, krążą też ich patrole. Jakby na potwierdzenie tego, nagle w oddali, ale na ich drodze, ukazał się konny oddział uzbrojonych ludzi, którzy dość szybko zbliżali się do nich. Bardzo to ich obu zaniepokoiło. Chłop ścisnął ramię Kazimierza mówiąc:

– *Spokojno, na wsiakij słuczaj: ja Hryhor, wy moj ziat'. My kupili toszad' i jediem domoj.* (Spokojnie Na wszelki wypadek: jestem Grzegorz, a ty jesteś moim zięciem. Kupiliśmy konia i jedziemy do domu.)

Po chwili minęło ich kilkunastu czerwonoarmiejców. Śpieszyli się gdzieś i nie interesowali ich chłopci jadący wozem ciągnionym przez woły. Obaj odetchnęli i wrócili do rozmowy.

– *Wot wy widieli, czto zdzieś suszczestwujet nastojaszczaja opasnost' dla was, poetomu wy dołżny byt' wsio wremia ostorożny. Eta doroga, na kotoroj my nachodimsia, wiediot w Łuninieć. Nie znaju toczno, no dumaju, czto etot gorodiszko tiepier' prinadležyt Polakam. Wam nado sledowat' w rajon goroda Sarny. Ja znaju Sarny, ja tam bywał, no dumaju, czto tiepier' eto za kordonom, to jest' na territorii Polszy. Nu, możet wasze sieło nie za kordonom. Etego ja nie znaju i wy toże nie znajetie. No ja dumaju, czto wo wremia waszego pochoda tuda, wstrietitie ludiej, kotoryje wam skazut pro eto. Ja sowietuju wam sroczno naprawit'sia bolsze na jug. I izbiegat' dorog. Łuczsze idti po biezdrożju. Prieduprieżdaju, czto na waszej dorogie budiet rieka Pripiat'. Otsiuda k niej dwie wiorsty. Eto tichaja rieka, jejo legko pierieplyt'.* (Oto widzieliście, że tu jest naprawdę niebezpiecznie dla was, dlatego musicie być cały czas ostrożni. Droga, na której się znajdujemy, prowadzi do Łunińca. Nie wiem dokładnie, ale wydaje mi się, że ta miejscina należy teraz do Polaków. Musicie się kierować w rejony miasta Sarny. Znam Sarny, bywałem tam, ale teraz wydaje mi się, że są za kordonem, to znaczy na terenie Polski. Ale może wasza wioska nie jest za kordonem. Tego nie wiem i wy też nie wiecie. Ale myślę, że pod-

czas waszej wędrówki w tamtą stronę spotkacie ludzi, którzy wam o tym powiedzą. Radzę wam natychmiast skierować się bardziej na południe. I unikać dróg. Lepiej iść bezdrożami. Uprzedzam, że na waszej drodze jest rzeka Prypeć. Stąd do niej są dwie wiorsty. To spokojna rzeka i łatwo ją przepłynąć.)

Chłop sięgnął do worka, gdzie miał siemię lniane przeznaczone na wiosenny posiew, i wsypał trochę do torby Kazimierza, mówiąc:

– *Jesli ty progotodajeszsia, ty możesz kuszat' eto ziarno.* (Jeśli zgłodniejesz, możesz jeść to ziarno.)

Nasz wędrowiec podziękował temu dobremu człowiekowi za wszystko, pożegnał go i dosiadłszy gniadego ruszył w dalszą drogę według skorygowanego kierunku. Gdy znalazł się w lesie, wyciął z leszczyny wysoki, dorodny pęd. Odciął jego górną część i uzyskał mocny, smukły kij o długości kilku metrów. Jadąc przez mokradła, mógł za pomocą tego kija sprawdzać głębokość brodów pokonywanych przez konia. Kij ten był też pewnego rodzaju bronią, jak lanca żołnierza wojsk konnych. Kazimierz przytroczył go do boku konia.

Wkrótce stanął na brzegu Prypeci i z uwagą obserwował drugi jej brzeg, który był spokojny, ale bardzo oddalony, bo w tym miejscu Prypeć była szeroka. Zdjął odzież i przygotował się do forsowania, dosiadł konia i ruszył przez wodę. Początkowo koń szedł zanurzony w wodzie, ale potem zaczął płynąć. Nie trwało to zbyt długo i wkrótce znów szedł po dnie rzeki, by po chwili znaleźć się na jej brzegu. Tak oto nasz bohater zaliczył kolejny kawałek drogi na tym etapie przemyskania się do domu. Nie tracił czasu i niezwłocznie ruszył w dalszą podróż.

Były godziny popołudniowe. Kazimierz przyśpieszył konia, aby w tym dniu zbliżyć się do terenów, gdzie powiew wiatru przyniesie mu zapach rodzinnych stron... O, jakże pragnął tego nasz utrudzony bohater dramatycznego marszu...

Przez kilka godzin koń pokonywał teren podmokły, bagnisty, bardzo trudny, przede wszystkim z powodu plagi komarów. W takich warunkach przed zachodem słońca Kazimierz dotarł na tereny wyżej położone, gdzie postanowił pozostać na noc. Trafił właśnie na małą polankę, spętał

konia i rozpałił ognisko, aby jego dym odpędzał chmary komarów, ułożył się przy nim i usnął. W środku nocy ognisko przygasło i komary nękały twarz i ręce śpiącego. Obudzony dołożył do ogniska chrustu i mchu, aby dym był większy i długotrwały, po czym znów usnął.

Gdy już było całkiem widno, obudziło go kopnięcie w bok i słowa:

– *A nu, podnimajsia!* (Wstawaj!)

Kazimierz z przerażeniem zobaczył stojących nad nim dwóch uzbrojonych bolszewickich żołnierzy. Nie od razu wstał, tylko gorączkowo myślał i polecał się Bogu. Dopiero po drugim kopnięciu usiadł.

– *Podnimajsia!* – wrzeszczał bolszewik.

– *Nie mogu, u mienia noga bolit.* (Nie mogę, noga mnie boli.)

I chwycił Kazimierz leżący obok swój długi kij, wsparł się na nim i korzystając z jednej nogi, podniósł się, jękiem symulując ból drugiej kończyny.

– *Czto s nogoj?* (Co z twoją nogą?) – spytał bolszewik.

– *Ja upał s łoszadi i czto-to słuczyłos'.* (Spadłem z konia i coś się stało.)

Jeden z nich obmacał go, szukając broni, i gdy jej nie znalazł, zwrócił się do swojego towarzysza z pytaniem:

– *Czto s nim sdielajem?* (Co z nim zrobimy?)

A tamten odpowiedział:

– *W komiendanturu s nim.* (Do komendantury z nim.)

Kazimierz struchlał.

– *Pomiłujtie. U mienia żena i rebionok, ja idu k nim.* (Zlitujcie się. Mam żonę i dziecko, idę do nich.)

– *Ty nawierno szpion i w Polszu idiosz.* (Pewnie jesteś szpiegiem i idziesz do Polski.)

– *Słuszajtie, proszu was, rozrieszytie mnie stupat' domoj łoszad'iom, a ja wam dam zołotyje rubli.* (Słuchajcie, proszę was, pozwólcie mi wrócić do domu konno, a ja wam dam złote ruble.)

Bojcy ożywili się.

– *A nu dawaj eti rubli.* (To dawaj te ruble.)

– *Oni zakopany w mojom sadu.* (Są zakopane w moim sadzie.)

– *Gdzie nachoditsia etot sad?* (A gdzie ten sad?)

– *W mojom siele Bierieziny na Słuczy.* (We wsi Brzeziny nad Słuczą.)

Jeden z nich popatrzył na mapkę terenową i zawołał:

– *Jest' takoje sieło, no eto sliszkom daleko. Budiet dwacat' wiorst. U nas drugoj marszrut i prikaz. Stupaj wpieriod.* (Jest taka wieś, ale to za daleko. Będzie ze dwadzieścia wiorst. Mamy inny rozkaz, w innym kierunku. Maszeruj naprzód.)

Kazimierz, trzymając się kija, powoli utykał i jęczał, udając ból. Jeden z nich podprowadził konia z zamiarem wsadzenia pojmanego na konia i zawiezienia go na komendę, ale któryś z nich wrócił do tych rubli i spytał:

– *Ja dumaju, czto u tiebia jest' s soboj rubli. A nu dawaj mnie ich, a nie to sam najdu.* (Myślę, że masz ruble przy sobie. Dawaj je, bo inaczej sam znajdę.)

Kazimierz zrozumiał, że mówiąc o tym złocie, popełnił wielki błąd. Zrezygnowany sięgnął do kieszeni i dał mu ruble otrzymane od Maksyma. Obaj żołdacy bardzo zainteresowani sprawdzali, ile ich jest. Było pięć monet pięciorublowych. Zaczęli się nimi dzielić. Nastąpił spór, bo jednemu przypadały dwie monety, a drugiemu trzy. Jak to pogodzić? Wybuchła między nimi kłótnia, Wydzierali sobie ten mieszek z rublami i w czasie tej szarpaniny upadli.

Kazimierz błyskawicznie skorzystał z zamieszania, skoczył w pobliskie krzaki i ile miał sił biegł przed siebie. Za sobą słyszał krzyki:

– *Stoj, stoj!*

Ale strzały nie padły. W tym szalonym biegu stracił czapkę i gałęzie krzaków podrapały mu twarz. Po pewnym czasie zatrzymał się, nasłuchując, czy nie jest ścigany, ale panowała cisza. Ukląkł i podziękował Bogu za ocalenie. Później pomyślał, że to wyraźny cud. Stracił konia, wszystkie swoje rzeczy i te ruble, ale jest wolny i chyba ocalał życie, bo ci bolszewicy mieli jego złoto, a on im nie był potrzebny, a raczej niepożądany. Mógł przecież powiedzieć ich komendantowi, że dał im złoto. Na pewno by go zabili. z tego co mówili, jest już blisko domu – 20 wiorst to jest dystans możliwy do przejścia w dzisiejszym dniu... Kompas uchował się w jego kieszeni. Sięgnął po niego, ustalił kierunek i niezwłocznie ruszył w stronę domu. Wkrótce musiał przejść przez rzeczkę, która była dopływem

Prypeci. Wtedy rzewnie pomyślał o swoim gniadym, którego utracił. Na jego drodze przeważały lasy, ale zdarzały się też osiedla ludzkie, które omijał i tylko w jednym miejscu, widząc dwoje ludzi pracujących w polu, podszedł do nich i powiedział, że zabłądził w lesie i nie może trafić do swojego domu w Brzezinach. Chłop odpowiedział mu, że to około pięciu wiorst i wskazał palcem kierunek. Domyślał się, że Kazimierz pyta o Brzeziny Małe, bo Brzeziny Duże są za Słuczą, czyli za granicą. Głodny i spragniony Kazimierz spytał, czy nie mają wody do picia. Kobieta podała mu łądyszkę kwaśnego mleka, mówiąc:

– *U nas wody nemaje, pyjte kysłe mołoko.* (Nie mamy wody, pijcie kwaśne mleko.)

Pokrzepiony, ale i wzruszony, że jest już tak blisko domu, ruszył dalej, w ten ostatni odcinek swojej drogi. W miarę jak zbliżał się do Brzezin, wzruszenie rośnie. Starał się panować nad sobą i raczej koncentrować się na czujności. Teraz, gdy jest o krok od klamki drzwi do swego domu, przez nieuwagę może wszystko zaprzepaścić. To mogłoby się zdarzyć, gdyby wpadł w ręce straży granicznej. Dlatego szedł, a właściwie skradał się, przemykał poprzez las i krzaki, unikając dróg, a nawet ścieżek. Wreszcie las się skończył i przed nim ukazało się pole, a w niedalekiej odległości dobrze mu znana zagroda Fedora, Ukraińca. Jego żoną była Polka, Jadwiga, matka chrzestna siostry Kazimierza, Kasi. Była to rodzina zaprzyjaźniona z Lipińskimi, mieli syna Łukasza, Kazimierz był jego rówieśnikiem. Powoli zbliżał się wieczór. Kazimierz postanowił przeleżeć w krzakach u brzegu lasu aż do zapadnięcia zmroku. Leżał i całował ziemię ojczystą, do której wreszcie powrócił. Wsłuchiwał się w znane odgłosy: porykiwanie bydła, klekot bocianów, odgłosy ludzkich rozmów...

Wreszcie nastał wieczór. Kazimierz ostrożnie zbliżył się do chaty Fedorów. Przez okno w słabym świetle lampy widział krzątającą się kobietę, za stołem siedział Fedor. Z determinacją otworzył drzwi, stanął przed gospodarzami, pozdrawiając ich słowami:

– *Sława Bohu!*

Oboje, zaskoczeni, patrzyli na niego, ale po chwili Jadwiga krzyknęła:



– Kaźmirz! – Rzuciła się ku niemu, objęła i wołała po polsku: – Ty żyjesz, drogi chłopcze, a my tu już opłakali ciebie. – I całowała jego czoło.

Fedor też wyszedł zza stołu i witał niespodziewanego gościa. Ciotka Jadwiga (bo tak się do niej zwracał Kazimierz) podkręciła światło lampy i przyjrzała się niespodziewanemu gościowi.

– Aliż ty, bidniaka, zmarniał. Widno głodny.

Kazimierz usiadł na ławie i zwrócił się do gospodyni:

– Gadajcie mnie, ciotko, co tutaj ja zastał. Ja uciek z dalekiego kraju i nic nie wim za moją rodzinę.

Jadwiga chwilę myślała, a potem ze smutkiem rzekła:

– Ty zapewne nie wiesz, że pomar twój dziadek Mateusz. Pochowali my jego przed Boże Narodzenie tamtego roku.

– Dziadek umar! – wykrzyknął Kazimierz i pogрузił się w myślach, a może cichej modlitwie za ukochanego dziadka. – Mówcie dalej, ciotko, mówcie wszystko o mojej: czy urodziła dziecko i czy ony zdrowe i jak tam Władysław z rodziną?

– Twoja Martynka urodziła córki, na kszcie dali jej imię Anna. Ony zdrowe i tylko Martynka bardzo skucza za tobą.

Wzruszony Kazimierz opuścił głowę.

– A co do Władka, to ich teraz nima tu. Ich bolszewiki wywieźli gdzieś, a w ichnim domu strażnice zrobili. A ty wiesz, że na Słuczy granica i do Martynki nie będziesz mógł pójść?

Kazimierz wstał z ławy i z wielkim przejęciem zawołał:

– Jak to granica!?

– Tak, granica – otrzymał odpowiedź.

Załamany usiadł na ławie i myślał. Tak wiele sobie obiecywał po dojściu do Brzezin, a tu naraz tyle nieprzewidzianych i nieszczęsnych zdarzeń. W jaki sposób będzie mógł połączyć się ze swoją żoną i dzieckiem, nie wiedział. Tymczasem ciotka przygotowała mu posiłek, ale on, mimo że był głodny i spragniony, z trudem przełykał, nie wiedząc, kiedy zobaczy Martynkę i swoje dziecko. Ciotka milczała i tylko pilnowała, aby się posilił. Gdy zjadł, powiedziała mu, że on sam jest tu zagrożony.

– Jak by zobaczyli ciebie strażniki aresztują i wsadzą do turmy. Ty musisz ukrywać się. W dzień nie możesz chodzić, a jak by co, to znaczy się jakby ciebie zobaczyli i pytali kto ty, gadaj, że ty Łukasz, nasz syn. Naszego Łukasza ni ma teraz u nas, on ożenił się i żyje w domu teściów we wsi Kuczary. Sionsiady nasze też ni mogą ciebie widzieć. Tak narazie musi być, a później zobaczymy, może jakoś uda się tobie przejść na drugie strone Słuczy. Ty wiesz, że tam jest teraz Polska, ale tam też twoja żona i ty musisz jakoś tudy dostać się. Teraz ty będziesz w naszej drugiej izbie, gdzie ni kto z sionsiadów ni zachodzi. Pamiętaj ono, że tu dużo bolszewickich strażników. Oni chodzą nawet po nocy i zaglondają do chat przez okna. Oni mają spisane, kto w każdym chacie żyje, tak ty pamiętaj, że ty nasz Łukasz.

Wokół zagrody Fedora było dużo zieleni. Różne zielone krzaki ciągnęły się aż do Słuczy. Wykorzystał to Kazimierz, nocą czołgał się w kierunku rzeki i obserwował ruch straży. Akurat była jasna, księżycowa noc. W tych warunkach Kazimierz widział swój dom rodzinny, teraz zajęty przez straż graniczną. Widział, że u szczytu dachu jest wbudowany dodatkowy daszek dla strażnika obserwującego najbliższe i dalsze otoczenie strażnicy. W czasie takiej obserwacji zobaczył strażników, którzy parami chodzili wzdłuż granicy, mijali się, idąc w przeciwnych sobie kierunkach wzdłuż Słuczy. Zauważył, że bardzo trudno byłoby przemknąć się między nimi, a gdyby nawet, to strażnik na dachu z broni automatycznej strzelał do próbujących przejść na stronę polską. Były już takie przypadki, wiedział to od Fedora. Ten strażnik na dachu w nocy ma latarkę elektryczną, dość słabą, ale może nią kontrolować najbliższe otoczenie, łącznie z rzeką. To wszystko brał pod uwagę Kazimierz, przygotowując się do sforsowania rzeki. Planował wykonać to nocą. Dowiedział się, że poza kilkoma wypadkami nocnych strzałów, kiedy to kogoś zabito, na ogół było spokojnie. Bydło z Brzezin Małych samo, bez pastucha, przechodziło rzekę na pastwiska, które były po polskiej stronie, a wieczorem wracało do swoich obór. Żadna strona temu nie przeszkadzała, a nawet po stronie polskiej któryś ze strażników kiedyś pognał jakąś zabłąkaną krowę, która nie wróciła ze stadem na stronę bolszewicką, w kierunku rzeki, by wracała do swojej obory. Także gęsi i kaczki pływały po Słuczy

i żerowały na obu brzegach. Kazimierz w ciągu dnia wychodził z chaty Fedora i ukryty w krzakach bzu i jaśminu w sadzie, targany ogromną tęsknotą, obserwował teren po drugiej stronie rzeki. Nie mógł zobaczyć z tego miejsca domu swoich teściów, gdzie mieszka jego Martynka z ich córeczką, ale już czuł ciepło bijące od nich... Zazdrościł bocianom, które swobodnie przelatywały rzekę i żerowały na łące Fedora. Tymczasem on musiał tu siedzieć w ukryciu i obserwować parami kroczących wzdłuż rzeki strażników.

Pewnego późnego popołudnia wzmógł się wiatr i na niebie ukazały się ciemne chmury, błyskawice i grzmoty. Zbliżała się burza. Kazimierz w lot zrozumiał, że oto zbliża się okazja podjęcia ryzykownej próby przekroczenia granicy. Wrócił do chaty i pożegnał się z przyjaciółmi. Oboje go rozumieli i błogosławili:

– *Chaj Swiataja Prieczysta wede tebe szcześnie!* (Niechaj Święta Przeczysta prowadzi cię szczęśliwie.)

Kazimierz wrócił do sadu i obserwował chmury. Bydło szybko przepływało rzekę, spiesząc do swych obór. Błyskawice i grzmoty były coraz bliższe. Gdy zbliżał się wieczór, ciemne chmury powiększały ciemność i tylko momentami błyskawice ją rozdzierały.

Kazimierz czołgał się w kierunku rzeki. Wpatrywał się w kierunku ścieżki, trasy patrolowanej przy rzece. Burza nasilała się i wkrótce lunął obfity deszcz. Wtedy podczołgał się w pobliże ścieżki przy rzece. Po chwili obok niego przeszło dwóch strażników w szubach na głowie, a za moment drugich dwóch idących w przeciwną stronę. „To mój czas” – pomyślał. Przeżegnał się i jak zwinny wąż w wpłynął do wody. Cały zanurzony, początkowo odpychał się nogami od dna, aż osiągnął głębiny i zaczął płynąć w strugach obfitego deszczu. Wkrótce dopłynął do porośniętego łozą brzegu. Chwycił za gałąź i ukrył się w jej gąszczu. Deszcz lał, pioruny biły, a nasz uchodźca siedział w krzakach przybrzeżnych i Bogu dziękował za łaskę ocalenia w tej dramatycznej sytuacji, jak również podczas całej ucieczki. W sercu mu grały fanfary zwycięstwa, rosło pragnienie chwycenia w ramiona Martynki i ucałowania córeczki. Był już pewien ocalenia, czekał tylko na ustanie tej zbawczej dla niego nawałnicy. Wtedy

będzie mógł wyjść z tych łóz i oddać się w ręce polskich straży. Wiedział, że tego nie uniknie, ale to przecież polska straż... Nie miał żadnych dokumentów. „Będą musieli sprawdzić, kim jestem” – pomyślał. Gdy burza ucichła, drżący z wrażenia, ale też zimna, wyszedł na brzeg. Zaledwie po kilku jego krokach oślepiły go latarki elektryczne i nakaz:

– Stój. Ręce do góry!

Ujrzał dwóch strażników. Po chwili jeden z nich był już przy nim i obmacał, czy nie ma broni. Kazali mu iść przed nimi do strażnicy. Tu przy świetle lampy i w cieple poczuł się lepiej.

– Kim jesteście? – spytał komendant strażnicy. – Gdzie są wasze dokumenty?

Kazimierz opowiedział wszystko, a strażnicy z zainteresowaniem go słuchali. Widząc, że z zimna i wrażenia drży na całym ciele, komendant kazał mu dać suchą żołnierską odzież i kubek gorącej herbaty. „Oto jak jestem przyjęty przez swoich” – pomyślał Kazimierz.

– Teraz pada deszcz i jest noc. Musimy poczekać do rana. Wtedy sprowadzimy tu waszą rodzinę, aby potwierdziła to, co nam powiedzieliście, i zabrała was do domu. Głodni jesteście? – spytał komendant.

– Nie – odpowiedział Kazimierz.

– Siadajcie tu na ławie i cierpliwie czekajcie dnia.

I czekał, a wydawało mu się, że to najdłuższa noc w jego życiu. I wreszcie przyszedł ten ranek, gdy otworzyły się drzwi, a w nich ukazała się słodka twarz Martynki z dzieckiem na ręku, a za nią weszli jej rodzice. Kazimierz rzucił się w ich kierunku, objął żonę i dziecko, rodzice objęli ich oboje. W tym powitaniu nie było słów, tylko płacz radości, podobny do rozkosznego skomlenia... Kazimierz po wielokroć odchyłał głowę do tyłu, by spojrzeć na Martynkę, i znów przytulał ją do serca, jakby sprawdzał, czy nie śni, czy to nie jest tylko złudzenie. Całował ręce rodziców żony, a oni kolejno go obejmowali i całowali. I wreszcie wziął na ręce i przytulił do serca swoją córeczkę Anię...

Nie bez wzruszenia przyglądał się tej scenie komendant strażnicy, który poznał koleje dramatycznej ucieczki Kazimierza w trakcie jego przesłuchania. Formalność wymagała podpisania przez Kazimierza

i jego rodzinę odpowiedniego raportu, sporządzonego przez komendanta. Po czym szczęśliwa rodzina udała się do swojego domu.

Koszmar ucieczki miał już Kazimierz za sobą. Wreszcie znalazł się w objęciach upragnionego szczęścia. Martynka odzyskała męża, a ich dziecko ojca... Pijani ze szczęścia, wracali do domu, Kazimierz niósł i tulił do siebie Anię. Dziecko nie miało jeszcze pół roku i to, co się stało, było poza jego świadomością, ale Kazimierz sądził, że czując bliskość ojca, z ufnością spoczywa w jego ramionach. Wzruszony patrzył, jak jego córeczka powoli przymyka oczy i spokojnie usypia... Przy drodze do domu stała „Figura”. Tak nazywano krzyż – miejsce modłów i szczególnego kultu ludu polskiego dla Maryi. Był maj. Krzyż był udekorowany kwiatami i wieńcem. Ku niemu skierował swe kroki Kazimierz z rodziną. Klęcząc z pokorą, w milczeniu oddawali dziękczynny hołd Matce Bożej, głęboko wierząc, że dzięki Jej wstawiennictwu po długiej, koszmarnej rozłące razem dziś klęczą u stóp tego krzyża.

Wreszcie minęła ponura atmosfera przygnębienia i nękającej niepewności, czy Kazimierz żyje i czy wróci do nich. Po jego odzyskaniu dom stał się jaśniejszy, emanował szczęściem rodziny pełnej, kochającej się, optymistycznie patrzącej w przyszłość. Pozostała tylko troska o los rodziny Lipińskich, która została gdzieś po stronie bolszewickiej, ale krążyły wieści o porozumieniu ze wschodnim sąsiadem w sprawie łączenia rodzin rozdzielonych granicą. Była więc nadzieja, że rodzina ta będzie przesiedlona do Polski. Brakowało też w domu Romana – brata Martynki, ale jego nieobecność nie przysparzała szczególnej troski, gdyż odbywał on obowiązkową służbę wojskową w jednostce wojskowej w Sarnach.

Kazimierz po wejściu do domu po tak długiej nieobecności patrzył na jego ściany, jakby nie wierzył, że tu powrócił. Miał dużo pytań dotyczących tego, co tu się działo w czasie jego nieobecności, jaki jest stan gospodarki, ale rozumiał też, że kolejność tematu rozmów będzie odwrotna. To on najpierw będzie musiał opowiedzieć o swoich przeżyciach, od czasu porwania go do końca jego ucieczki. Zadecydował o tym Walerian, który zwrócił się do swego zięcia słowami:

– Kaźmierz, my wszystkie bardzo ciekawe, jak to było z tobo, aliz przody ty musisz oddychnąć i nabrać siły, bo jak widno, ty bidniaka, zmarniał i musisz trochi podduszać, żep nam o wszystkim opowiedzieć. Tera pośniadaj i idzi spoczywać choć ze dwa dni.

– Tato, ja kilka dni odpoczynek miał u ciotki Fedorowej.

W trakcie tej rozmowy Kazimierz siedział na krześle przy stole, a na jego kolanach wciąż spokojnie spała Ania. Nie chciał się z nią rozstawać nawet wtedy, gdy dziecko już się obudziło i zachowywało się niespokojnie, skłonne do płaczu. Szczęśliwa Martynka klęczała przy nich i z wielką miłością spoglądała to na męża, to na Anię, a widząc zachowanie dziecka, wiedziała, czego ono chce.

– Daj mnie jo, Kaźmierz, bo ona zgłodniała.

Usiadła z dzieckiem na krześle i zaczęła je karmić piersią. Siedział teraz nasz bohater na krześle naprzeciw Martynki karmiącej dziecko. Pierwszy raz w życiu widział wspaniały obraz karmiącej matki, szczególnie że była to jego żona i ich dziecko... Ania miała już pół roku i była ślicznym dzieckiem. Patrzył Kazimierz z wielką miłością też na Martynkę. Wydawała mu się piękniejsza i bardziej dojrzała. na co wpływ miało jej macierzyństwo. Ona zaś, wyczuwając jego zachwyt, rumieniła się i skromnie spuszczała oczy, kierując je na dziecko.

Już następnego dnia po swoim powrocie dokonał Kazimierz przeglądu gospodarstwa, budynków i pól. Podziwiał gospodarskie oko teścia Waleriana, który zadbał o wszystko. Obora i dobytek były dobrze utrzymane, zboża ozime zasiane. Brak było konia, ale parą wołów, które posiadali, wynajęty parobek orał pole pod zasiew zbóż jarych. Wypasem krów zajmował się pastuch obsługujący w tym zakresie kilka gospodarstw.

Przyszedł ten wieczór, gdy Kazimierz opowiedział rodzinie wszystko, co przeżył od czasu jego porwania do końca dramatycznej ucieczki. Mówił o beznadziejności swojego położenia, gdy znalazł się daleko na wschód od Donu. Trapiiony ogromną tęsknotą za rodziną i ziemią ojczystą, podjął ryzykowną ucieczkę, mimo że wiedział, jak ogromną ma przed sobą przestrzeń i ile po drodze napotka przeszkód. Dzięki Opatrzności podczas ucieczki spotykał dobrych ludzi, którym zawdzięcza życie. Tu opowiedział



o Maksymie, u którego spędził całą zimę i który wiosną pomógł mu przeprowić się przez Don. Mówiąc o Maksymie i jego ojцовskim stosunku do niego, nie pominął niczego, nawet tego, że on, nie wiedząc o tym, iż Kazimierz jest człowiekiem żonatym, pragnął, aby poślubił jego siostrzenicę Nataszę. Opowiadania tego słuchała siedząca obok męża Martynka. W momencie, gdy w jego relacji znalazł się epizod o Nataszy, Martynka przytuliła się do Kazimierza. Ten jej odruch był naturalny i serdeczny, jako że małżonkowie już wcześniej w swojej intymnej, małżeńskiej rozmowie powiedzieli sobie o wszystkim i ufali sobie. Ludowe porzekadło głoszące maksymę, że „bez obecności nie ma miłości”, nie odnosi się do miłości prawdziwej, której fundamentalną cechą jest wierność.

Walerian z uwagą i przejęciem słuchał tej niezwykle dramatycznej historii, a Ludwika momentami składała ręce, spoglądała na święty obraz na ścianie i fartuchem wycierała łzy.

Gdy Kazimierz zakończył swoją relację, wzruszony Walerian tak podsumował to, co usłyszał:

– Popat ty, Kaźmirz, w wielkie perypatriki i ono Bogu dziękować, ży żyjesz. U nas byz ciebie była wielka zgryzota i skuczność za tobo. Ze ty tera nazad z namy, letko nam na sercu.

Później rozmowa potoczyła się wokół tematu gospodarstwa. Pilną potrzebą był zakup wozu i konia.

– Ja już zakazał woza w Cyganów, bo ony robio dobre wozy, a po konia trza pojechać w Sarny, tam na jarmarku, w liwerantów można kupić konia. Ja już nagotowił rubli, złotych jeszcze w nas tyle ni ma, żep stało na takie pokupkie.

\*

Za kilka dni wypadła cotygodniowy jarmark w Sarnach. Z Brzezina to było jakieś kilkanaście kilometrów po błotnistej, leśnej drodze. Zaprzyjaźniony sąsiad obiecał użyczyć im na tę podróż swojego wozu i konia. Tymczasem całkiem niespodziewanie zjawił się w domu Roman. Gdy dotarła do niego wiadomość o powrocie Kazimierza, zwrócił się z prośbą o przepustkę w celu odwiedzenia domu rodzinnego. Gdy wy-



Jarmark w Sarnach, 1929/1930. Fot. archiwalna ze zbiorów Kaliny Sroczyńskiej

jaśnił przyczynę swojej prośby, jego dowódca, zaaferowany tą historią, pozwolił mu w drogę do domu udać się konno, jako że Roman służył w konnym zwiadzie.

Po gorącym powitaniu i w wielkiej radości, że rodzina jest w komplecie, Ludwika nakryła stół do obiadu, przy którym zasiedli. Najpierw, zgodnie ze zwyczajem, wszyscy przeżegnali się przed posiłkiem i cicho spożywali smaczne potrawy. Później Walerian sięgnął po anyżówkę, którą trzymał na specjalne okazje. Po spełnieniu toastu dla uczczenia tak bardzo oczekiwanego spotkania, na prośbę Romana, Kazimierz rozpoczął opowiadanie od momentu, gdy został porwany, a następnie terroryzowany, nękaný głodem, ciężką pracą i groźbą utraty życia. To wszystko, a przede wszystkim ogromna tęsknota za ukochaną rodziną, spowodowały, że podjął ryzykowną ucieczkę. Całej tej wstrząsającej historii, a szczególnie dramatu ucieczki aż do szczęśliwego jej zakończenia, Roman wysłuchał z wielkim przejęciem i wzruszeniem. Gdy Kazimierz

zakończył, zapadło milczenie i absolutna cisza, ale tylko na moment, bo zaraz potem Roman chwycił go w swoje ramiona i ucałował w policzki. Ta relacja Kazimierza była przeznaczona dla Romana, ale cała rodzina wysłuchiwała jej po raz kolejny z niezmiennym wzruszeniem, o czym świadczyły westchnienia i łzy. Można powiedzieć, że kolejne poruszenie tej wstrząsającej epopei rodzinnej było dla nich jakby refrenem tragicznego utworu wokalnego.

Po obiedzie, gdy Roman zapytał, jak sobie radzą z wiosennymi pracami w polu, Walerian powiedział mu, że właśnie jutro mają jechać do Sarn na jarmark i kupić konia. Wtedy Roman poradził, by kupić konia w jego jednostce.

– Zapłacicie dużo taniej. Mamy trzy konie do sprzedania. Te konie mają po siedem lat i są wycofane spod siodła, ale nadają się jako pociągowe. Spieszcie się, bo wykupią je liweranci i wyprowadzą na targ, gdzie wystawią za cenę dwa razy wyższą.

Bardzo wzruszona Ludwika, chcąc rozładować nastrój, zaproponowała:

– Nu, to podziękujmy Matce Boskiej, że tera my wszystkie razem w domu.

W tym dniu rodzina nie miała spokoju. Po wsi rozeszła się wieść, że wrócił Kaźmirz. Sąsiedzi odwiedzali ich, chcąc go powitać. Przyszedł nawet Chaim z butelką anyżówki.

\*

Minęło kilka dni od powrotu Kazimierza. Rodzina ochłonęła już po tym radosnym wstrząsie, zaś on nie tracił czasu i niezwłocznie dokonał przeglądu obejścia gospodarskiego, sprawdził stan narzędzi rolniczych i wyszedł na pola. Widział działki zorane oczekujące na siew zbóż, widział też duży areał drzemiący jeszcze po zimowym śnie, ale już czekający uprawy pod kartofle. Wszystko to rozbudzało instynkt rolnika do niezwłocznej, intensywnej pracy. W czasie tego obchodu spotykał i witał swoich sąsiadów bardzo zainteresowanych kolejami jego losu, od porwania do szczęśliwie zakończonej ucieczki. Wszystkim odpowiadał, że po wiosennych pracach zaprosi ich do swego domu i opowie.

Roman wyjechał, a Walerian zaopatrzył się w ruble i pożyczonymi od sąsiada końmi z Kazimierzem udał się do Sarn. W biurze kwatermistrza wojskowego ustalili cenę za konia. Płacona w rublach była obniżana. Zorientowali się, że w tej cenie mogą kupić dwa konie. Tak też zrobili. Wkrótce Cyganie dostarczyli nowy wóz i gospodarstwo zostało wyposażone w odpowiednie środki transportowe.

Po powrocie Kazimierza nastąpił podział ról przy obsłudze gospodarstwa. Polem zajmował się Kazimierz z żoną, a obejściem gospodarskim i domem – rodzice, Walerian i Ludwika. A było koło czego chodzić: cztery krowy i jałówka, gromadka świń, sporo drobiu: kur, gęsi i kaczek, para wołów i dwa konie. Z tym że woły i konie od rana do wieczora były w polu. Oprócz tego Ludwika opiekowała się małą Anią i sporządzała posiłki dla całej rodziny, bo Martynka z mężem pracowała w polu.

Wynajęty parobek zajmował się pracą wołów: orał, a następnie bronował przed zasianiem i po zasianiu zboża. Samo zaś sianie Kazimierz wykonywał sam.

Bardzo dużo pracy wymagała uprawa kartofli. Sadzono ich dużo, a robiono to, jak już wspomniano, w dwojaki sposób: na wyżej położonym terenie sadzono je „pod pług”, a na terenach niżej położonych – podmokłych, robiono grzędy o szerokości do dwóch metrów. Rowki odwadniały grzędy. W tym wypadku sadzono kartofle „pod motykę”. Na takiej grzędzie rosły rzędy kartofli, które trzeba było ręcznie odchwaszczać i również ręcznie okopywać, a gdy dojrzeją, za pomocą kopanek (haczek) wykopywać. Była to pracochłonna uprawa. Kartofle sadzone pod pług nie wymagały tak ciężkiej pracy. Chwasty usuwano radłem ciągnionym przez konia, a wykopywanie wykonywano przy użyciu pługa. Taki zbiór kartofli wymagał zatrudnienia większej liczby ludzi. Kazimierz wynajmował do tego kobiety z Brzezin.

\*

Zawód rolnika, (obok myślistwa i rybołówstwa) jest najstarszym rzemiosłem świata. Ta dziedzina kultury ludzkiej, stale udoskonalana pod kątem efektywności, zawsze wymagała od rolnika dużego nakładu pracy

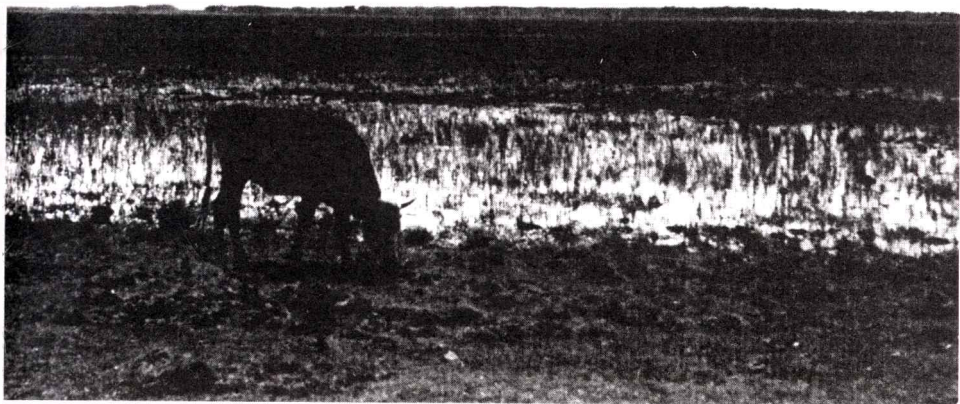
i chociaż jest to praca na łonie natury, czyli przyjazna dla zdrowia, to jednak ciężka – wymagająca wysiłku.

Jednym z ważnych czynności w rolnictwie zawsze był siew. W czasach tu opisywanych wykonywany był ręcznie. Wymagał dokładności i wprawy, dlatego robił to sam gospodarz. Narożniki płóciennego materiału wielkości prześcieradła, położone względem siebie po przekątnej, wiązało się z sobą. Tak sporządzoną torbę siewca zawieszał sobie na szyi i napełniał ziarnem siewnym. Zwykle przed rozpoczęciem siewu najpierw przeżegnał się, po czym idąc przez pole, prawą ręką sięgał do torby i całą garść ziarna wprawnym ruchem, z rozmachem, rozsiewał przed sobą. Robił to rytmicznie, przy każdym kroku.

Był piękny, słoneczny dzień majowy. Kazimierz z żoną wyszli do pracy w polu. On miał siać zboże, ona razem z kilkoma kobietami sadzić kartofle na grzędach. Parobek – poganiacz wołów, miał orać, a potem bronować już zorane pole pod zasiew, a po zasiewie bronować powtórnie.

Kazimierz po obsianiu dużego areału pola poczuł się zmęczony i zapragnął chwili odpoczynku. Podeszedł do starej, pochylonej, dzikiej gruszy gdzie miał *ładyżkę* z kwaśnym mlekiem. Usiadł, opierając się o pień drzewa i raczył się orzeźwiającym napojem. Jego pole leżało na wyżynie, skąd mógł widzieć swoją wieś i okolice. Z całą wrażliwością duszy patrzył na swoją małą ojczyznę. Najpierw oczy skierował na w oddali pracujące kobiety, wśród których widział swoją ukochaną żonę. W tym momencie widok Martynki napawał go błogim spokojem i pewnością, że to jego szczęście jest rzeczywistością, że jest przy niej i tam w domu, pod opieką babci, jest ich córeczka. Koszmar przeżytych dni jeszcze nie opuścił go, powodował niespokojne sny i natrętne myśli. Relaksem było dla niego spojrzenie na panoramę okolicy. Jak na dłoni miał przed sobą zalaną słońcem wieś. Dwa długie rzędy słomianych strzech tworzyły szeroką ulicę. Widać było kilka żurawi studziennych i dużo bocianich gniazd na strzechach chat i budynków gospodarczych. Patrząc dalej, widział dolinę rzeki Słucz, pokrytą kobiercem zielonych wiosennych traw, mieniących się kolorami różnych kwiatów, pasące się bydło, bielejące stada gęsi, żerujące bociany... Panowała tam cisza i kojący spokój. Czasem tylko ryk-





Mokradła w pobliżu Słuczy. Fot. archiwalna ze zbiorów Kaliny Sroczyńskiej

nęła krowa, zagegały gęsi czy zagrał na fujarce jakiś pastuch. To wszystko szerokim łukiem otaczała niebieska wstęga rzeki Słucz, na obrzeżach malowana kwiatami bazi z przybrzeżnych łoż. Dalej, na wschód, w dużej oddali widział kompleks budynków dworu, a jeszcze dalej w mglistej perspektywie ciemne pasmo lasów... I znów natrętna myśl nasunęła mu porównanie z dramatycznymi epizodami jego ucieczki: bezkresny, dziki step, groźne wody Donu i Dniepru, śmiertelne zagrożenie od bolszewików, ale też dobrzy, przyjaźni mu ludzie, dzięki którym ocalał i dotarł do domu... Otrząsnął się z tych myśli i wrócił do pracy.

Gdy dzień chylił się ku wieczorowi i roje komarów nękały pracujących w polu ludzi oraz zwierzęta, Kazimierz ogłaszał koniec pracy. Kobiety zabierały kosze i narzędzia, Parobek kierował woły do wodopoju i do obory, gdzie miały obfity żer i odpoczynek, a Kazimierz podał ramię Martynce i razem szli do domu. Towarzyszył im chór rechoczących żab z okolicznych mokradeł i bagien, porykiwanie bydła wracającego do obór i wieczornego udoju, nawoływania pastuchów i skrzyp żurawi studziennych.



Jak już wcześniej wspomniano, praca rolnika, szczególnie w porze letniej, w takim stopniu angażuje go, że mało pozostawia czasu na odpoczynek. Kazimierzowie po powrocie do domu mieli jeszcze inne zajęcia. Martynka musiała pomóc mamie przy dojeniu krów, a Kazimierz udał się na pastwisko po konie, które trzeba było napoić i wprowadzić do stajni. Do snu wiejscy gospodarze idą wcześniej, po kolacji, by wstać o świcie do obrządku i porannego dojenia krów.

\*

Była niedziela. Kazimierz przygotował konie i wóz do jazdy do kościoła całej rodziny. On powoził, a obok niego siedziała Martynka z Anią na rękę. W tyle na wysoko wymoszczonym siedzeniu zajęli miejsce Walerian i Ludwika. Dwa koniki gniadej maści nabyte od wojska ochocho biegły leśną drogą, ciągnąc wóz. Był koniec maja 1923 r.

Soczysta wiosenna zieleń lasu, ciepłe, rześkie powietrze przesycone delikatną wilgocią i aromatem różnorodnej flory upajały i napełniały zachwytem wrażliwe dusze ludu kresowego. To były bodźce, które wpływały na nich poza ich świadomością. Po prostu w tych warunkach ogarniała ich błogość i radość życia. W takim nastroju dotarli do kościoła, przed którym stało wiele furmanek, sporo ludzi weszło już do świątyni. Nasza rodzina po ulokowaniu swoich koni i pojazdu też udała się do kościoła. Było to już zgromadzenie wiernych w wolnej Polsce. Twarze ludzi były rozluźnione i radosne. Czuli się sobą, bez ograniczeń i obawy, że swoją patriotyczną postawą naruszają jakieś antynarodowe nakazy. Ulga, że skończył się ten koszmar, wymalowana było na ich twarzach. Był to, jak już wcześniej wspomniano, jeden z końcowych dni maja 1923 roku. Ksiądz, wychodząc do odprawienia mszy świętej, zaintonował popularną pieśń *Chwalcie łąki umajone...* Wierni podjęli pieśń, dołączył organista z akompaniamentem fisharmonii, a wówczas zadrżały ściany świątyni od potężnego śpiewu wszystkich uczestników tej niedzielnej celebry. Ołtarz i całe wnętrze świątyni, przyozdobione pięknymi brzoźkami, barwą i wonią mówiły o porze roku, o miesiącu Maryjnym, który się kończy. O jakże różniło się wygłoszone kazanie od tamtych z czasów zaboru... Teraz

kaznodzieja mógł luźno i swobodnie artykułować swoje myśli. W nawiązaniu do Ewangelii konfrontował zło z dobrem. „Właśnie zwycięstwo dobra nad złem przyniosło wolność narodowi i Kościołowi” – mówił. Te dwie wartości z obszaru dobra – katolicyzm i patriotyzm, będące atrybutem naszej tożsamości narodowej, łączyły Polaków i budowały jedność, a w jedności jest siła konieczna do zwycięstwa dobra nad złem.

Po mszy, w ramach wiadomości parafialnych ksiądz ogłosił, że osiągnięto porozumienie ze wschodnim sąsiadem naszego kraju o łączeniu rodzin rozdzielonych granicą. Kazimierzowi szybciej zabiło serce... „Boże! – myślał – może wrócą do nas moi rodzice, brat z rodziną i siostra”. Myśl ta i nadzieja nie opuszczały go, gdy po mszy wychodził z kościoła, a później w drodze powrotnej były głównym tematem ich rozmów. Głęboko przejęta tym Ludwika zaproponowała:

– Bedzie lepij, jak pomodlimy się za nich, gadać bedziemy w domu. Ot dzisiaj jeszcze maj, odmówmy litanie do Matki Boskiej. – I sama zaczęła: *Kyrie eleison, Chryste eleison...*

Kazimierz powstrzymał bieg koni, które szły teraz stępa, a cała rodzina na wozie głośno modliła się:

– „Pocieszycielko strapionych, Wspomożenie wiernych, Królowo rodziny, Królowo Polski...”

Słowa tej modlitwy przyjmował i niósł las oraz wszystko, co w nim żyje. Jakby na potwierdzenie w pewnym momencie tych modłów z gęstwiny leśnej na drogę przed nimi wyskoczyła gromadka saren. Zwierzęta przez chwilę odwróciły głowy i z ciekawością patrzyły na zbliżający się wóz, by kontynuować swój bieg i zanurzyć się w lesie. Wszyscy patrzyli na nie i starali się ich nie spłoszyć.

Po powrocie do domu i po obiedzie Kazimierz niezwłocznie udał się do sołtysa. Okazało się, że ten wiedział już o układach polsko-bolszewickich w sprawie łączenia rodzin rozdzielonych granicą. Miał już nawet plakaty informujące ludność w tej sprawie, które zamierzał wywiesić w kilku punktach wsi. Nic więcej sołtys nie powiedział i radził czekać.

Tymczasem już na drugi dzień przybył do Brzezin urzędnik gminny, który wspólnie z sołtysiem zwołał i przeprowadził zebranie mieszkańców

informujące o możliwości przeniesienia się na wschód od Słuczy, jeśli ktoś ma tam rodzinę, z którą chce się połączyć. Kto chce z tego skorzystać, powinien zgłosić to sołtysowi. Podobne informacje zawierały rozwieszane już afisze. We wsi nie było wielkiego odzewu na to ogłoszenie. Zgłosiły się tylko dwie rodziny ukraińskie. Rodzin takich było w Brzezinach więcej, ale niełatwo jest opuścić dom i ziemię, dorobek całego życia.

Gdy nadszedł dzień wymiany, na rzekę wciągnięto prom. Po stronie polskiej czekały na przekroczenie granicy dwie rodziny z Brzezin i kilka z innych okolicznych wsi po tej stronie granicy. Każda mogła zabrać swoje rzeczy i żywność na dwóch wozach. Wokół stali żegnający ich ludzie, a wśród nich Kazimierz z żoną i teściami w nadziei, że po drugiej stronie rzeki ujrzą swoich rodziców i rodzeństwo. Wreszcie zobaczyli grupę ludzi z dziećmi i tobołami, ale nie mogli rozpoznać twarzy, bo odległość była zbyt duża. Wreszcie ruszyła kolumna wozów po polskiej stronie. Kolejne ładowne wozy z idącymi przy nich krowami i dziećmi siedzącymi na pierzynach wjeżdżały na prom i po chwili były już po drugiej stronie granicy. Gdy trochę się oddalili, ukazał się tłum dorosłych i dzieci, którzy szli w kierunku promu. Nie mieli furmanek i szli, niosąc na plecach worki i tłumoki, to ich dobro, które mogli unieść. I wreszcie po długiej chwili oczekiwania w wielkim napięciu Kazimierz ujrzał w tym tłumie wysoką postać człowieka obarczonego bagażem i wspierającego się na lasce. To był jego brat Władysław, a obok niego szli rodzice i pozostali członkowie rodziny, wszyscy, oczywiście bez dziadka Mateusza, który, jak wcześniej wspomniano, zmarł i pochowany został na parafialnym cmentarzu.

Pominiemy tu opis wzruszającego powitania obu rodzin i sąsiadów z Brzezin. Przybyła rodzina Lipińskich z wielką serdecznością przygarnięta została w domu Różańskich, ale trwało to zaledwie kilka dni. Państwo polskie niezwłocznie przyszło z pomocą przybyłym ze strefy bolszewickiej, a było tych rodzin kilkanaście, nie licząc pojedynczych osób, które dotarły tu bez rodzin. Do Brzezin przywieziono baraki, z których ustawiono rząd mieszkań rodzinnych. Przybyłym rolnikom przydzielono w ramach pomocy odpowiedni areał ziemi ze Skarbu Państwa i pomoc finansową na doraźne potrzeby. Każda rodzina mogła zaciągnąć

nieoprocentowaną pożyczkę na budowę domu i budynków gospodarskich na przydzielonym areale. Działo się to już po okresie szalejącej inflacji, kiedy nasz kraj ustabilizował się i w obiegu była stabilna złotówka.

Rodzina Lipińskich miała dodatkową pomoc finansową w postaci stałej renty w wysokości 100 złotych miesięcznie, którą przyznano Władysławowi jako inwalidzie wojennemu. To była znacząca pomoc, bowiem za kwotę 100 złotych można było kupić jedną krowę.

Działka przydzielona rodzinie Lipińskich leżała daleko od gospodarstwa Kazimierza i jego teściów. Stało się tak, ponieważ właściciel dworu, chcąc odrestaurować swoje gospodarstwo po zniszczeniach wojennych, postanowił sprzedać sto dziesięcin swoich gruntów położonych na wschodnim skraju swoich dóbr. Nabył to Skarb Państwa z przeznaczeniem dla przesiedleńców ze strefy bolszewickiej. Geometra podzielił ten areal na dziesięć działek, które rozdano pomiędzy dziesięć rodzin – dziewięć polskich i jedną ukraińską. Wśród nich była rodzina Lipińskich. Rozpoczęła się intensywna praca przy przygotowaniu przydzielonego terenu do kultywacji rolnej, budowie domów i budynków gospodarskich. Miejscowość nazwano kolonią Serwituty (wszystkie polskie osiedla na Wołyniu przed nazwą miały określenie „kolonia”). Oznaczało to, że większość mieszkańców tego osiedla stanowią Polacy.

Sytuacja rodzinna ustabilizowała się. Kazimierz miał swoją rodzinę w niezbyt dalekim sąsiedztwie, a co najważniejsze, w Polsce.

## W wolnej Polsce

Mijały pierwsze, bardzo pracowite lata w naszym niepodległym kraju. Na kolonii Serwituty ciągle jeszcze pracowali trzecie i cieśle, ale już stały budynki w stanie surowym, niektóre jeszcze niepokryte, bielili się konstrukcją gołych krokwi i łat. Pola już zieleniły się zasianym zbożem.

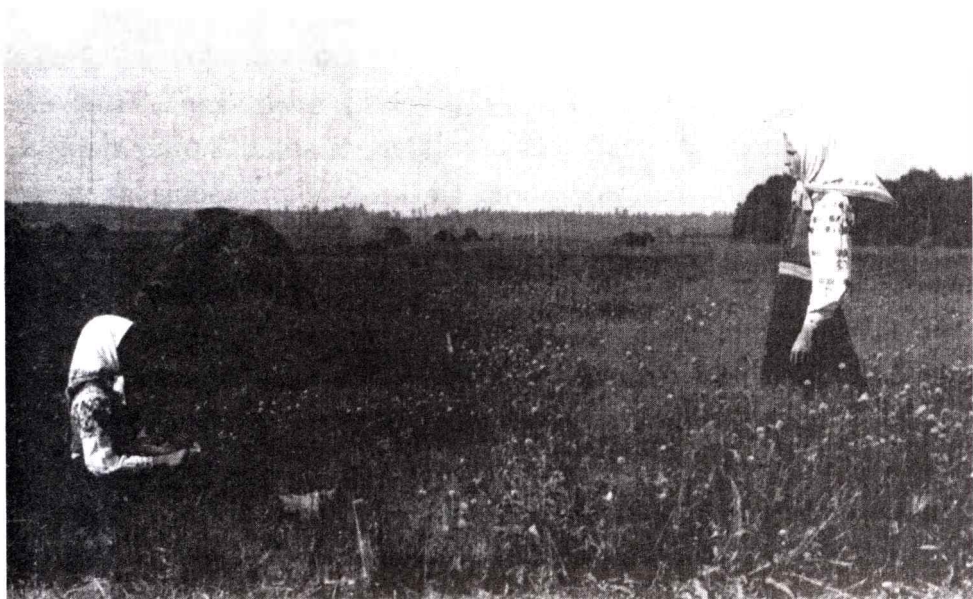
Była czerwcową niedzielą roku 1926. Po obiedzie Kazimierz z żoną i córką wyszli na pola, by nacieszyć się widokiem swych pól. Pogoda była piękna, bezwietrzna. Gdzieś wysoko na niebie żałośnie kwiliła *kaniuka* (kania). Unoszący się coraz wyżej w powietrze zapamiętałe świergotał skowronek.

Przed nimi roztaczał się łąn żyta, u brzegu utkany fioletem kwiatów chabrów i kākoli, a nad nim latały barwne motyle, ważki, brzęczące pszczoły i koniki polne... A w tej kojącej harmonii otoczenia ich troje szczęśliwych i rozmiłowanych w sobie. Ona szła, trzymając rękę na ramieniu męża. Oboje z miłością wpatrzeni w siebie i w ich ukochane dziecko hasające przed nimi. Ania zrywała kwiatki chabrów, a gdy miała już dwa bukieciki, wręczyła je rodzicom. Uściskana przez nich, biegła, by uezierać jeszcze dwa bukieciki dla babci i dziadka.

– Widzisz, Martynka, żyto duśpiwa, już kwitnie. Ni za długo żniwa, trza pośpieszyć sianokosy.

I patrzył Kazimierz w dal, gdzie poza łąnami pszenicy i rzędami kartofli szeroko rozpościerały się łąki, a na nich rzędem stały kopice siana, oczekujące na zwózkę do stodoły lub stogowanie. Po sianokosach widok stogów był charakterystyczny w krajobrazie wołyńskich łąk. Warto opisać budowę takiego stogu. W tym celu wycinało się młode, smukłe drzewo.





Charakterystyczne kopice na wołyńskich łąkach.  
Na pierwszym planie Ukrainki w tradycyjnych strojach.  
Fot. archiwalna ze zbiorów Kaliny Sroczyńskiej

Po ogołoceniu z gałęzi osadzano je w ziemi od strony odziemka. Wokół takiego masztu w promieniu około trzech metrów układano i udeptywano siano do wysokości od trzech do czterech metrów. Powstawał taki walec o średnicy około sześciu metrów. Na nim układano, udeptywano i formowano stożek z tegoż siana o wysokości około czterech metrów. W rezultacie powstał tak zwany stóg siana o łącznej wysokości od sześciu do siedmiu metrów. Ze szczytu tego stożka wystawała końcówka wspomnianego masztu. Budowa stogu pochłonęła wiele kopiec siana. Z całego obszaru łąki ściągano ku stogowi kopice w bardzo łatwy sposób. U podstawy obciążano ją łańcuchem i oba końce łańcucha podpinano do orczyka połączonego z uprzężą konia, który lekko ją sunął po skoszonej trawie.

Okres między sianokosami a żniwami był dla wieśniaków czasem ulgi. Mniej pracowali w polu, poświęcając więcej czasu zajęciom przydomowym, których nigdy nie brakowało, takich jak przygotowanie budynków gospodarczych na przyjęcie późniejszych plonów, czyszczenie



obór i stajni, pielęgnacja sadów i ogródków przydomowych oraz zbiór runa leśnego – głównie jagód, a także połowu ryb w Słuczy i okolicznych stawach. Było też więcej czasu na wieczorne spotkania sąsiedzkie, pogawędkę i zabawy. W takim czasie całkiem niespodziewanie zjawił się w Brzezinach znany nam wagabunda Sawko. Miał przy sobie jak zawsze katarynkę i harmoszkę, ale tym razem towarzyszył mu drugi brodiaga i partner – Mykołka. W czasie występu śpiewali na głosy, tworząc wspólny duet.

Sawko nadal nie ujawniał swego pochodzenia. Jego repertuar piosenek ukraińskich był duży i dlatego chłopci ukraińscy uważali go za swego, jednak teraz, gdy występował w niepodległej Polsce, zaprezentował pieśni o silnym akcencie patriotycznym: *Legiony* i *Maszerują strzelcy, maszerują*. Wykonał je przy akompaniamencie harmoszki z wielką ekspresją, dumnie uniesioną głową i błyskami emocji w oczach. W tym momencie wyzierała z niego romantyczna i patriotyczna sarmacka dusza. Nagrodzono go burzą oklasków. Działo się to w świetlicy szkolnej w obecności pani Matyldy – kierowniczkii tej szkoły, która zachwycona pięknym występem tych wędrownych artystów gratulowała i dziękowała im.

\*

Ciepło i piękna pogoda przyspieszyły żniwa. Od wczesnego ranka pola zaroili się od pracowitego ludu. Kobiety żęły zboże sierpami. Bardziej wydajną metodą było koszenie kosą uzbrojoną w pałąk. W tym wypadku mówiono, że kosi się na ścianę. Pałąk powodował, że ścięte kosą zboże opierało się o „ścianę” nieściętego, stojącego jeszcze zboża. Za kosiarzem szła kobieta „podbieraczka”, która zbierała zboże ze ściany i układała pokos na ściernisko. Leżące obok siebie w długich rzędach pokosy zboża schły, a przeschnięte były zbierane i wiązane w snopy, które ustawiano w tak zwane kopki. Później te kopki, już całkiem suche, zwożono do stodół.

Gospodarz dworu mógł sobie pozwolić na częściową mechanizację zbioru zbóż. W tym celu kupił i wprowadził do eksploatacji żniwiarkę. Urządzenie to, ciągnięte przez konie, w sposób mechaniczny ścinało

zboże w paśmie szerokim około półtora metra i automatycznie układało je na ściernisku w równej warstwie za sobą. Przy tej metodzie nie trzeba było podbieraczki, a wydajność koszenia była dwa do trzech razy większa w porównaniu z koszeniem ręcznym.

\*

Zbliżał się nowy rok szkolny 1927–1928. Ania przygotowywała się do nauki w szkole powszechnej, ukraińskojęzycznej, bo tylko taka była w Brzezinach. Bardzo na to czekała. Miała już odpowiedni strój i podręczniki, polskie i ukraińskie. Po polsku potrafiła już czytać i pisać. To zasługa babci, która wyniosła z lat zaborów uczenie się w domu. Teraz wołała, by jej wnuczka była przygotowana na rozpoczęcie nauki, a że Ania sama garnęła się do książek, więc wyniki były pozytywne, co wskazywało, że będzie dobrą uczennicą.

Czteroklasowa szkoła w Brzezinach została odnowiona i rozbudowana na przyjęcie większej liczby uczniów niż za czasów zaboru rosyjskiego, kiedy nauka nie była obowiązkowa i w wielu rodzinach rezygnowano z edukacji dzieci albo posyłano je tam zimą, kiedy w gospodarstwach było mniej pracy. Była więc potrzeba zatrudnienia więcej nauczycieli. Znana nam pani Matylda została kierowniczką tej szkoły i uczyła języka polskiego, historii i higieny. Dzieci katolickie religii uczyła katechetka. Stepan (Stefan), nauczyciel, który od dawna pracował w tej szkole, teraz uczył ukraińskiego, geografii i matematyki. Prawosławne dzieci, których było najwięcej, religii uczył miejscowy pop, który w tym celu raz w tygodniu przychodził do szkoły. Dzieci żydowskie uczyły się religii poza szkołą, w swojej diasporze. Potrzebny był nauczyciel takich przedmiotów jak: roboty praktyczne, gimnastyka i rekreacyjne gry sportowe. Wkrótce władze oświatowe skierowały do Brzezin takiego nauczyciela. Był nim młody, wysportowany i pełen zapału do pracy pan Robert.

Mimo bogatej kultury duchowej poziom egzystencji fizycznej tego ludu był prymitywny, przede wszystkim w dziedzinie sanitarnej. Nikt nie cierpiał głodu. Wszystkich wyżywiła ziemia – ta kultywowana i ta pozostająca w stanie dzikiej natury. Nawet odzież wytwarzano własnym



Kobiety podczas prania nad Słuczą, lata 1929/1930.

Fot. archiwalna ze zbiorów Kaliny Sroczyńskiej

sumptem. Gorzej było z obuwem zimowym. Natomiast w owych czasach wszawica była zjawiskiem powszechnym. Powodowała nie tylko dyskomfort życia, ale też była poważnym zagrożeniem życia w czasie epidemii tyfusu czy czarnej ospy, chorób, które zebrały śmiertelne żniwo w czasie pierwszej wojny światowej Wszy przenosiły zarazki, powodując eskalację tych chorób. Brak higieny i idący za tym rozwój insektów to spuścizna władz zaborczych, które nie przeciwdziałały temu ani w dziedzinie oświaty, ani w promocji dostaw szarego mydła i innych środków do utrzymania czystości.

Władze młodej Polski zdecydowanie i niezwłocznie przeciwdziałały tej pladze. Rynek obficie zaopatrzone w szare mydło, które było w cenie promocyjnej. W szkołach wprowadzono obowiązkowe przeglądy higieniczne dzieci i spotkania instruktażowe z rodzicami. W wypadkach szczególnych rodzice byli wzywani w celu pouczenia i perswazji. Wszystkim uczniom chłopcom strzyżono włosy. W szkole brzezińskiej robił to nadzorca budynku szkolnego, używając ręcznej maszynki do strzyżenia włosów. Warto tu wspomnieć, że to wojsko w pierwszej ko-

lejności wprowadziło ostre reżimy przestrzegania higieny. Każdy rekrut, nim przywdział mundur, musiał poddać się kompletnemu ostrzyżeniu włosów i przejść łaźnię. Wracając do szkoły: większy był problem z higieną dziewcząt, którym nie strzyżono włosów, a więc gnidy i wszy miały dobre warunki do gnieźdzenia się. W walce z tym matki „iskały” włosy swych córek i gęstym grzebieniem wyczesywały te insekty. To było dość powszechne w rodzinach ubogich, i zacofanych, które oszczędnie używały mydła. Metody te były jednak nieskuteczne, więc stosowano naftę, którą nawilżano głowę i włosy. Nafta toksycznie działała na insekty, przynosząc dziewczynom ulgę. Higienistka szkolna wdrażała zasadę częstego mycia głowy i włosów w ciepłej wodzie z użyciem odpowiedniej ilości mydła.

W szkole były trzy pokoje lekcyjne, pokój nauczycielski i duża świetlica. W każdej klasie znajdowało się dwanaście uczniowskich ław trzyosobowych. Nauczycielski stół stał na podeście podwyższonym o jeden stopień, a za nim na ścianie wisiał krzyż, godło państwa polskiego i portrety prezydenta RP oraz marszałka Józefa Piłsudskiego.

Pierwszą lekcję zaczynało modlitwą w języku ukraińskim do Boga Ojca w postawie stojącej. Nauczyciel również stał twarzą obrócony do krzyża. Ania siedziała w ławce razem z Żydówką Bunią i Ukrainką Marusią. Wszystkie dzieci przychodziły do szkoły świętecznie ubrane. Ania miała na sobie białą bluzeczkę i czarną spódniczkę z falbankami. Na plecy spadał jej warkoczyk ciemnych włosów. Tak ubrana była większość dziewczynek polskich i żydowskich. Natomiast dziewczynki ukraińskie nosiły koszulki z białego lnianego płótna z szerokimi rękawami, spiętymi mankietami. Przy ramionach koszule te zdobiły czerwono-czarne krzyżkowe hafty. Warkoczyki włosów okalały ich głowy. Chłopcy polscy i żydowscy chodzili do szkoły w białych perkalowych koszulach i głowach strzyżonych na zero – dotyczyło to wszystkich chłopców w szkole. Natomiast ukraińscy chłopcy mieli koszule z białego lnianego płótna ze stojącymi kołnierzykami, całkowicie pokrytymi wspomnianym już krzyżkowym haftem. Także gorsy tych koszul były ozdobione tymi haftami. Wszystkie dzieci latem przychodziły do szkoły boso i tylko część z nich,

pochodzących z zamożniejszych rodzin, miała buciki, a dziewczynki pantofelki.

Otoczenie szkoły było piękne. Budynek stał za wsią na niewielkim wzgórzu, a prowadziła do niego droga wśród wielkich drzew kasztanowych. Szkołę otaczały bzy i jaśminy. Teren szkoły wraz placem zabaw i gier był ogrodzony drewnianym parkanem. W pobliżu (między wsią a szkołą) był staw, a przy nim kilka pięknych płaczących wierzb. U brzegu wód stawu gęsto rósł tatarak i oczeret, a goszczące czasami przy brzegu stawu płochliwe czaple świadczyły, że były tam ryby. Znajdowało się tam też obfite siedlisko żab, które w upalne dni tajemniczo i uroczo kumkały i rechotały, wypełniając wiosenną ciszę wieczorów i nocy wspaniałym koncertem. Od rana wokół stawu chodziły bociany, uważnie szukający tam odpowiedniego dla nich żeru. Wiosną pływały kaczki ze swoim żółtawym potomstwem, wybierające miejsca pokryte seledynową rzęsą. Staw miał swoje źródelko. Świadczył o nim wypływający strumyk wody, który wpływał do Słuczy.

Poranne mgły i parująca w upalne dni woda stawu napełniały powietrze łagodną wilgocią, korzystną dla zdrowia dzieci i dorosłych. Gdy było gorąco, dzieci i starsi chłodzili sobie w przybrzeżnej wodzie stawu nogi, a w czasie zimy było tu lodowisko. Właśnie w związku z tym lodowiskiem nie sposób pominąć dwóch groźnych wydarzeń, jakie tam miały miejsce.

A oto pierwsze z nich. Pewien gospodarz w Brzezinach miał parę roboczych koni i jednego ogiera. Była zimowa niedziela. Gospodarz postanowił wyprowadzić konie w celu ich rekreacyjnego przewietrzenia, czyli ruchu na świeżym, mroźnym powietrzu. Wyprowadził je na pokrytą cienką warstwą śniegu zmarzniętą łąkę graniczącą ze stawem. Większość koni we wsi nie była wyposażona w podkowiny, bo nie było dróg bitych (brukowanych). Wprawdzie w czasie zimowej ślizgawicy podkowiny były wskazane, ale chłopci zimą trzymali konie w stajniach. Tak więc konie tego gospodarza też były „bose”. Para koni roboczych zachowywała się spokojnie. Najpierw się wytarzały, a później podeszły do stawu i wachały suchy tatarak i oczeret. Natomiast ogierek, pełen energii i wigoru, biegł



po łączce z podniesionym ogonem. W pewnym momencie, nie widząc stawu pokrytego warstwą śniegu, rozpędzony wbiegł na lód i po kilku metrach ślizgu upadł na bok, po czym siłą bezwładu swego cielska prześliznął na środek stawu. Tu usiłował poderwać się na nogi, ale na skutek tych prób lód pod nim załamał się i ogierek wpadł do wody sięgającej mu po szyję. Przerażony, rżał rozpaczliwie, stawał na tylne łapy i przednimi usiłował się wydostać na powierzchnię lodu, ale nogi oślizgiwały się i pograżały w wodzie.

Obecny przy koniach gospodarz pobiegł mu na pomoc. Widząc, jaka jest sytuacja, podniósł krzyk, by przywołać sąsiadów. Wołał: „Ludzie dawajcie długie drabiny i liny!”. Wkrótce przyniesiono drabiny i mocne konopne liny. Zbiegło się też dużo ludzi. Drabiny położono z obu stron *opołonki* (tak nazywano przeręblę lub duży otwór w lodzie), stojący na tych drabinach mężczyźni opasali liną korpus konia, a dwa jej końce rzucili na brzeg stawu. Następnie jedną drabinę wsunęto do wody aż do dna i kilkunastu mężczyzn ciągnęło za liny, przyciągając konia do stojącej w wodzie drabiny, a następnie razem z drabiną wyciągnięto ogiera na brzeg stawu. I tak szczęśliwie skończyła się ta przygoda.

Zdarzyła się jeszcze druga, znacznie groźniejsza. Otóż był marzec, lód na stawie utrzymywał się. Dzieci po lekcjach szły ze szkoły do domu. Gdy przechodziły koło stawu, niektóre z nich weszły na lód, by się poślizgać. Ania i Marusia też tego zapragnęły. Trzymając się za ręce, weszły na lód stawu i kilka metrów od brzegu próbowały ślizgać się. Wtem Marusia upadła, a Ania usiłowała ją podnieść i w tym momencie załamał się pod nimi kruchy już wiosenny lód. Dziewczynki pograżyły się w lodowatej wodzie, sięgającej im do piersi. Mimo przerażenia i szoku, stały jeszcze na nogach i rozpaczliwie wołały o ratunek. Także wszystkie obecne tam dzieci podniosły krzyk, ale żadne z nich nie podjęło akcji ratunkowej, bo to była pierwsza klasa. Na szczęście, słysząc ten krzyk, nadbiegł uczeń czwartej klasy, Witold (wołano go Wituś). Chłopak, ujrawszy co się stało, niezwłocznie ruszył dziewczynkom na ratunek. Podbiegł do nich, chwycił je za ręce i usiłował pomóc im wyjść na powierzchnię lodu, ale w tym momencie lód załamał się pod nim i znalazł się w wodzie wraz



z nimi. Dzielny chłopak nie stracił głowy. Stojąc w wodzie, kolejno unosił dziewczynki i gdy były na powierzchni lodu popychał każdą do brzegu, a tam inne dzieci podawały im ręce, chwytaly za odzież i wyciągały na brzeg. Jednak Wituś sam miał trudności, aby wyjść z wody. Gdy odbił się nogami od dna stawu i usiłował rękami i kolanem sięgnąć krawędzi lodu, kolano się ześliznęło i znów stał w wodzie. Na szczęście ze szkoły nadbiegł pan Robert, który usłyszał krzyk dzieci i wbiegł na lód, by ratować chłopca. Pod nim też załamał się lód, ale zdołał on chwycić Witusia za ręce i wyjść z nim na brzeg stawu. Pan Robert kazał Witusiowi biec do szkoły, sam zaś porwał w ramiona Anię i Marusię i ile mu sił starczyło, biegł z nimi do szkoły. Tam zdjął mokrą odzież z dziewczynek i owinął je własnym płaszczem, po czym zajął się chłopcem. W tym czasie pod szkołę zbiegło się dużo ludzi. Przybiegli też rodzice Ani i Marusi. Kazimierz pobiegł do domu po pierzynę, którą Martynka owinęła Anię i ponieśli ją do domu. Dzięki różnym kuracjom: nacieraniu, oklepywaniu i okładom dziecko nie rozchorowało się i ustąpił wstrząs psychiczny. Marusię też wykurowano.

W szkole i w całej wsi Wituś stał się bohaterem. Za sprawą pani Matyldy władze oświatowe uhonorowały go Dyplomem Bohaterskiego Ratownika. W celu publicznego wręczenia mu dyplomu w świetlicy szkolnej zebrali się wszyscy uczniowie i ich rodzice. Pani Matylda wygłaszała właśnie laudację związaną z dyplomem. Wituś, słysząc, że to wszystko jest o nim i dla niego, był bardzo skrępowany i w kulminacyjnym momencie, kiedy miał być poproszony na scenę w celu wręczenia mu dyplomu, uciekł i ukrył się w oborze wśród krów, które pasał, za co później oberwał od swego opiekuna. Chłopak ten był sierotą, ofiarą wojny. Jego ojciec, Jan Grabowski, zginął w czasie próby ucieczki od bolszewików, matka umarła na czarną ospę. Dziecko zostało przygarnięte przez mieszaną rodzinę: ojciec Polak, matka Ukrainka, która przeszła na katolicyzm. Małżeństwo to miało dwoje dzieci młodszych od Witusia, którymi on się opiekował, gdy rodzice wychodzili z domu do pracy w polu. Matka traktowała Witusia tak samo jak swoje rodzone dzieci. Chroniła go przed surowością swojego męża, który odnosił się do chłopca gorzej

niż do własnych dzieci. Chłopak to czuł i wiedział, gdzie jest jego miejsce w tym domu. Jedynie dzięki temu, że żona gospodarza lubiła go i zastępowała mu matkę, dziecko dobrze znosiło warunki życia przy tej rodzinie. Gdy Wituś podrósł, gospodarz zatrudniał go do pilnowania bydła na pastwisku. W roku szkolnym zobowiązany był posyłać chłopaka do szkoły, bo takie było polskie prawo, ale po lekcjach musiał Wituś pilnować krów na pastwisku i w takich polowych warunkach odrabiał też zadane lekcje. Mimo to był dobrym uczniem, a pani Matylda oceniała go jako dziecko bardzo zdolne. Szczególnie wyróżniał się Wituś w pracach ręcznych i w sprawności fizycznej podczas zajęć gimnastycznych i w trakcie gier sportowych. Kazimierzowie wdzięczni za uratowanie Ani, zastanawiali się, czy nie porozumieć się z opiekunami Witusia w sprawie adoptowania go jako ich syna, mieli bowiem tylko jedno dziecko – Anię. Sprawa ta wymagała też zgody samego Witusia. Na razie wstrzymywali się z tym pomysłem, obdarowując chłopca prezentami, takimi jak buciki i ubranka.

\*

Mijały lata. Ania skończyła czwartą klasę i rodzice myśleli o ulokowaniu jej w bursie w miasteczku Ludwipol, gdzie była szkoła siedmioklasowa. Na razie trwały jeszcze wakacje. Było więcej dzieci, które chciały kontynuować naukę, ale ich rodziców nie było stać na to albo woleli zatrudniać dziecko w gospodarstwie. Pełna inicjatywy i dobrej woli pani Matylda rozwiązała ten problem. Doszła do porozumienia z władzami oświatowymi, że dzieci w szkole brzezińskiej przerobią program klas: piątej, szóstej i siódmej. Po ukończeniu nauki w każdej z tych klas, poczynając od piątej, uczniowie indywidualnie musieli zdać egzamin przed komisją pedagogiczną celem uzyskania promocji do następnej klasy. Nauczycielami tego specjalnego kursu, który, prowadzony w języku polskim, miałby odbywać się w godzinach popołudniowych, byłoby miejscowi pedagodzy. Środki finansowe zapewniła Polska Macierz Szkolna. Jednak zanim załatwiono wszystkie formalności z tym związane, upłynęło powakacyjnych kilka miesięcy i kurs ruszył dopiero w następnym roku

szkolnym. Zatem uczniowie, którzy byli już zakwalifikowani do kontynuacji nauki, cały rok szkolny pauzowali, pozostając w domu i pomagając rodzicom w pracach gospodarskich.

\*

W tym czasie, a był to rok 1932, nagle wybuchły niepokoje społeczne. Jacyś nieznani sprawcy nocą napadali i rabowali urzędy pocztowe, które poza swoją główną funkcją – dostarczania przesyłek pocztowych, były też terenowymi bankami. Podpalali dwory, ale też wsie ukraińskie, najłatwiejsze do wzniesienia pożaru, jako że płonące kryte słomą budynki były nie do ugaszenia. Straszne to były noce. Ludzie, patrząc z lękiem na czerwone łuny, myśleli, że wracają demony pierwszej wojny światowej. Policja i organa śledcze zorientowały się, że to jest akcja sabotażowa, ale nie mogły ustalić, jakimi motywami kierują się sprawcy i kim oni są. Trudno było posądzać o to Ukraińców, skoro płonęły ich wioski. Jak się później okazało, było to pokłosie uchwał zjazdu nacjonalistów ukraińskich w Wiedniu w roku 1929. Akcja sabotażowa miała na celu ekonomiczne niszczenie państwa polskiego. Każdy budynek był ubezpieczony, a po jego spłonięciu państwo wypłacało asekurację. Poza tym katastrofa pożarowa i następująca po niej odbudowa na pewien okres wyłączały lub ograniczały prosperitę gospodarstw, a ciężka sytuacja materialna pogorzelców też wymagała finansowej pomocy państwa. W początkowej fazie swojej działalności sabotażyści wyrządzili wiele szkód. Sprzyjał im czynnik zaskoczenia. Władze i społeczeństwo nie były przygotowane do obrony i przeciwdziałania tym aktom. Ofiarami sabotaży padały wsie jeszcze niezreformowane, gęsto zabudowane i łatwopalne. Niezależnie od wzmożonej akcji państwowych sił bezpieczeństwa, również chłopci ukraińscy organizowali samoobronę. Były wypadki samosądów i zabójstwa schwytanych podpalaczy, dzięki czemu ta sabotażowa rebelia została z czasem wygaszona. Ze względu na pobliską granicę i silne posterunki oraz strażnice KOP (Korpusu Ochrony Pogranicza) Brzeziny i dwór nie były zagrożone atakiem sabotażystów. Znamienne było to, że wybuch rebelii nastąpił wkrótce po zamachu, w wyniku którego zginął polski

polityk Tadeusz Hołowko. Sprawców zamachu nie wykryto, ale ślady zbrodni prowadziły wprost do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, działającej wówczas w podziemiu.

Władze polskie w celu powstrzymania tej dywersji terrorystycznej wzmocniły posterunki policji, a KOP otrzymał uprawnienia do wsparcia wewnętrznych sił porządkowych. Był to sposób na tymczasowe uspokojenie rozruchów politycznych wśród etnicznych Ukraińców. Ogniska zapalne nadal się tliły, podtrzymywane przez agentów nasyłanych do Polski z hitlerowskich Niemiec, gdzie istniały nazistowskie ośrodki szkoleniowe, przygotowujące nacjonalistów ukraińskich do dywersyjnych działań w Polsce. W zamyśle Niemców nacjonaści ukraińscy mieli stanowić tak zwaną Piątą Kolumnę w wypadku wojny z Polską. Znamienne jest, że terenem działania prowokacji Niemców była Polska, a nie bolszewicka Rosja, gdzie zbiorowość ukraińska była po wielokroć większa niż w Polsce. Powód mógł być taki, że w planach Hitlera Rosja była partnerem w agresji na Polskę. Poza tym granica sowiecka była hermetyczna, nie docierali tam agenci ani propagandowa bibuła. Panował tam terror i sztucznie wywołany głód, który był powodem śmierci milionów ludzi, przede wszystkim ukraińskiej i polskiej ludności wiejskiej. Nikt z żyjących tam Ukraińców nie marzył o niepodległości, ale raczej o kawałku chleba, którego zdobycie było warunkiem przeżycia rodzin. Natomiast w Polsce Ukraińcy korzystali z praw obywatelskich na równi z Polakami. Brali czynny udział w życiu politycznym. Posiadali dwie legalnie działające partie polityczne. W parlamencie mieli swoich posłów i senatorów. W osiedlach, w których stanowili większość, nauka w szkole odbywała się w języku ukraińskim. Przejęte po rozbiorach ubogie wsie ukraińskie władze polskie reformowały, prowadząc komasację, czyli scalanie gruntów poszczególnych gospodarstw, a przy tym likwidowały gospodarstwa karłowate, dodając im ziemi ze Skarbu Państwa. Grunty podmokłe były na koszt państwa meliorowane. Poprawiano stan infrastruktury, budując mosty i drogi publiczne. Budowano szkoły i wprowadzono obowiązek nauki do ukończenia klasy czwartej szkoły powszechnej. Ukraińcy w Polsce mieli pełną wolność religijną i wiele innych koncesji

politycznych. Nie mieli jednak suwerenności narodowej, byli obywatelami niepodległej Polski. Własnej państwowości nie mieli nigdzie i nigdy. Pojawiły się w pewnym momencie perspektywy autonomii ukraińskiej w jedności z Polską, ale zaprzepaściły to incydenty polityczne i terrorystyczne, prowadzone przez nacjonalistów ukraińskich przeciw Polsce. Mimo to prawo polskie pozwalało na piastowanie obowiązków od wojewody do sołtysa przez obywateli polskich pochodzenia ukraińskiego. I tu warto wspomnieć o przypadkach nadzoru nad policją przez starostę czy wójta pochodzenia ukraińskiego.

Reasumując, można stwierdzić, że ten posiew nienawiści i rozruchów antypolskich szerzył się zwłaszcza wśród Ukraińców z miast. Wiejski lud ukraiński w większości nie miał aspiracji wybicia się na niepodległość. On raczej łaknął więcej ziemi i swobody korzystania z dóbr otaczającej go przyrody. To prawda, że nie utożsamiał się z Polakami. Kulturowo bliżsi byli im Rosjanie ze względu na religię, ale też siłę władzy. Od zawsze car był ich idolem, imponując im swoim możnowładztwem.

A jak kształtowało się współżycie tych dwóch grup etnicznych: polskiej i ukraińskiej w okresie międzywojennym? Względy polityczne nie były jedynym czynnikiem warunkującym tę koegzystencję. Istniały jeszcze inne czynniki, które je zbliżały i łączyły, a więc bliskość kulturowa: chrześcijaństwo, pochodzenie słowiańskie, obyczajowość, urok folkloru czy wreszcie wspólna matka-ziemia, która ich żywiła i swoim niezwykłym pięknem formowała charaktery, rozwijając cechy liryczne i prostoduszne. Właśnie ta ostatnia cecha wśród ludu ukraińskiego znamionowała jego łatwowierność, wykorzystaną przez agentów nacjonalistycznych do rozbudzania nienawiści do innych narodów, a przede wszystkim do Polaków. Wstrząsającym potwierdzeniem działania terrorystów ukraińskich był zamach na polskiego ministra, Bronisława Pierackiego, który w dniu 15 czerwca 1934 roku stracił w nim życie.

\*

Pod wpływem perswazji pani Matyldy opiekun Witusia zgodził się, aby chłopak powrócił do nauki i uczestniczył we wcześniej wspomnia-



nym kursie. Już od kilku lat, po ukończeniu obowiązkowych czterech klas, Wituś pracował w gospodarstwie, a głównie pasał bydło i opiekował się końmi. Miał już 14 lat. Bydło pasał nad brzegami Śluczy, gdzie obficie rosła wiklina. Wituś wycinał tę wiklinę i sprzedawał miejscowemu producentowi koszy i półkoszków do wozów. Gdy dowiedział się o tym jego opiekun, zażądał, by chłopak oddawał mu zarobione pieniądze. I Wituś oddawał, a że nie potrafił kłamać, oddawał mu każdy zarobiony grosz. Temu chłopcu wystarczyła przyjemność pożytecznej pracy. Przyglądając się pracy wytwórcy koszyków, sam spróbował tej sztuki. Wkrótce samodzielnie wykonał dwa półkoszki (komplet do jednego wozu) i to pierwsze swoje dzieło zaniósł i podarował Kazimierzowi – ojcu Ani. Gdy ten chciał mu zapłacić, chłopak nie przyjął pieniędzy, mówiąc, że przecież od rodziców Ani otrzymał już dużo prezentów, a te pieniądze, które by przyjął od nich i tak musiałby oddać tatkowi – bo tak nazywał swojego opiekuna.

Na kurs popołudniowy zgłosiły się dzieci polskie, które licznie przeważały, ale było też dwóch uczniów pochodzenia żydowskiego i kilku ukraińskiego. Wśród tych ukraińskich był pastuch – kolega Witka o imieniu Iwan Kłym, ale wszyscy we wsi mówili mu „Iwanko”. Chłopcy codziennie spotykali się na pastwiskach, jednak Iwanka nie interesowała wiklina, on był specjalistą od robienia fujarek, na których wygrywał różne melodie. Jak wszyscy Ukraińcy, Iwanko miał duszę liryczną i często śpiewał ukraińskie rzewne pieśni. Był półsierotą. Jego ojciec, Stepan Kłym, w 1920 roku wzięty na podwodę przez bolszewików idących na Warszawę, zginął w czasie walk. Iwanko wychowywany był przez matkę Ukrainkę. Mieli własną chatę, ale żyli ubogo.

\*

Nadszedł rok 1935. Wśród ludności polskiej z troską powtarzano wieści, że choruje nasz niezwykle popularny i kochany Komendant Józef Piłsudski – twórca Legionów i POW (Polskiej Organizacji Wojskowej), główny kreator naszej niepodległości, pogromca bolszewików pod Warszawą i nad Niemnem. Modlono się o jego zdrowie. Niestety, w dniu



12 maja 1935 roku serce tego wielkiego Polaka przestało bić. Naród polski pogrążył się w głębokiej żałobie. Wielu ludzi płakało. Szczególna żałoba ogarnęła wojsko polskie, dla którego zmarły Marszałek był genialnym wodzem i wzorem patriotycznego i bezinteresownego oddania się ojczyźnie. Na budynkach wojska w Sarnach zawieszono sztandary przepasane kirem. Podobnie na magistracie i na wszystkich szkołach. Wielu ludzi jako znak żałoby w klapach swojej odzieży miało przewiązane czarne wstążki. W Brzezinach tak przepasane sztandary wywieszono na budynku szkolnym, budynku sołtysa i na wysokim maszcie strażnicy KOP. Także na głównym budynku dworu powiewała ta smutna flaga. Dzwony kościelne wzywały wiernych na msze żałobne za śp. Marszałka. Dzieci szkolne śpiewały skomponowaną na tę okoliczność pieśń:

*To nieprawda, że Ciebie już nie ma.  
To nieprawda, że jesteś już w grobie.  
Płacze dziś za Tobą cała polska ziemia,  
cała polska ziemia w żałobie...*

Pani Matylda posiadała radio głośnikowe, które przeniosła do świetlicy, gdzie przychodzili rodzice z dziećmi i słuchali przebiegu uroczystości pogrzebowych. Zwłoki Komendanta przy potężnych dźwiękach Dzwonu Zygmunta złożono w krypcie na Wawelu. Wedle życzenia zmarłego jego serce przewieziono na cmentarz na Rosie w Wilnie, gdzie spoczęło obok szczątków jego matki.

\*

W tym czasie w rodzinie Różańskich odbyło się wesele. Brat Martyny, Roman, zawodowy podoficer jednostki wojskowej w Sarnach, zenił się z panną Stefanią, mieszkanką Sarn. Ślub odbył się w sarneńskim kościele, a wesele w domu rodziców panny młodej w Sarnach. Na wesele udali się rodzice Romana i siostra Martyna z mężem Kazimierzem. Młodzi małżonkowie otrzymali mieszkanie od jednostki wojskowej. Stefania miała też etat w wojsku jako kwalifikowana sanitariuszka, Tak więc materialnie sytuowani byli bardzo dobrze.

Kurs przy szkole w Brzezinach zakończył się po przerobieniu programu dla klasy siódmej. Egzamin przed komisją złożoną z nauczycieli z innych szkół i pod nadzorem władz oświatowych odbył się przed wakacjami roku 1937. Wszyscy kursanci pozytywnie zdali egzamin i otrzymali świadectwa ukończenia klasy siódmej szkoły powszechnej. Prymuską kursu została Anna Lipińska – ku radości i dumie rodziców, Martynki i Kazimierza. Na tym skończyła się edukacja tych dzieci. Szkoły zawodowe i średnie były w Sarnach i Łunińcu, a to wymagało opłacenia bursy i wyżywienia. Wielu rodziców było na to stać, ale nie czuli potrzeby dalszego kształcenia swoich dzieci, zwłaszcza tak daleko od domu. Poza tym w gospodarstwach potrzebowano rąk do pracy.

Trzeba przyznać, że ukończenie siedmiu klas szkoły powszechnej jak na owe czasy i głęboką prowincję, to było dużo. Absolwenci takiej szkoły mieli już szerszą wiedzę i spojrzenie na świat. Przede wszystkim lepiej poznali język polski w piśmie i mowie, unikając typowych słów gwarowych. Pozostał im tylko śpiewny kresowy akcent, ale to dodawało tej mowie swoistego uroku.

Ania miała już 15 lat. Była to dziewczyna wysoka, o zgrabnej, kobiecej już sylwetce ciała. Gruby warkocz ciemnych włosów spadał jej na strzeliste plecy. Smagłą karnację owalnej twarzy i wysokiego czoła zdobiły pięknie zarysowane ciemne brwi i błękitne oczy w oprawie również ciemnych rzęs. Z usposobienia była łagodna i wesoła. Jej pięknie wykrojone usta często się uśmiechały, ukazując rzędy białych zębów. Chłopcy zerkali na nią z zachwytem. Wśród nich był Iwanko, chyba najbardziej zauroczony jej urodą. Swoim kolegom zwierzał się ze swego uczucia, ale jednocześnie dodawał, że boleje nad tym, iż Ania nie jest Ukrainką.

Urok Ani bardzo poważnie wpłynął na wrażliwą osobowość Witka, ale on nikomu nie zwierzał się ze swojego afektu i tylko jego myśli i sny wypełniała ona. Miał już 18 lat. Był przystojnym chłopcem, bardzo pracowitym i zdolnym, o szerokim, poważnym spojrzeniu na życie, a przy był niezwykle skromnym. Swoje uczucie do Ani traktował jako pierwszą w jego życiu, wielką i zarazem beznadziejną miłość. Ta beznadziejność polegała na tym,

że nie miał nadziei na wzajemność z jej strony, bo gdzie ubogiemu sierocie marzyć o dziewczynie, jedynaczce z zamożnego domu.

Ania zauważała te ogniste spojrzenia kierowane w jej kierunku przez chłopców. Zaspokajało to jej próżność dziewczęcą, ale w swoich myślach nie wyróżniała żadnego z nich i tylko denerwowało ją, że (jej zdaniem) nie jest zauważana przez Witka.

Przyszły wakacje. Pani Matylda sporządzała listę następnych kandydatów nadobowiązkowej nauki w ramach następnego kursu, a dla większych dzieci był to okres, kiedy nie musiały chodzić do szkoły ani odraabiać zadanych prac domowych. Nie był to jednak czas wolny od pracy: walka z chwastami atakującymi ziemniaki i warzywa, sianokosy i po nich żniwa. Do wszystkich tych prac w pewnej mierze wykorzystywano dzieci. Powierzano im też opiekę nad młodszym rodzeństwem w czasie, gdy rodzice pracowali w polu.

Niedziele i dni świąteczne były czasem wytchnienia dla utrudzonych ludzi. Tylko niektórzy decydowali się na kilkunastokilometrową jazdę do kościoła. Jednak polski lud kresowy był bardzo pobożny. W Brzezinach, podobnie jak we wszystkich koloniach i osiedlach polskich w majowe wieczory przy krzyżu (zwanym Figurą) odbywały się nabożeństwa ku czci Matki Bożej.

Właśnie w taką czerwcową niedzielę po obiedzie odwiedziła Anię jej koleżanka Marusia, a że była piękna słoneczna pogoda, postanowiły pójść w plener i zażyć spaceru. Szły przed siebie bez żadnego celu. Przed nimi szeroko rozpościerały się zielone łąki i falujące w lekkim wietrze zboża. W dalszej perspektywie widziały dobrze im znany las, a przed nim pastwisko z pasącymi się krowami i końmi. Dziewczyny szły w tym kierunku, a właściwie rozbawione biegly, trzymając się za ręce. Lekkie, zwiewne, kolorowe sukienki fruwały na wietrze, a warkocze włosów miały się na plecach. Mknąc przez kwiecistą łąkę, przypominały dwa barwne motyle igrające w słońcu. W tym swawolnym biegu minęły pastwisko i zmęczone dotarły już do lasu. Cień i delikatny chłód wilgoci lasu były kojące i rozkoszne. Przerwały bieg i głęboko oddychając rześkim, kryształowo czystym powietrzem, zanurzyły się w głąb tego zielonego organi-

zmu, który pozornie wydawał się cichy, ale wypełniał go świergot i śpiew niezliczonej ilości ukrytego w tym morzu zieleni ptactwa. Las, mieniący się spokojną barwą różnych odcieni zieleni, w zestawieniu z chórem ptasim tworzył niezwykłą, naturalną harmonię, która człowieka uspokaja, a często prowadzi do kontemplacji. Odczuły to nasze dziewczyny, które w tych warunkach nawiedziło uczucie błogości. Idąc powoli, opuszczały mrok gęstego liściastego lasu, który stopniowo przechodził i łączył się z borem sosnowym. Było coraz więcej drzew iglastych, coraz więcej słońca wyzierającego spośród wysoko na tle nieba kołyszących się w wietrze iglastych koron. U stóp tych wysokich sosen ścieliły się jagodniki, paprocie, kobierce mchów lub fioletowych wrzosów. Tu było zagłębienie czarnych jagód, a jesienią grzybów, tu Ania nieraz przychodziła z rodzicami na zbieranie runa leśnego. W głębi tego lasu były jeszcze inne urocze ustroina: moczary, w poranki mgliste tajemne, a w ciągu dnia tętniące życiem dzikiego ptactwa wodnego. W czasie upalnych dni można było spotkać i wypłoszyć dziki, które zanurzone w błotach szukały tu ochłody. Były też przesycone wodą torfowiska, gdzie żerowały czarne bociany w poszukiwaniu piskorzy, które były ich przysmakiem. Piskorz, zwany też wjunem, jest słodkowodną rybą podobną do węgorza. Jego naturalnym środowiskiem są błota, szczególnie torfowe. Jest smaczną rybą, po upieczeniu chętnie spożywaną przez ludzi.

Przedzierając się przez moczary pełne krzaków, błot i puszystych mchów, na których jesienią ścielą się czerwone żurawiny jak rozsypane paciorki koralu, wyszły na teren suchy, wyżej położony, bezleśny, silnie nasłoneczniony. Była to polana, gdzie rosły tylko leszczyny, jesienią pełne orzechów. Teraz powietrze tu było przesycone zapachem poziomek, które obficie czerwieniły się wśród ziół i traw. Dziewczynki kucnęły i raczyły się tymi przepysznymi jagodami. Nagle z zieleni leszczyn wynurzył się Iwanko. Pierwsza zauważyła go Marusia, która niezwykle pokraśniała i zawołała:

– *Hej, Iwanko! Zwitky ty tut znajszowsia?* (Hej, Iwanko, skąd się tu wziąłeś?)

Ale on odpowiedział po polsku:

– Ja przyniósł wam koszyczki na poziomki. – I pokazał, unosząc w górę, trzy wiklinowe koszyczki.

Chłopak widział dziewczyny, gdy przebiegały przez pastwisko, kierując się do lasu. Domyślając się, że idą na jagody, wziął od Witolda trzy koszyki i ruszył za nimi. Idąc w trop za nimi, trafił na polanę. Obiektem jego zainteresowania nie była Marusia, chociaż ta łudziła się, że to za nią on podąża. On kochał Anię i ją pragnął widzieć. Ania już wcześniej zauważyła, że Iwanko patrzy na nią inaczej, traktuje wyjątkowo. Dziewczyna nie oczekiwała i nie pragnęła adoracji ze strony tego chłopca. Nie gardziła nim, ale wołała, aby Iwanko traktował ją jak inne swoje koleżanki. Z tego powodu nigdy nie dawała mu swoim zachowaniem żadnej nadziei. Iwanko już się zorientował, że nie ma szans na jakąś specjalną sympatię ze strony Ani, ale miłość to uczucie zniewalające, nawet ta beznadziejna, jeśli jest prawdziwa, może zagnieździć się w sercu na zawsze. Wyglądało na to, że Iwanko znalazł się w arkanach takiego uczucia bez wyjścia.

Chłopak podszedł do Ani, pozdrowił ją po polsku i dając jej koszyczek, powiedział:

– To na poziomki.

– Dziękuję, Iwanku! – usłyszał odpowiedź.

Drugi koszyczek dał Marusi, a trzeci zachował dla siebie. Rozpoczęło się pracowite zbieranie. Ukraińcy mają duszę liryczną, która w odpowiednich warunkach ujawnia się. Tu, na cichej polanie otoczonej lasem, przesyconej aromatem poziomek i różnych ziół, ta liryczna natura wyzwoiliła się w śpiewie. Pierwsza Marusia zaczęła nucić jakąś ukraińską dumkę. Przyłączył się do niej Iwanko i oboje śpiewali coraz głośniej na głosy. Ania też miała chęć przyłączyć się do nich, ale urzeczona ich śpiewem zdecydowała się słuchać. Piękny duet łączył się z chórem leśnego ptactwa, tworząc osobliwą, niepowtarzalną symfonię. Gdy zamilkli i wrócili do zbierania poziomek, Ania ciągle jeszcze miała w uszach ten piękny koncert, który w jej odczuciu był najpiękniejszym akcentem tego dnia.

Na słonecznych polanach gnieźdzą się węże i jaszczurki. Są one płochliwe i nie atakują ludzi. Tylko żmija, gdy niezauważona zostanie nadeptnięta, a nawet tylko dotknięta przez człowieka, może ukąsić. Jej jad jest

niebezpieczny i może zagrażać życiu człowieka, jeżeli nie podejmiemy odpowiednich zabiegów. Właśnie Ania, zbierając poziomki, w pewnym momencie krzyknęła i cofnęła się przestraszona. Błyskawicznie znalazł się przy niej Iwanko i spytał:

– Co się stało?!

Ania pokazała mu zwiniętą w kłębek kawową żmiję, która na kamieniu wygrzewała się na słońcu. Iwanko chwycił kawałek kija i chciał zabić gadzinę. Gdy miał już uniesiony kij, Ania zawołała:

– Nie zabijaj!

Kij natychmiast wypadł z ręki chłopca, który spojrzał pytająco na dziewczynę.

– Pamiętasz, jak na lekcji przyrody pani nam mówiła, że należy szanować las i wszystko, co z nim związane, nawet trujące muchomory i inne grzyby. A ta żmija też spełnia jakąś pożyteczną funkcję – powiedziała Ania.

Chłopak wzruszył ramionami i już do końca pozostał przy niej, baczając, czy nie grozi jej jakieś niebezpieczeństwo.

Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy z koszykami pełnymi poziomek Marusia i Iwanko odprowadzili Anię do domu, ku zadowoleniu jej rodziców, którzy już byli zaniepokojeni długą nieobecnością córki. Przy pożegnaniu Iwanko oddał rodzicom Ani zbierane przez siebie poziomki.

Gdy odeszli, Marusia spytała Iwanka:

– *Czemu ty oddaś wsi swoi sunyci?... (Czemu oddałeś wszystkie poziomki?)*

Iwanko milczał, ale po chwili spojrzał na dziewczynę i powiedział:

– *Marusienka, ty toż Ukraina jak i ja, ty dołżna znaty, szczo idem po ukrajinskij zemli, byli my w naszym ukrainskom lesu i zbyrały toż naszji ukrajinski sunyci. Ja chotiw whostyty jich, znaczysia Lachow, naszji sunyciamy. Ce mij, ukrajinskyj dla nich podarunok.* (Marusienko, też jesteś Ukrainką i powinnaś wiedzieć, że idziemy po naszej ukraińskiej ziemi, byliśmy w naszym ukraińskim lesie i też zbieraliśmy nasze ukraińskie poziomki. Chciałem poczęstować Polaków poziomkami. To mój ukraiński podarunek dla nich.)



Dziewczyna, patrząc na niego ze zdziwieniem, spytała:

– *Iwanku, ja ne rozumiju, toż cjoho lesa ta cych sunyc my ne sijały, wony samy wyrosły dla nas, ta dla wsich ludej, toże dla Lachow, bo Lach toże ludyna.* (Nie rozumiem, Iwanku. Przecież tego lasu i tych poziomek nie sialiśmy, same wyrosły dla nas, dla wszystkich ludzi, również dla Polaków, bo Polak to też człowiek.)

– *Oj, Marusien'ka, ty szcze niczoho ne rozumijesz. Ludy, ce naszzy* – *Ukrajinci i tilky dla nich cia zemla. Ja wstriezczaju mudrych, czestnych Ukraincew iz Organizacji Ukrainskich Nacjonalistow. Oni buwajut' tut i obieszczajut, szczo skoro pryjde czas, koły wsich Lachow wyżenut', ta cia zemla tilky nasza bude.* (Ej, Marusia, ty jeszcze nic nie rozumiesz. Ludzie to tylko nasi – Ukraińcy i tylko dla nich jest ta ziemia. Spotykam się z mądrymi, uczciwymi Ukraińcami w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Oni przychodzą tu i obiecują, że niebawem nadejdzie czas, kiedy wyrzucimy stąd wszystkich Polaków i ta ziemia będzie tylko nasza.)

Dziewczyna słuchała go z wyrazem naiwnego podziwu dla jego wiedzy, ale też z poczuciem lęku i dezaprobaty myślała, w jaki sposób można wypędzić stąd Polaków żyjących tu od wieków. W oczach jej stanęli Ania z rodzicami, także Witek – kolega Iwanka. W tej rozterce myślowej spytała Iwanka:

– *A szczo bude z Anieju ta jiji bat'kamy?* (A co będzie z Anią i jej rodzicami?)

Usłyszawszy to, chłopak gwałtownie spuścił głowę i milczenie było jego odpowiedzią... Gdyby w tym momencie uważnie spojrzeć na jego twarz, dostrzegłoby się grymas bólu, a w oczach smutek graniczący z obłędem.

Iwanko kochał Anię. To jego uczucie do niej miało charakter dzikiego żywiołu, tak jak środowisko, w którym żył i wzrastał. Było to uczucie jak wszechobecna, piękna, ale dzika natura, gdzie instynkt przejmuje rolę świadomości i rozumu, gdzie niepodzielnie rządzą jego dzikie prawa. W wypadku, gdy młody człowiek nie ma swego przewodnika duchowego, który wskazuje mu drogę odpowiedzialności obowiązującej istoty rozumnej, to taki człowiek może się zagubić i w odpowiednich warunkach

przekształcić się w potwora, który nie odróżnia dobra od zła. Łatwo jest wtedy uformować jego osobowość w kierunku fanatycznego wyznawania obłądnych ideologii. Tak i nasz Iwanko z siłą dzikiego żywiołu uległ „urokowi” ideologii ukraińskiego nacjonalizmu. Te dwie pasje: miłość do polskiej dziewczyny i fanatyzm ideologiczny, chociaż wykluczały się wzajemnie, zawładnęły nim w równym stopniu.

Marusię Iwanko postrzegał zupełnie inaczej, wyczuwał wyraźne afekt, jaki ta dziewczyna żywi do niego. Lubił, gdy towarzyszyła mu, podziwiał jej urodę i czuł wzajemną bliskość z racji pochodzenia. Jednak nie był zdolny do nawiązania z nią romansu z tego powodu, że na trwałe został raniony strzałą Amora, pochodzącą od Ani, która nawet o tym nie wiedziała i tego nie pragnęła. Dla niej był jednym z jej kolegów. Natomiast interesującą, a nawet intrygującą postacią był tajemniczy Witek, ale ten, jak sądziła, nawet na nią nie spojrzał.

Iwanko wrócił na pastwisko do Witka, który w czasie jego nieobecności pilnował jego stada. Był to już czas na spędzanie bydła do obór, bo zbliżał się wieczór.

Wiedział Witold, z jakich to powodów Iwanka poniosło do lasu, oj, wiedział... Sam by to zrobił, gdyby nie panował nad swoją naturą i nie ukrywał miłości do Ani. Siłąc się na stoicki spokój, zapytał nadchodzącego Iwanka:

– *Nu, skaży meni, Iwanku, czy wdalsia tobi zustricz z diwczatamy, a osoblywo z Anieju.* (Powiedź, Iwanku, jak udało ci się spotkanie z dziewczętami, a szczególnie z Anią.)

– *Oj, Witku, łuczsze ne pytaj. Ce buło szczaste i tuha. Ona nikoly mene ne polubyt'. Taka moja dola.* (Oj, Witku, lepiej nie pytaj! To było szczęście i ból. Ona mnie nigdy nie pokocha. Taki już mój los.)

Obaj chłopcy stali naprzeciw siebie, byli osiemnastoletnimi urodziwymi młodzieńcami, przy czym ich uroda bardzo się różniła, szczególnie w wyrazie twarzy. Iwanko miał bujną, ciemną czuprynę spadającą mu na czoło. Wąskie, ciemne brwi zarysowane nad skośnie osadzonymi oczyma, nadającymi twarzy cechy mongolskie, gdyby nie orli nos, który temu przeczył. Z długą szyją wychodzącą z szerokich

ramion, z wyraźnie zarysowanym jabłkiem Adama przy wąskiej wydłużonej twarzy, lekko rozwartych ustach ukazujących rzędy białych zębów i niespokojnych błyskach piwnych oczu przypominał drapieżnego jastrzębia. Kompozycja tych cech tworzyła obraz oryginalnej męskiej urody, mającej swój urok, ale też budziła nieufny respekt i lęk. Taki był Iwanko.

Natomiast Witek był mu podobny tylko wzrostem i silną budową ciała, ale osobowość miał zgoła odmienną. Iwanko był żywy, spontaniczny i wylewny, Witek spokojny, zrównoważony i zamknięty w sobie. Iwanko skłonny do zabaw i śpiewu, unikał wypełniania wolnego czasu jakąś pożyteczną pracą, Witek zaś z pasją oddawał się wikliniarstwu i tworzył coraz piękniejsze wyroby z tego materiału. Te różnice w usposobieniu wyrażały ich twarze. Witek miał kędzierzawe, ciemnoblond włosy, jasną karnację owalnej twarzy i duże, niebieskie, mądrze patrzące oczy, w których malował się spokój i melancholia. Jeżeli dodać do tego, że jeden był Polakiem, a drugi Ukraińcem, to godne podziwu jest partnerstwo i przyjaźń między nimi.

Ostatnio jednak Witek zauważył pewne oznaki awersji Iwanka do Polaków. Nie wyczuwał zmiany jego stosunku do własnej osoby, ale słyszał od niego, że nie lubi KOP-u i policji polskiej, dlatego że w ich szeregach nie ma Ukraińców. Usłyszał też, że Polacy korzystają z łaski ich – Ukraińców, że żyją na tej pięknej, bogatej ukraińskiej ziemi, ale tak nadal nie może być, Polacy muszą opuścić te ziemie. Witold, jak zawsze powściągliwy w swoich wypowiedziach, ze spokojem wysłuchał credo swojego ukraińskiego kolegi i dopiero po chwili zapytał go, co będzie z tymi Polakami we wschodniej Ukrainie, jeżeli ktoś z nich przeżyje terror bolszewicki, bo razem z milionami Ukraińców umierają na skutek sztucznie wywołanego głodu lub w egzekucjach.

– *Ce brechnia pysana w polskich hazetach* (To łgarstwo pisane w polskich gazetach) – odpowiedział Iwanko.

Odtąd Witold unikał takich dyskusji z nim. Żyjąc wśród Ukraińców wiedział, że nie utożsamiają się z Polakami, ale nie odczuwał wrogości z ich strony, a nawet często doświadczał wzajemnej przyjaźni. Wyobrażał

sobie, że ten wylew wrogości do Polaków u Iwanka był reakcją na jego refleksję, że Ania go nie pokocha, a on nigdy nie uwolni się z pęt tej miłości.

\*

Pod egidą jednostki wojskowej w Sarnach od kilku już lat działał w Brzezinach Związek Strzelecki. Jego komendantem był weteran i inwalida wojenny Władysław Lipiński. Oddział ten liczył kilkunastu członków – polskich chłopaków. Wyposażony w kilka karabinów bez ostrej amunicji, dawał możliwość zapoznania się z ich budową i konserwacją. Były tam też granaty bez ładunków wybuchowych i maski przeciwgazowe. Co jakiś czas przyjeżdżał z Sarn podoficer, przywoził z sobą ostrą amunicję i ćwiczył z chłopakami ze Związku ostre strzelanie. Władysław wciągnął do związku swego brata Kazimierza, który w wojsku nie służył, w przeciwieństwie do wszystkich młodszych od niego strzelców, ale jako starszy i bardziej doświadczony, zimową porą został powołany na dwutygodniowy kurs do jednostki wojskowej w Sarnach, gdzie uczono użycia broni w walce. Po kursie został komendantem oddziału „Strzelec” w Brzezinach, a jego brat Władysław był tylko jego doradcą.

Witold też wstąpił do tej organizacji i od tego czasu pogorszyły się jego koleżeńskie stosunki z Iwankiem, który przestał mówić do niego po polsku.

– *Cej wasz Strzelec. Ce organizacija dopomiżna policiji.* (Ten wasz Strzelec to organizacja wspierająca policję.)

– Nie – odpowiedział po polsku Witold. – To poznawanie konstrukcji broni oraz nauka jej konserwacji i użycia. Jesteśmy pod nadzorem Wojska Polskiego.. Nie mam nic przeciwko policji, ale jej nie podlegamy.

\*

Przyszedł późniwny wrzesień. Mężczyźni wywozili obornik na pola i wykonywali jesienne podorywki. Bocianów już nie było, ale po wsi klekotały międlice, na których kobiety międliły wymłócone z ziarna i wysuszone łodygi lnu. Ten proces (międlenie) polegał na wykruszaniu

twardej substancji łądyg aż pozostawały po nich tylko długie, złocistego koloru włókna, które czesano drewnianymi grzebieniami, zamocowanymi w pobliżu mędlicy. Po wyczesaniu resztek twardej substancji otrzymywano pełną garść złocistej przędzy, podobnej do dorodnych blond włosów u młodej dziewczyny. Taki pęk przędzy lekko skręcony wiązano w jeden węzeł i wieszano pod strzechą chaty, gdzie rozwieszone rzędem wiązki wygrzewały się w słońcu, tracąc resztki wilgoci. Były to już gotowe kądziele do przędzenia. Wieczorami, przy świetle lamp naftowych, prąśniczki przędły, a po wykopkach kartofli prace nabierały intensywności, jedne przędły, a inne tkwały uprzedzone nici na warsztatach, tak zwanych krosnach. Powstawały długie pasy płótna, które moczoło w stawie lub zatokach Śluczy, a następnie wyciągano z wody i suszono. Tu i ówdzie widziało się rozciągnięte na trawie pasy płótna, schnące w słońcu, które je wybielało. Taki proces – moczenia i suszenia w słońcu – powtarzano kilkakrotnie. Im więcej było takich powtórek, tym płótno było bielsze.

Inaczej postępowano z konopiami. Po wymłóceniu ziarna łądygi zanurzano w wodzie na mniej więcej trzy tygodnie. W tym czasie twardziel łądyg ulegała zgniciu, przetrwały tylko włókna. Po wysuszeniu międlono jak len. Przędza konopna dawała bardzo wytrzymałe na obciążenie nici, z których tkano płótno na worki lub skręcano liny i postronki.

\*

Nastał okres porostu grzybów w lesie. Mieszkańcy Brzeziny codziennie rano udawali się z koszami na grzybobranie. Zbierano przede wszystkim prawdziwki, mówiono też: borowiki. Przechowywano je głównie w postaci suszu. Pokrojone suszono w słońcu, ale głównie na piecach lub w piecach chlebowych. Wtedy powietrze w domu było prze-sycone zapachem grzybów. Drugim sposobem było przechowywanie ich w beczce dębowej, gdzie grzyby zalewało się odpowiednio przyprawioną słoną zalewą. Te używano do zup grzybowych. No i wreszcie marynowano. Były w sprzedaży szklane słoiki z przykrywkami i gumką uszczelniającą. Małe borowiki lub lisiczki (żółte kurki) czy opieńki ładowano do słoików, zalewano specjalną mieszanką słonej wody, octu, pieprzu an-

gielskiego i liści laurowych z dodatkiem czosnku i chrzanu, nakrywano przykrywką z uszczelniającą gumką, zaciskano specjalną sprężyną i pasteryzowano.

W okresie jesiennym gromadzono też w drewnutniach drewno opałowe, ocieplano i uszczelniano domy, obory i stajnie. To było zadanie dla mężczyzn.

\*

Kończył się czas wypasu bydła na łąkach. Witek i Iwanko, chociaż do siebie uprzedzeni, nie dążyli do dalszych konfrontacji i normalnie współpracowali. Witek nie narzekał na brak zajęcia. Uprawiał swoje wikliniarstwo. Ale Iwanko szukał zarobkowego zajęcia. Potrzebował pieniędzy na buty i odzież zimową. Spryciarz. Dowiedział się, że Kazimierz Lipiński poszukuje ludzi do młócenia zboża. O, bardzo pragnął podjąć tę pracę. Może będzie okazja zobaczyć Anię. Do takiej pracy potrzeba dwóch mężczyzn. Iwanko namówił na nią Witka. Nie potrzebował wiele go przekonywać, że warto pracować pod dachem w deszczowe i chłodne dni, niż w szopie bez ścian trudnić się wikliniarstwem. O dziwo, Witek od razu przyjął tę propozycję. Iwanko nie wiedział, że powód jest ten sam co i u niego – zobaczyć Anię.

Gdy zgłosili się do tej pracy, Kazimierz zaprowadził ich do stodoły, gdzie po jednej stronie klepiska leżały spiętrzone po sam dach snopy pszenicy, a po drugiej żyta. W innym pomieszczeniu był jeszcze owies i jęczmień.

– Popatrzcie się, chłopcy, ile tego je. Trza to wymłócić, ziarno odwiać i wsypać do skrzyniów, a słome powiązać i złożyć tam, gdzie ona leżała nie młócona. Wszystkie pliwy też dać do worków. Ot, widzieli i słyszeli wy, co ja chce, że było zrobione. Tera wy rozbierzcie sobie, ile to roboty i powiecie mnie, ile za to chcecie. Potargujemy się i jak dujdziemy do ładu, zaczniecie robote. Dwa cepy dla was ja naszykował, worki też jest, a w magazynku stojo skrzyni.

Kazimierz odszedł, a oni naradzali się, ile gospodarzowi powiedzieć za tę robotę. Po zwyczajowym targu gospodarz powiedział:



– Nu, tu chaj tak będzie. – Podając im rękę, dodał: – Mohorycz będzie, jak robote skonczycie.

Odtąd od rana do wieczora ze stodoły dochodziły głucho uderzenia cepów. Chłopcy zaczęli od pszenicy. Chociaż nie było takiej umowy, codziennie dostawali obiad, a przy porannym udoju po kubku świeżego mleka. Czasami przynosiła im ten posiłek Martynka, ale najczęściej Ania. Gdy przychodziła Ania, chłopców elektryzowało. Iwanko wlepiął w nią oczy i cały był w transie, co krępowało i denerwowało dziewczynę. Natomiast Witek stał i nieśmiało, z ukosa zerkał na nią, przeżywając jej widok na swój sposób. Dziewczyna odchodziła z poczuciem obojętności na zalotne spojrzenia Iwanka, ale z żalem, a nawet złością na rzekomą obojętność Witolda. Pewnego dnia Iwanko nie przyszedł do pracy. Gdy Ania przyniosła obiad, zapytała, co się stało, że Iwanka nie ma w pracy.

– Nie wiem – odpowiedział Witek.

– Jedz – powiedziała dziewczyna, siadając na snopku naprzeciw chłopca. – A ja poczekam i zabiorę naczynie.

On też usiadł na innym snopku i zaczął jeść, ale z trudem strawa przechodziła mu przez gardło. Jego ręce i całe ciało drżało z wrażenia, twarz płonęła. Przestał jeść i patrzył w talerz. Dziewczyna to zauważyła. Przyczyny nie знаła, ale pomyślała, że Witek nie życzy sobie jej obecności. Zamierzała odejść, jednak zdecydowała się zadać chłopcu jedno pytanie:

– Witku, powiedz mi, dlaczego mnie nie lubisz?

Chłopak wstał na całą swoją wysokość i kładąc rękę na sercu spojrzał na Anię, po czym zakrzyknął zdziwiony:

– Ja ciebie nie lubię?! Ja, Aniu, ciebie od dawna... – I tu urwał mu się głos, ale dziewczyna resztę wyczytała z jego wyrazistych oczu.

Jej intuicja kobieca też potwierdziła, że nie jest mu obojętną. Przeżywała szok. W tej chwili zrozumiała, że ten interesujący i tajemniczy chłopak zawsze ją intrygował, ale denerwowało ją, że nie jest przez niego zauważana. Teraz patrzyła w jego duże, rozumne oczy, na anielsko dobrą twarz, ale też mającą cechy męskie, i widziała wyraz szczerości

oraz zachwytu jej osobą. Tak jej się wydawało, ale nie była tego pewna i nie wiedziała, jak ma się zachować, co powiedzieć, a może tylko dać mu czas na pełne wyrażenie jego myśli. Była poruszona i spłoszona nagłą wizją szczęścia. Wracała do domu całkiem zmieniona. Wyraźnie czuła, że rozwija się w jej sercu uczucie, które już chyba kiełkowało od dawna. Tylko jak ziarenko rośliny potrzebowało ożywczej wody. Słowa, wzrok i twarz Witka spełniły funkcję tej wody.

Tymczasem Iwanko nie stawiał się do pracy również następnego dnia. Witold samotnie młócił zboże, gdy nagle do stodoły wszedł policjant, a z nim jakiś cywil porządnie ubrany i w kapeluszu na głowie.

Policjant nieraz bywał w Brzezinach, ale ten drugi był nieznajomy. Wyjął on z kieszeni dokument i pokazując Witkowi powiedział, że jest funkcjonariuszem śledczym i ma do Witolda kilka pytań.

– Słucham pana – odrzekł Witold.

– Pracuje pan razem z Iwanem Kłymem. Interesuje nas, z kim on się spotyka. Czy pan tego nie zauważył w czasie pracy z nim, a może on coś o takich spotkaniach z ludźmi obcymi albo też tutejszymi panu opowiadał?

Zaskoczony Witold myślał chwilę, a następnie odpowiedział:

– Tu, w stodole, nikt go nie odwiedzał, a na pastwisku odwiedzali nas ludzie, chociażby ci, którzy chcieli kupić moje koszyki. Oni też mogli rozmawiać z nim.

– Może pan słyszał ich rozmowy, o czym rozmawiali?

– Może słyszałem, ale nie pamiętam o czym, bo mnie to nie interesowało.

– Czy ktoś z tych ludzi był obcy, to znaczy spoza Brzeziny?

– Zajęty pracą, nie zwracałem na to uwagi.

Wreszcie ten cywil zwrócił się do Witka z propozycją:

– Pan jest patriotą polskim, harcerzem i strzelcem, czy zechciałby pan współpracować z nami i na początek śledzić tego Iwana, czy ma z kimś tajne kontakty, a może w rozmowie z panem przypadkowo coś wyzna?

– Proszę pana, Iwanko Kłym jest moim kolegą. Różnimy się, bo on jest Ukraińcem, a ja Polakiem. Jednak nigdy nie podejmę się śledzenia go, bo nie jestem policjantem. To pana zadanie.

– A jak pan się zachowa, gdy Ukraińcy wywołają rebelię przeciw Polsce?

– Wtedy zdecydowanie stanę po naszej stronie i będę z nimi walczył  
– oświadczył Witold.

W tej sytuacji policjant zrezygnował z werbowania Witka do wspólpracy i tylko zobowiązał do utrzymania w tajemnicy tej rozmowy, po czym odszedł.

Witka jednak nurtowały inne myśli, nie to spotkanie z policją, nie nieobecność Iwanka w pracy, ale to, że już drugi dzień posiłek przynosi mu nie Ania, lecz jej mama. Zauważył też, że twarz Martyny jest zatroskana. Ta troska i niepokój były też w jego sercu. Nie wiedział, nie odważył się myśleć, że to jego osoba i ta krótka wymiana zdań, z których nic wyraźnie nie wynikało, jest powodem zaburzenia w zachowaniu Ani.

Następnego dnia rano czekał przy oborze w nadziei spotkania z Anią. Jednak zamiast Ani szła do obory Martynka. Wituś wedle zwyczaju w powitaniu pochwalił Pana Boga i wprost zapytał, co się dzieje z Anią.

– Jaż na konto naszej Ani chciała po udoju iść do ciebie i poradzić się jak syna, bo tak uważamy ciebie, tyż kiedyś uratował jej życie w opołonce. Ja i mój żyjemy tera w zgryzocie. Myślimy, że ona lubi tego Iwanka, widno pokłócili się czegoś i un odszet od roboty, a ona jak odurzała chodzi po chacie. Chiba nawet nie śpi w nocy, bo słychno, jak wzdycha. Ot, nieszczęście, toż to i wiara insza i chociaż to chłopak ładny, to oczy w niego wilcze.

Witek zaczynał rozumieć, ale jeszcze nie śmiał wierzyć w takie szczęście.

– Nie martwię się, ciociu (Witek zawsze do Martynki zwracał się „ciociu”), wasza córka nie kocha Iwanka, ona traktuje go jak szkolnego kolegę. To on jest bardzo zakochany w Ani, wiele razy mi mówił z żalem, że dla niej jest on obojętny, Oni nie pokłócili się z sobą. Iwanko nie przychodzi, bo jest w areszcie, o czym Ania i wy nie wiecie.

– W areszcie!... A za coż to?

– Nie wiem za co – odpowiedział Witek.

Martynka wróciła do domu. Ania jeszcze spała, a ona usiadła przy mężu i opowiedziała mu o swojej rozmowie z Witkiem. Kaźmierz znacznie się uspokoił. Chwilę myślał, a potem zwrócił się do żony.

– Tyż jij matka. Ot weź usiądź przy niej, obejmij jo i pytaj: „Powidz mnie, moje dziecko, co tobie jest, czego ty stała jakaś insza?” Może ona lubi jakiegoś inszego chłopca. Ty miała 15 lat kiedyś i wiesz jak to było...

Ania już nie spała, siedziała jeszcze na łóżku, gdy nagle weszła do jej pokoju Martynka. Usiadła przy niej, objęła i zapytała:

– Powidz mnie, dziecko drogie, co stobo jest, czego ty stała insza jakaś.

Dziewczyna silniej przytuliła się do matki i wybuchła cichym płaczem, a po chwili przez łzy wyznała:

– Mamo, ja kocham Witka, ale nie wiem, czy on też mnie pokocha. Martynce spadł kamień z serca.

– Doniu moja, on na pewno już dawno ciebie lubi. Tylko un taki niśmiały. To najlepszy chłopak na narzeczonego dla ciebie. Boże mój! Jak Kazimierz będzie uradowany, toż un uważa jego jak syna.

Ania podniosła załzawione oczy na matkę i z dziecinną niewinną ciekawością spytała:

– Skąd wiesz to o Witku?

– Toż ja widziała, jak dzisiaj rano rozmawiała z nim za ciebie.

– Ty, mamo, z nim rozmawiałaś?

– Tak i zobaczyła, że un bardzo jest za tobo. Nie bój się jego. Dzisiaj zanieś jemu obiad i powiedz, co leży tobie na sercu.

Ucałowała córkę i poszła do męża, który bardzo ciekaw był ich rozmowy. Kazimierz wysłuchał żony i niezwłocznie udał się do Witka, żeby z nim porozmawiać.

Chłopak właśnie młócił zboże, gdy zaskrzypiała otwierana brama i zjawił się przed nim Kazimierz. Po przywitaniu się Kazimierz zaproponował:

– A nu, Witku, idzi ze mno za stodołę du sadu i tam na ławeczce posiedzim i pogadamy.

Pełen respektu dla osoby Kazimierza, posłusznie, ale z lękiem spełnił jego życzenie. Gdy usiedli, Kazimierz zaczął:

– Ty, Witku, skończył już 18 lat i można powiedzieć, że ty jest już mężczyzna. Ty już możesz wybierać sobie dziwczyny, które polubisz i będzie ona podchodzonca na żone. Ja i moja uważamy ciebie za syna. Tyż uratował nasze dziecko od śmierci... Ty jest bardzo ładny kawaler i jakby

się tak stało, że nasza córka zadurzyła by się w tobie, a nie była dla ciebie podchodzonca na żonę i ty by jej ni polubił, to lepij tera odyć od niej, chaj ona ma ciebie za brata, ale trzymaj się daleko od niej. Ona ma dopiro 15 lat i jeszcze ni duśpiała być narzeczono jakiegoś kawalera.

Na tym Kazimierz skończył, oczekując odpowiedzi. Chłopak chwycił rękę Kazimierza i ze czcią ucałował, a potem rzekł:

– Ojczy Kazimierzu, ja waszą córkę kocham od dziecka, tylko teraz moja miłość do niej nabrała cech prawdziwych i trwałych, jaką ma dorosły kawaler do dorosłej dziewczyny, tak, dorosłej, przecież wy, ojczy Kazimierzu, wzięli za żonę szesnastoletnią dziewczynę, bo ciotka Martyna tyle miała wówczas lat. Ja Anię kocham nie tylko jako dziewczynę, ale też jak anioła i za cenę mego życia nie zrobiłbym jej krzywdy. Także za taką cenę broniłbym ją w każdym, nie daj Bóg, zagrożeniu. O tym, że ją kocham, nikt nie wie, nawet ona – Ania. Szczególnie nie może wiedzieć o tym Iwanko. On kocha Anię do szaleństwa i wcale tego nie ukrywa. Polaków nie lubi i mówi, że niezadługo przyjdzie czas, jak wszystkich nas stąd wypędzą...

Kazimierz słuchał wyznania chłopaka z wielkim przejęciem, ale tu wtrącił:

– Ony nie tylko chcieliby nas wygnać, ale też wymordować. Nasze Ukraińcy to dobre ludzi, aliż łatwo ich oszukać. Ktoś rozsypuje tutaj takie kartki, na których napisane, że Polak to wróg, którego można, a nawet trzeba zabić. Nocamy przychodzo tutaj jakieś ludzi i buntujo ukraińskich chłopów, że Polakom zabrać ziemie i ichni majątek. U mnie był śledczy, który pyta się, czy ja nie widział jakichś ludzi nieznajomych, co kręcą się po ukraińskich wioskach i buntujo chłopów przeciw Polsce.

– U mnie, tutaj, w tej stodole – wszedł mu w słowo Witek – był wczoraj taki śledczy i pytał, czy nie wiem, z kim spotykał się Iwanko. Ja mu powiedziałem, że nie wiem.

– Ja tego Iwanka boje się – wtrącił Kazimierz. – Chaj un lepij nie wi, że ty lubisz Anie. Wieczorami, po robocie, jak chcesz, możesz do nas przychodzić, my temu nie przeciwnie, ali we wsi niech nikt nie wi, że Ania to twoja narzeczona. Wimyo ono my, ale przyjdzie czas, jak wy same

z Anio postanowicie, bedo wiedzieli wszystkie. Zobaczymy tylko, co będzie z tym Iwankiem.

Po tej rozmowie Kazimierz wrócił do domu i wszystko, całą rozmowę z Witkiem, opowiedział żonie i córce. Ania słuchała tego w wielkim napięciu, aż w pewnym momencie przytuliła się do matki i zapłakała. Był to płacz wielkiego wzruszenia i szczęścia po usłyszeniu słów Witka w relacji jej ojca. Ten chłopak zawsze wzbudzał jej zainteresowanie. Denerwowało ją, że ona była mu obojętna, że unikał jej wzroku i nawet wtedy, w stodole, gdy spytała, dlaczego jej nie lubi, zareagował spontanicznie, jakby chciał zaprzeczyć, ale zaciął się w sobie i nic nie powiedział, jedynie jego oczy niezwykle mówiły – wyrażały zachwyt, patrząc na nią. Ania była dziewczyną ambitną, nie mogła się zdobyć na następne pytanie, dlatego nie czekając na dalszy rozwój dialogu, a właściwie nie czekając wyraźnej odpowiedzi, uciekła do domu. Potem bardzo żałowała, że tak postąpiła, nie zdobywając się na cierpliwość i nie dając nieśmiałemu wobec niej chłopcu czasu na ochłonięcie z wielkiego wrażenia i konsternacji.

Następnego dnia Iwanko znów nie pojawił się w pracy. Ania przygotowała obiad Witkowi i niosła go z wielkim przejęciem, myśląc, co ma powiedzieć chłopcu. Młode dziewczę potrafiło już pokochać, ale nie wiedziało, jak ma się zachować, co powiedzieć, jak powitać. Podobnie było z nim. Oboje byli pogrążeni w uczuciu silnym, władczym, dotychczas im nieznanym, przyprawiającym o zawrót głowy... Gdy weszła, on młócił. Lecz gdy ją zobaczył, rzucił cep i wyszedł jej naprzeciw. Ona postawiła na klepisku statki z obiadem i ogromnie zmieszana zdołała powiedzieć:

– Przyniosłam ci obiad i chciałam przeprosić, że wtedy tak nagle odeszłam. Żałuję tego.

W najwyższym stopniu wzruszony i zaskoczony jej przyjściem chłopak zdołał tylko chwycić jej rękę i całował dłonie. Dziewczyna nie broniła się, doznając rozkosznych dreszczy. Trwało to krótko. Witek zdobył się na odwagę i patrząc w oczy dziewczyny rzekł:

– Aniu, ja cię kocham od dawna, tylko myślałem, że ciebie nie interesuję.



– Witku, ze mną było to samo. Bardzo smuciło mnie, że ty mnie nie uważasz. Ty rozmawiałeś z moim tatą. Całą tę rozmowę ojciec opowiedział mamie i mnie. Płakałam, Witku. Dodam, że były to łzy wywołane moim szczęściem. Powiem ci, ja bardzo kocham swoich rodziców. Nie wiedziałam, że istnieje jeszcze miłość inna, silna i zniewalająca, miłość do chłopca, jedyne, która wprowadza zakochaną w świat rozkosznego stanu ducha.

Te piękne słowa dziewczyny były miodem na serce Witka, który od dawna cicho i w samotności przeżywał podobnie.

– A co zrobimy i jak mamy się zachować, gdy wróci Iwanko? – spytał Witek. – On przecież kocha cię do szaleństwa.

– Ten chłopak, Witku, to moje nieszczęście. Musimy wobec niego zachowywać się jak dotychczas. To szalenie, Witku. On może ciebie zabić.

– Nie martw się, Aniu, będę na niego uważał, a w razie czego cep mam w rękę lub pod ręką. Zresztą póki się nie zorientuje, co zaszło między nami, jego zachowanie wobec mnie nie zmieni się. Poza tym nie wiadomo, kiedy go wypuszczą, a może na dłużej osadzą w więzieniu.

Ale po kilku dniach jak na zawołanie zjawił się Iwanko i rozpoczął pracę. Kazimierz chciał zerwać z nim umowę, rozliczyć się i podziękować, prosząc, aby już nie przychodził, on sam z Witkiem dokończy tę pracę. Gdy Iwanko to usłyszał, pobladł i zazgrzytał zębami.

– Chociaż nie mam pieniędzy, mogę tu za pół ustalonej ceny pracować – odrzekł.

Witek był pewien, że nawet za darmo by pracował. Powód był jasny – Ania...

Po radzie z Witkiem Kazimierz zgodził się na pracę Iwanka na niezmienionych warunkach.

I znów cepy miarowo biły i w południe Ania przynosiła im obiad. Iwanko stęsknionymi oczami pożerał jej widok, a gdy odchodziła, śpiewał ukraińską dumkę, której refren powtarzał się:

*Ja tebe, rybeńko,  
do swojij chatyńki  
taj na rukach zanesu.*

Ze strony Witka wymagało to ogromnego opanowania, gdy musiał słuchać tych przesyconych tęsknotą elegii swojego niefortunnego rywala. Raz nawet przerwał mu:

– Zamknij gębę i zabierz się do roboty!

Iwanko przerwał śpiew, badawczo spojrzął na Witka i spytał:

– *Ce ty toże?*...

– Co toże?

– *Wlublani w Aniu?* – dziwnym głosem dokończył Iwanko.

\*

Wydawało się, że sprawy polityczne Iwanka zakończyły się i będzie mógł pracować z Witkiem do zakończenia młocki. On nie zwierzał się, dlaczego policja się nim interesuje, a Witek go o to nie pytał i taki stan milczenia w tej sprawie trwał. Witek myślał, że wszystko zostało wyjaśnione i ewentualne podejrzenia już przestały być aktualne. Tymczasem pewnego poranka, gdy rozpoczynali pracę, nagle do stodoły weszło dwóch policjantów.

– Iwan Kłym? – zwrócili się do Iwanka.

– Tak – odpowiedział.

– Dajcie swój dowód osobisty – powiedział jeden z policjantów.

Iwanko sięgnął do kieszeni, ale zamiast dowodu wyjął pistolet i wypalił w pierś policjanta. Skierował broń na drugiego, który jeszcze nie zdążył wyjąć broni z kabury i niechybnie byłby drugą ofiarą bandyty, gdyby nie przytomność umysłu i zręczność Witolda, który błyskawicznie podbił uzbrojoną rękę Iwanka do góry i chociaż strzał nastąpił, to pocisk przeszedł ponad głową policjanta. W tym momencie policjant zdążył paść na ziemię i podbić nogi bandyty, który runął na klepisko, a pistolet wypadł mu z ręki. Szamocząc się z policjantem, Iwanko usiłował sięgnąć po leżący w zasięgu jego ręki pistolet, ale Witek nogą odsunął broń. Chciał pomóc policjantowi obezwładnić Iwanka, ale okazało się to zbędne, bo ten już zakładał Iwankowi kajdanki.

Na odgłos strzału nadbiegł Kazimierz, a za nim Martynka. Mężczyźni rozcinali odzież rannego, który żył i ciężko oddychał. Martynka pobiegła

do domu po prześcieradło, po czym darła na pasy, by użyć je jako bandażu.

Po chwili przygalopowało na koniach dwóch żołnierzy KOP. Jeden z nich miał przy sobie ekwipunek sanitarny i natychmiast przystąpił do profesjonalnego opatrunku, drugi pogalopował do strażnicy, skąd telefonicznie wezwał z Ludwipolu samochód sanitarny, który wkrótce przyjechał i zabrał rannego. Bandyta został odprowadzony do aresztu przy strażnicy, ale jeszcze w tym samym dniu przetransportowano go do aresztu śledczego w Sarnach.

Witold był jedynym cywilnym świadkiem, a jednocześnie pozytywnym bohaterem tego tragicznego incydentu.

Tego wieczoru do domu Walerianów przyszedł policjant, który brał udział w akcji, z zamiarem podziękowania Witoldowi za uratowanie mu życia, ale Witold już wyszedł do domu.

– Przyjdę jutro, gdy będzie w pracy, a przy okazji, skoro już odwiedziłem wasz dom, opowiem jak bohaterski to młodzieniec, któremu zawdzięczam życie. Byliśmy całkiem nieprzygotowani na to, że ten przestępca ma broń. Mieliśmy zadanie doprowadzić go na nasz posterunek. Gdy weszliśmy do stodoły, oni obaj zajęci byli wiązaniem snopa słomy. Gdy podeszliśmy do nich, Iwan Kłym stał bezpośrednio przed nami, a za jego plecami ten drugi, jak teraz już wiem, Witold Grabowski. Nie podejrzewaliśmy, że Kłym ma przy sobie broń i to już odbezpieczoną, jakby wiedział, że w razie czego to chcąc uciec, będzie musiał strzelać. Tak też się stało. Zamiast dowodu osobistego wyjął pistolet i strzelił skutecznie do mego kolegi. Następnie chciał zabić mnie, ale to mu się nie udało dzięki panu Witkowi, który nie przestraszył się i nie uciekł, lecz widząc moje tragiczne położenie, zdążył podbić uzbrojoną rękę przestępcy, wskutek czego chociaż ten oddał strzał, to pocisk przeszedł ponad moją głowę. Ja nie miałem wyjścia. Błyskawicznie rzuciłem się na ziemię, zwalając z nóg bandytę, któremu przy gwałtownym upadku na twarde klepisko wypadł pistolet. Chciał go chwycić, ale Witold zdążył odsunąć broń nogą. Okazało się, że pistolet był sześciopistołowy. Ten bandyta mógł wystrzelać nas wszystkich, łącznie z Witoldem.

Jednego nie mogę zrozumieć: dlaczego przyszedł tu do pracy, wiedząc, że jest ścigany przez policję?

Policjant nie wiedział, ale Ania i jej rodzice oraz Witek wiedzieli. On chciał jeszcze zobaczyć Anię.

Następnego ranka Ania po porannym udoju krów, słysząc krzątającego się w stodole Witka, wzięła kubek świeżego mleka i przyszła do stodoły. Chłopak, gdy ją ujrzał, wyszedł na powitanie, a ona postawiła kubek na klepisku i chwyciła go w ramiona. On też objął jej kibić swoimi silnymi ramionami i przygarnął do swojej piersi. Ania omdlewając zawisała w jego ramionach, pozwalając się całować po czole, oczach, policzkach, aż w końcu ich usta spotkały się w długim rozkosznym i pierwszym w ich życiu pocałunku... Ona pierwsza oderwała się od niego z twarzą płomiennie pąsową, stała naprzeciw niego ze spuszczonymi powiekami i tylko szparkami oczu widziała jego twarz i duże z miłością patrzące na nią oczy. Cała jeszcze drżała z wielkiego przeżycia, ale była czujna, intuicja jej mówiła, że nie może dojść do następnego szału, którego oboje pragną.

– Usiądźmy – zaproponowała i usiadła na snopkach zboża.

Witold usiadł naprzeciw niej tak blisko, że ich czoła stykały się z sobą.

Tak trwali przez pewien czas, aż do uspokojenia wielkiego miłosnego uniesienia, rozkosznego wstrząsu psychicznego, który przed chwilą przeżyli, a było to zapowiedzią głębi szczęścia, jakie jest przed nimi. Ona traktowała go jak swojego rycerza, któremu pragnie oddać swoje życie, on patrzył na nią jak na ikonę anioła, którego wolno mu uwielbiać, ale też szanować. To był dla niego kwiat, którego piękno zachwyca, woń odurza, ale zerwać go nie wolno.

– Jestem dumna z ciebie – zaczęła Ania. – Jesteś bohaterem. Bogu dziękuję, że ten bandyta nie zabił cię, przecież mógł zabić was trzech. To, że do tego nie doszło, zawdzięczamy Bogu, a także twojej odwadze i zręczności. Ty nam tego nie powiedziałeś, ale wiemy o tym od policjanta, który przyszedł do nas, aby ci podziękować. Ty wtedy byłeś już w swoim domu.

– Tak – odpowiedział Witold. – Był już u mnie.

Witold rozkosznie porażony wdziękiem i niezwykle słodczą ukochanej, był jeszcze w stanie oszołomienia. Stał bowiem już w otwartych drzwiach do szczęścia, o którym nawet nie śmiał marzyć. Dotychczas cierpiał cicho i starał się unikać wzroku Ani. Przecież do niedawna nie liczył nawet na najmniejszą u niej szansę. A naraz poczuł to błogosławione uderzenie młota w jego delikatną, zamkniętą w sobie osobowość, gdy odkrył, że jest w jej sercu...

Niepomiernie szczęśliwy, siedział teraz pochylony ku niej z opartym czołem o jej czoło i milczał. Ona go rozumiała, bo któż mógłby rozumieć go lepiej. Swoimi dłońmi uniosła jego głowę i patrząc mu w oczy rzekła:

– Kocham ciebie, Witku, wiem, że kochamy się wzajemnie. O naszej miłości wiedzą już moi rodzice. Ja nigdy nie miałam tajemnic przede wszystkim przed mamą. Rodziców ucieszyłam moim wyznaniem, bo oni ciebie kochają jak syna. Tylko wiesz, Witku, musimy uważać z tymi szalonymi pocałunkami, których oboje pragniemy. Mnie przynosi szczęście przebywanie z tobą, dźwięk twojego głosu, ciepło płynące z twojej bliskości... Ta głębia szczęścia, jaka jest przed nami, wymaga od nas trudnej, ale koniecznej wstrzemięźliwości. To warunek naszego szczęśliwego życia.

Witek czuł się tak jak penitent klęczący przy kratkach konfesjonala i słuchający pouczeń spowiednika. Tak odebrał jej charyzmatyczną mowę... Ten mądry, odpowiedzialny i subtelny chłopak, ubogi sierota wyraźnie widział i rozumiał, że ta poważna, mądra dziewczyna znalazła się na drodze jego życia dzięki Opatrzności. Koniec upokorzeń sierotego życia. Jest ktoś pragnący dzielić z nim życie, bo go kocha. Prawdziwym cudem jest, że tą osobą jest wyśniona i wymarzona przez niego Ania...

– Przecież wiesz, Aniu, że jestem harcerzem, a rycerskość i opiekuńczość w stosunku do dam jest naszym honorem. Cóż można powiedzieć o harcerzu rozkochanym w pięknej dziewczynie? Jego odpowiedzialność i szacunek są bezwarunkowe. Klnę się na naszą miłość, Aniu, że pewnych barier nie przekroczę, ale nie uchylaj tego pucharu pełnego szczęścia od moich ust. Pocałunek z tobą to misterium wielkiego szczęścia. To nie zakazany owoc naszych spotkań.

– Och, ty mój ukochany rycerzu – powiedziała dziewczyna, nie uchylając swych ust na pożegnanie.

Ścieżki życia dwojga młodych ludzi zbiegły się ze sobą i połączyły. Metaforycznie to ujmując, jak termopara, składająca się z dwóch szlachetnych metali o różnych właściwościach, które połączone z sobą w określonych warunkach generują prąd elektryczny.

To uczuciowe napięcie zmieniło barwę i jakość życia Ani i Witka. Nie mogli ukrywać swojej miłości. Zwrócili się zatem z prośbą do rodziców Ani o błogosławieństwo stanu ich narzeczeństwa. Zgodnie z tradycją taki akt został zawarty i pobłogosławiony z udziałem całej rodziny. Witek powiadomił swoich opiekunów o swojej decyzji i prosił o uczestnictwo w uroczystości zaręczynowej. Przyszli oboje. Po obrzędzie religijnym polegającym na modlitwie i błogosławieństwie przez rodziców Martynka przygotowała wystawny obiad. Młodzi, już oficjalnie, wystąpili na nim jako narzeczeństwo.

\*

Pewnego dnia Witold dostał wezwanie z sądu w Sarnach w charakterze świadka. Sprawą było zabójstwo policjanta, który po postrzale zmarł w szpitalu. Gdy chłopak wrócił z rozprawy powiedział, że Iwanko został skazany na dziesięć lat więzienia. Prokurator zapowiedział apelację do wyższej instancji sądowej. Jednak niezależnie od tego, jaki będzie ten następny wyrok, skazany pozostanie w areszcie.

\*

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1938 roku. Już od początku grudnia mróz ściał staw, bagna i przybrzeżne wody Słuczy. Tylko w środku nurtu rzeki widać było strugę płynącej wody. Nieco później spadł obfity śnieg i pokrył całą okolicę swoją nieskazitelną bielą.

Rozpoczął się adwent i poranne nabożeństwa roratnie w kościołach. Do kościoła w Sarnach było zbyt daleko, ale od niedawna Brzeziny należały do parafii w Ludwipolu, gdzie była duża kaplica, a że było to znacznie bliżej, więc brzezinianie udawali się tam na roraty. Pewnego



poranka wybrali się tam również Ania z Witkiem. Koniki wyprowadzone z ciemnej, ciepłej stajni nozdrzami wciągały mroźne, świeże powietrze, które przy wydechu zamieniało się w kłęby pary. Drżąc z zimna, grzebiąc nogami i rzucając łbami do góry i w dół, rwały się do biegu. Oni ciepło ubrani, siedzieli na wysoko wymoszczonym słomą siedzeniu, a kolana i nogi okrywała im podróżna baranica. Witek wstrząsnął lejcami i na hasło „wio!” koniki ruszyły od razu kłusem. Mieli przed sobą kilkanaście kilometrów drogi przez las. Była jeszcze noc, pogodna, gwieździsta i cicha. Śnieg, który spadł na zmarzniętą ziemię w mroźny czas, był suchy. Jego biel w świetle księżycy w oczach ludzkich mieniła się różnymi odcieniami. Silny mróz powodował skrzypienie śniegu pod kopytami koni. Gdyby nie ten skrzyp i parskanie koni, w lesie panowałaby majestatyczna cisza. Wydawało się, że wszystko śpi pod białą pierzyną. Zdarzało się, że tę ciszę zakłócił podobny do strzału huk pękającego drzewa. W czasie silnego mrozu niektóre gatunki drzew przemarzały na wskroś pnia. Wówczas wilgoć zawarta w masie drzewa, czyli woda, zamarza, a zwiększając swą objętość rozsadza masę drzewną. Pień drzewa pęka i stąd ten huk. Potrącane przez końskie łby nawisy śniegu na gałęziach przydrożnych drzew zsypywały biały puch na sanie i jadących. Witold sięgnął po burkę leżącą za nimi i przykrył nią ich oboje. Przytuleni do siebie jechali wolno, nie przyspieszając, pochłonięci sobą i niezwykłą zimową urodą lasu. Niektóre małe drzewa, całkiem zasypane śniegiem, wyglądały jak figury z dziecięcych bajek. Ona, przytulona do niego, szeptała mu do ucha:

– Kocham ciebie, Witku.

On jedną ręką trzymał lejce, a drugą silnie przygarnął ją do siebie.

– Ofiarujemy naszą spowiedź, komunię i całą mszę świętą za nas, naszą miłość, wytrwałość w dobrym i naszą przyszłość – szeptała dalej Ania.

– Kochanie, moje intencje są te same – usłyszała odpowiedź.

Były to te piękne czasy, kiedy młodzi ludzie czuli potrzebę zapanowania nad swymi instynktami, w czym upatrywali główny warunek przyszłego szczęścia małżeńskiego. Oczywiście, kluczową rolę odegrało

tu chrześcijaństwo, a także obyczajowość zbudowana na jego fundamencie. Małżeństwa dziewicze były normą, to był cel większości młodych par, dlatego uprawnione było powiedzenie „miodowy miesiąc”, w czasie którego po ślubie następowała pełna konsumpcja praw małżeńskich. Nierozerwalność związków sakramentalnych była powszechnie przestrzegana, co pomagało przetrwać różne kryzysy małżeńskie, aż do zbudowania rodziny (jak mówiono) Bogiem silnej, w której dzieci były dodatkowym spoiwem, miłością i celem małżeńskiego życia.

Nasi młodzi po dotarciu do kościoła przypięli konie przy saniach, gdzie było dla nich siano, nakryli ich grzbiety derkami i udali się do świątyni. W obszernej drewnianej kaplicy było już sporo wiernych. Oboje ustawili się do kolejki przed konfesjonalem. Cichy, przyćmiony roratni nastrój w kaplicy usposabiał do kontemplacji. Dopiero później delikatnie zabrzmiały dźwięki fisharmonii i przyciszony śpiew organisty. Świątynia miała już wystrój świąteczny. Ołtarz i ściany udekorowane były młodymi świerkami.

Sakrament spowiedzi i eucharystia wzmocniły ich duchowo. Wracali do domu z lekkim sercem. Miłość, wzajemny szacunek i czystość przedmałżeńska budowały w ich subtelnych osobowościach wizję wielkiego szczęścia, jakie mają przed sobą.

Była jednak pewna nuta niepokoju w ich sercach, powodowana groźbą zakłócenia pokoju w Europie ze strony Rzeszy Niemieckiej. Było to już po włączeniu Austrii do Niemiec i po zbrojnej aneksji czeskich Sudetów dokonanej przez Niemcy hitlerowskie. Liczono jednak na to, że silna armia polska i państwa zachodnie będą trzymały w ryzach zaborcze zapędy Hitlera.

Po powrocie do domu zastali miłego gościa. Był nim brat Martyny, Roman. Było to na tydzień przed świętami. Roman z żoną przyjechali na dwutygodniowy urlop do rodziców. Był już w stopniu sierżanta i materialnie powodziło im się dobrze. Jako prezent dla Ani i Witka przywiózł dwa siodła z demobilu wojskowego. Bardzo ucieszył tym młodych, gdyż teraz zimą, kiedy jest więcej wolnego czasu, będą mogli urządzać sobie konne przejażdżki po lesie.

Roman również mówił o przygotowaniach wojska do obrony kraju. Nie wdawał się jednak w szczegóły, bo obowiązywała go tajemnica wojskowa. Ale mówił o morale wojska – wielkim duchu bojowym w jego jednostce. Mimo tych obaw wszystkie troski rozwiewała myśl o zbliżających się świętach.

\*

Witek z Anią, dysponując już teraz siodłami, wybrali się konno do lasu po choinkę. Las w zimowej szacie był cudowny. Przede wszystkim panowała tu cisza. Czasami tylko gdzieś w gałęziach wysokich sosen zakrakała wrona lub zaturkotał w jakieś suche drzewo dzięcioł, ten leśny sanitariusz. Ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, nietknięta stopą ludzką. Widać było jedynie ślady dzikich zwierząt. Jechali do zagajnika młodych świerków, skąd chcieli wybrać i wyciąć choinkę. Młode świerki mają przy ziemi gęste, rozpostarte gałęzie, to ulubione schronisko dla dzików, które urządzają tam swoje legowiska. Kilka takich wypłoszyli, czemu towarzyszył niepokój koni. Wreszcie Witek zauważył najbardziej odpowiednie drzewko i je wyciął. A potem jeszcze drugie do domu swoich opiekunów, przy których nadal mieszkał. Obie choinki przytroczył do swojego konia i ruszyli do domu.

Mról był, jak to się mówiło, siarczysty. Oboje zmarzli i pragnęli rozgrzewki. Podobnie ich konie, czując chłód, zachowywały się niespokojnie. Grzebiąc nogami w śniegu, sygnalizowały, że pragną biegu. Witold wypuścił Anię i jej konia do przodu, aby mieć ją na oku i ruszyli. Początkowo kłusem, by po chwili przejść w zawrotny galop. Wyszkolone w tym kierunku wojskowe rumaki wychodziły z siebie, aby ich szarża była godna kawalerskiego wyczynu. Nasi jeźdźcy, obsypani śniegiem z gałęzi potracanych głowami, szybko przemknęli las i znaleźli się na wolnej przestrzeni, gdzie zwolnili bieg koni i początkowo kłusem, a później stępą zmierzali do domu, który był już w zasięgu ich wzroku. Koniki też chętnie szły do stajni, wiedząc, że w żłobie czeka na nie obrok. Witold podjechał do Ani, objął ją i gratulował brawurowej jazdy, na którą nie byłoby stać żadnej ze znanych mu dziewczyn, oprócz jego „amazonki” – Ani.

Wieczór wigilijny był cichy, ale mroźny. Zgodnie z tradycją czekano na pierwszą gwiazdkę. Witek, zaproszony na kolację wigilijną przez Anię i jej rodzinę, po przełamaniu się opłatkiem ze swoimi opiekunami dołączył do rodziny Lipińskich i z nimi celebrował Wigilię. Razem z Anią stanowili parę, która była ozdobą wśród tej licznej rodziny, otaczającej stół nakryty białym obrusem i przeróżnym, znakomitym jadłem. Wedle tradycji miało być dwanaście potraw, przy czym wszystkie postne ewentualnie na oleju roślinnym. Najpierw odmówiono modlitwę, a następnie łamano się opłatkiem i składano sobie życzenia. W okresie Adwentu obowiązywał ścisły post. W dniu wigilijnym, w czasie poprzedzającym kolację, dozwolony był chleb w ograniczonej ilości i woda. Toteż każdy był głodny i ochoczo zasiadał do uczty wigilijnej. W pierwszych chwilach słyszało się tylko brzęk sztućców i pochwały znakomitości potraw.

Po kolacji wybierano się na Pasterkę do Ludwipola. Z uwagi na trudne warunki zimowe w domu pozostali rodzice – Walerian i Ludwika. Na dużych saniach wymoszczono ze słomy trzy dwuosobowe siedzenia, przykryte kilimami i zaopatrzone w baranice do przykrycia nóg. Dwa piękne konie Romana z założoną uprzężą i janczarami na karkach, wyprowadzone z ciepłej, dusznej stajni, chłoneły mroźne, świeże powietrze i rażone ostrą zimową aurą niecierpliwie grzebały nogami, potrząsały głowami, powodując brzęk janczarów. Powstrzymywane lejcamy przez Romana, rwały się do biegu.

Ruszyli najpierw kłusem, by za chwilę przejść do galopu. Szybko przemknęli pokryte śniegiem pola i łąki i wpadli do lasu. Tu Roman pozwolił koniom zwolnić bieg i przejść do kłusu, a następnie stępa. Uczynił to nie tylko dla odpoczynku koni, którym po tym intensywnym biegu z nozdrzy buchała para, ale też by mogli podelektować się wspaniałością leśnego zimowego krajobrazu i tej majestatycznej ciszy. Nie było słychać żadnych odgłosów natury. Las spał pod grubą pierzyną mieniącego się odbłaskami białego kobierca i tylko skrzyp śniegu pod kopytami koni i syk sunących sani były jedynymi odgłosami tej błogosławionej wigilij-

nej nocy. Oni na saniach też milczeli, odnosząc wrażenie, że cała natura swoją zimową krasą w ciszy celebruje tę świętą noc.

Dużych rozmiarów drewniana kaplica, wewnątrz udekorowana świerkami, po brzegi wypełniona była wiernymi. Wychodzący do odprawienia mszy świętej ksiądz zaintonował kolędę *Bóg się rodzi...* Zebrani podjęli tę pieśń z całą mocą, niesieni świątecznym nastrojem. Rozpoczęła się Pasterska msza święta.

W czasie kazania kapłan mówił z troską o zagrożeniu pokoju w świecie, apelując o modły w tej intencji. Po tych słowach ksiądz radosny nastrój świąteczny zakłóciła nuta niepokoju. Dotyczyło to szczególnie osób starszych, pamiętających czasy zaborów i pierwszą wojnę światową. Młodzież zaś nie przejmowała się tym zbyt, ufając naszym siłom zbrojnym i własnej gotowości do bohaterskich czynów.

Po mszy lud boży wysypał się z zatłoczonej kaplicy do swoich furmańek. Panował tu wielki gwar: znajomi i nieznajomi wzajemnie składali sobie życzenia świąteczne i noworoczne z okazji zbliżającego się roku 1939. Po czym rozjechali się w różnych kierunkach.

Panowała jeszcze zimowa, mroźna, roziskrzona gwiazdami noc. Koniki biegły, ciągnąc sanie przez las. W sercach jadących trwał uroczysty nastrój świąteczny. W tym uniesieniu ktoś zaintonował kolędę *Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...* I rzeczywiście w tej cichej, leśnej, zimowej atmosferze i scenerii był to jedyny donośny głos, który radośnie ożywił to środowisko pogrążone w zimowym śnie. Wyobrazić sobie można, że śpiące w swoich matecznikach zwierzęta leśne na dźwięk tej kolędy nastawiały uszu i **podświadomie** czuły, że dzieje się coś niezwykłego.

Mimo wszystko ta nuta niepokoju, którą pobudziły słowa kapłana w czasie homilii wigilijnej, kamieniem zaciążyła przede wszystkim na sercach małżonków – Kazimierza i Martyny, negatywnie wpływając na ich nastrój. Oni dobrze pamiętali czasy zaborów. Kazimierz i Martynka urodzili się już po śmierci dziadka Klemensa – powstańca styczniowego, ale wraz z całą rodziną dzielili smutek i żalobę po bohaterskim przodku, który zmarł na skutek ran odniesionych w czasie bitwy z Moskalami. Dobrze też pamiętali pierwszą wojnę światową, a szczególnie porwanie

Kazimierza przez bolszewików i jego dramatyczną ucieczkę z tej niewoli, dzięki Opatrzności zakończonej powodzeniem.

Martynka w takich smutnych chwilach szukała ukojenia w modlitwie. Siedząc przy mężu, przytuliła się bliżej do niego i rzekła:

- Kaźmierz, po tym, co ksiądz powiedział, mnie zrobiło się smutno.
- Mnie też – odpowiedział.

I dalej mówiła Martynka:

– Du domu mamy jeszcze daleko, je las i cisza, tutaj najlepiej Pan Bóg nas słyszy, a nu, żep nam było lżej na sercu, odmówmy litanie du Matki Boskiej.

I głośno zaczęła:

- *Kyrie eleison, Chryste eleison...*

A za nią wszyscy przyłączyli się do modlitwy. Ciszę leśną wypełniły teraz gorące, chóralne słowa litanii i parskanie koni, które, idąc stępa, zdawały się rozumieć podniosły nastrój ludzi i na swój sposób włączyć się do tej celebracji. W pewnym momencie, jak często się tu zdarzało, wypłoszona ze swego legowiska gromada saren przebiegała im drogę.

Po przybyciu do domu i ulokowaniu koni w stajni, gdzie dostały smaczny obrok, udali się do swoich izb na drzemkę, bo grudniowa noc jest długa i była jeszcze możliwość zażycia kilku godzin snu.

Pierwszy dzień świąt był dniem odpoczynku, zwłaszcza dla kobiet. Po obrządzeniu chudoby mogły wyprostować plecy i posiedzieć, pogwarzyć, a przede wszystkim zaśpiewać jakąś kolędę razem z całą rodziną. Po obiedzie Witek i Ania nie usiedzieli w domu. Mimo mrozu osiedłali swoje wierzchowce i pogalopowali w kierunku dworu i dalej aż do kolonii Serwituty. Gdy mijali dom Władysława Lipińskiego, ujrzeni go idącego do stajni czy obory, pozdrowili zgodnie z obyczajem słowami:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W odpowiedzi usłyszeli:

- Na wieki wieków. Amen. Gdzie jedziecie? – zapytał Władysław.
- O, tak tylko na przejażdżkę, wujku.
- A ja myślał, że jedziecie kolędować.
- Ale kolędowanie dopiero wieczorem, wujku.



– To prawda – odpowiedział i dodał: – Jutro i tak zobaczymy się wszystkie, bo ja cało wasze rodzinie zaprosił na obiad.

Rzeczywiście, zwyczajowo drugi dzień świąt mijał pod znakiem gościnnych spotkań. No, ale przed nimi był jeszcze wieczór pierwszego dnia świąt, kiedy pod okna domów podchodzili kolędnicy i śpiewali kolędy, a później składali życzenia świąteczne. Gospodarz wychodził do nich i dziękując, częstował ich słodyczami lub dawał jakieś grosiki.

Ukraińcy obchodzili święta później – szóstego stycznia, ale teraz, demonstrując dobre wzajemne współżycie, też szli kolędować do Polaków. W tym celu nauczyli się polskich kolęd, a śpiewali je pięknie. Warto tu nadmienić, że lud ukraiński posiada wyjątkowy talent wokalny.

Drugiego dnia świąt na gościnną wizytę do rodziny Władysława przygotowana była cała rodzina. Razem z Anią i Witoldem było to osiem osób. Mężczyźni przygotowali największe sanie i najlepsze konie, te należące do Romana. Sanie wymoszczone słomą przykrytą kilimami z trudem pomieściły taką liczbę pasażerów, ale do kolonii Serwituty, gdzie mieszkał Władysław, było tylko kilka kilometrów, więc bez większego trudu i w krótkim czasie byli już u celu tej podróży. Przed domem czekał ich gospodarz z żoną. Ludzie weszli do izb, a mężczyźni ulokowali konie na klepisku stodoły, gdzie, nakryte derkami, dostały owies – przysmak koński – z dodatkiem pachnącego siana.

Dom Władysława był nowy i duży. W największej izbie stał ogromny stół białą nakryty i zastawiony mnogą ilością smacznego jedła i picia. Nie zabrakło aronowej anyżówki, która królowała w dużej karafce na środku stołu. Były też dwa lśniące złocistością samowary, dymiące parą wrzącej wody i pachnące oparami zaparzonej herbaty.

W rogu izby stała pięknie przystrojona, pachnąca żywicznym lasem choinka, jarząca się płomykami zapalonych świeczek i swoim uroczym wyglądem podkreślająca charakter niezwykłej uroczystości.

Z uwagi na podane gorące dania Bronisława, gospodyni, nalegała na rozpoczęcie świątecznej celebry. Zgodnie z tradycją najpierw odmówiono modlitwę (podobnie jak w czasie Wigilii). Następnie gospodarz domu sięgnął po plik białych opłatków, który leżał na równie białym ob-

rusie. Każdy uczestnik biesiady otrzymał jeden płat i rozpoczęto łamanie się opłatkiem i składanie sobie życzeń. Życzono sobie głównie zdrowia i szczęścia, dobrych urodzajów, ale też słyszało się życzenia pokoju w Polsce i świecie. Po tej wzruszającej, serdecznej ceremonii parami zasiadano do stołu.

Początkowo delectowano się różnymi smakowitościami i rozmowy były zdawkowe. Dopiero później rozgadano się na różne tematy. Kobiety chwaliły podane potrawy i mówiły o swoich kulinarnych praktykach i osiągnięciach. Mężczyźni – o przewidywanych plonach na ich polach po tej ciężkiej zimie. Ale poruszano też sprawy polityczne, które bardzo groźnie rozwijały się w Europie. Władysław, doświadczony żołnierz, inwalida, wielki polski patriota, wychowawca i instruktor miejscowej drużyny strzeleckiej, mówił:

– Hitlerowskie Niemcy już zajęli Austrie. Zajeli Sudety czeskie i szykuje się zająć całe Czechy, to nie dobrze, ony okrążają nasze Polskie. Ja przed świętami byłem w naszej jednostce wojskowej w Sarnach. Ony pokazali mi nowy, ręczny karabin maszynowy i dadzą nam taki jeden, żep my nauczyli strzelać z niego naszych strzelców. Ty, Kaźmierz, jest dowódco naszych strzelców. Ony, znaczy się te oficerzy z pułku, dali mi powiastkę dla ciebie, żep ty po świętach stawił się do nich na jeden tydzień szkolenia, jak używać tego karabina, jak czyścić i jak z niego strzelać. Po tym szkoleniu ty nauczysz naszych strzelców, żep ony też rozebrali, jak jego używać.

Władysław sięgnął do kieszeni po tę powiastkę i podał ją Kazimierzowi, a on, biorąc ją z rąk brata, spojrzał wymownie na swoją Martynkę, która bardzo nie lubiła rozłąki z mężem.

Następnie pośpiewano sobie trochę kolęd, zjedzono kolację zakrapianą anyżówką, a kobiety i dzieci delectowały się znakomitą ciastem i słodyczami. Późnym wieczorem podejmowana rodzina opuściła gościnny dom i wróciła do swego.

Święta Bożego Narodzenia minęły i przyszedł Nowy Rok 1939. Rok zmienny, nikomu się nawet nie śniło, co on przyniesie. I znów nastąpił wyjazd na mszę świętą do Ludwipola, podczas której proboszcz wygłosił

kazanie jeszcze bardziej zabarwione troską o bezpieczeństwo naszej ojczyzny zagrożonej pożogą wojenną.

Potem przyszło święto Trzech Króli, a u naszych sąsiadów Ukraińców Wigilia. (U nich liturgia odbywa się według kalendarza juliańskiego.)

W cerkwi biły wielogłosowe dzwony i trwała trzygodzinna służba Boża (msza święta). *Rizdwo Christowe* – Boże Narodzenie obchodzone po Wigilii przez dwa kolejne dni. Wtedy, podobnie jak u katolików, chodzili kolędnicy. Pięć dni po świętach Bożego Narodzenia obchodzili (juliański) Nowy Rok. Z tym noworocznym świętem związany był obyczaj *szczodrowania*, coś w rodzaju kolęd i życzeń świątecznych, a teraz noworocznych, jeszcze bardziej popularnych niż w czasie wcześniejszych świąt. Były przy tym obyczajowe przyśpiewki. Pierwszą strofkę jednej z takich przytaczam:

*Szczedryk, szczedryk, szczedriwoczka,  
Pryleciła łastiwoczka,  
Stała sobi szczebetaty,  
Hospodarja wykłykaty.*

Tydzień później obchodzili Ukraińcy święto *Jordan*. Liturgia tego święta niezwykle piękna. Odbywała się na silnie zamrzniętej rzece. Mężczyźni w łodzie wycinali wielki krzyż, który odpowiednio mocowano na łodzie. W czasie liturgii przed tym krzyżem stał w szatach liturgicznych pop i diakon, a za nimi cerkiewny chór. Po obu brzegach rzeki stali ludzie, uczestnicy tej liturgii, i razem z chórem śpiewali. Pop kilkakrotnie zanurzał krzyż w przerębli i śpiewał pięknym basem. Między innymi w słowach śpiewanej modlitwy najczęściej brzmiało: *Hospodi pomyluj...* Ta liturgia, mimo silnego mrozu, gromadziła wielu wiernych, także katolików, czyli Polaków. Gdy modły już były odprawione, woda poświęcona, wówczas wierni podchodzili do przerębli i każdy czerpał wodę do specjalnych szklanych lub ceramicznych pojemników i niósł do domu. Warto tu odnotować, że w wielu miejscowościach związany z tym świętem był obyczaj zanurzania się w lodowatej wodzie. Mężczyźni lub kobiety, ubrani tylko w długą ozdobnie haftowaną, płócienną koszulę, po

trzykrotnym przeżegnaniu się zanurzali się po szyję w przerębli wykonanej po wycięciu krzyża. Taki wyczyn powtarzano trzykrotnie.

Ale oto tuż po tym święcie nagle zmarł opiekun Witolda. Ta jego śmierć nie miała związku z jakąś chorobą czy wypadkiem. Po prostu zmarł nagle z nieznanых przyczyn. Osierocił żonę i córkę (jedno ich dziecko, synek, zmarło w wieku niemowlęcym). Zmarły miał brata w sąsiedniej wsi, człowieka zamożnego, który oprócz dużego gospodarstwa uprawiał hodowlę bydła mięsnego, zakontraktowanego dla wojska. Były to przede wszystkim woły przeznaczone na rzeź. Po śmierci swojego brata zabrał pod swoją opiekę żonę i córkę zmarłego. Postanowił też pochować w swojej wsi, na tamtejszym cmentarzu, swego zmarłego brata, a więc pogrzeb odbył się właśnie tam. Natomiast dom i nieduże gospodarstwo rolne brata pozostawił do dyspozycji i pod opiekę Witoldowi.

Witold znalazł się w sytuacji, która wymagała stałego przebywania w domu po jego zmarłym opiekunie, gdzie były koń, krowa i kilka świń oraz drób. Po naradzie rodzinnej postanowiono przyspieszyć zawarcie związku małżeńskiego Ani z Witoldem. Oboje młodzi z tym nie zwlekali, gdyż było to ich największym pragnieniem. Niezwłocznie udali się do Ludwipola i u swego proboszcza załatwili rytualne zapowiedzi przedślubne. Cała rodzina Ani intensywnie przygotowywała wesele, które miało nastąpić drugiego dnia świąt Wielkiej Nocy.

Popularność tych dwojga młodych we wsi była duża. Wynikało to z tradycji patriotycznej rodziny Ani, uświęconej krwią powstańca styczniowego – pradziadka Klemensa, a także z pamięci o bohaterskiej ucieczce Kazimierza z niewoli oraz z tego, że Witold i Ania wykazywali dużą aktywność społeczną w organizacjach młodzieżowych. Wyróżniali się poziomem intelektualnym wśród młodzieży dzięki ich czytaniu. Oboje w wolnych chwilach chwyтали za książkę i wspólnie zagłębiali się w lekturze dzieł przede wszystkim Sienkiewicza, ale i innych klasyków polskich oraz literatury światowej. Zwłaszcza Ania często odwiedzała bibliotekę szkolną. Toteż pierwsze zapowiedzi ogłoszone przez proboszcza wywoływały duże poruszenie wśród mieszkańców Brzezin i kolonii Serwituty. Ponieważ młodzi należeli do harcerstwa i miejscowego „Strzelca”, obie

drużyny zapowiedziały swoją asystę w czasie ślubu. Pod wpływem pani Matyldy, która w czasie wojny ocalała dwór, pan Włodzimierz dał do dyspozycji organizatorów wesela cały salon i kuchnię z obsługą. Potrzebne były tylko pomocnice kucharzy, produkty i menu, czyli wykaz i ilość poszczególnych dań.

Rodzice Ani przeznaczyli do uboju jałowkę i kabana oraz odpowiednią ilość drobiu, a dziadek Walerian zapowiedział, że nie będzie szczędził oszczędności na wesele swojej wnuczki. Swój udział i pomoc materialną w organizacji wesela zadeklarował brat Kazimierza, Władysław, który był ojcem chrzestnym Ani. Zaangażował on znaną i popularną kapelę, pomógł w przygotowaniu salonu, w którym miało się odbyć wesele, i razem z panią Matyldą pokierował pracą kuchni. Na ślub, który planowany był po mszy świętej, jechało kilkanaście furmanek. Świętecznie przystrojona świątynia w Ludwipolu była wypełniona wiernymi. W środku, naprzeciw ołtarza stanął orszak weselny. Na czele młoda para – Ania w białej, długiej sukni i powłóczystym tiulowym welonie, obok niej Witold w czarnym garniturze. Za nimi kilka par druhen w białych sukniach i drużbów w czarnych garniturach. Po prawej stronie prezbiterium widoczny był sztandar harcerski w asyście dwojga umundurowanych harcerzy, po lewej – podobna asysta strzelecka. Twarze młodych były pogodne, jaśniejące szczęściem. Oto za chwilę przeżyją tak bardzo oczekiwane misterium sakramentu małżeństwa i staną się mężem i żoną... Ten akt nastąpił po mszy świętej celebrowanej w ich intencji. W liturgicznym obrzędzie tego sakramentu głęboko wzruszały wypowiedziane przez nich słowa „tak”, wzajemne wkładanie obrączek oraz formuła wygłoszona przez kapłana na zakończenie tego aktu:

– Oto wobec Boga i tu obecnych ogłaszam was mężem i żoną. Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela.

Po tych słowach kapłan podał rękę młodym, gratulując im i życząc łask Bożych.

Po wyjściu z kościoła zgodnie z tradycją młoda para obsypana została ziarnami zboża. Następnie składano im życzenia. Jako pierwsi wzięli ich w ramiona wzruszeni rodzice i dziadkowie, a po nich najbliższa rodzina

i sąsiedzi. Gdy zgiełk owacji i życzeń oraz śpiewu *Sto lat życia Młodej Parze* przycichł, zjawił się Żyd – fotograf. Jego aparat fotograficzny, osadzony na wysokim trójnogu, był przykryty czarnym sukniem. Operator włożył głowę pod to sukno i regulował obiektyw, ustawiał młodą parę i osoby jej towarzyszące i wreszcie po słowie „Uwaga!” zdejmował przykrywkę obiektywu, by po sekundzie go przykryć. Takich ujęć zrobił kilka. Zdjęcia miały być gotowe za kilka dni, po wykonaniu obróbki laboratoryjnej klisz.

Teraz już orszak weselny mknął przez las ze srebrzystym jazgotem janczarów na końskich karkach. Pierwsza para koni, wioząca młodych, z brawurą i fantazją podjechała i zatrzymała się przed werandą i wejściem do salonu. Na stopniach werandy stał gospodarz dworu i w asyście pani Matyldy witał młodych chlebem i solą. Po obu stronach werandy zgromadzona była młodzież polska i ukraińska, która wiwatowała na cześć młodych małżonków. Gdy młodzi z orszakiem weszli do salonu, powitała ich kapela ognistym marszem, a zgromadzona tam młodzież z entuzjazmem odśpiewała życzeniowe ludowe wersety (Ukraińcy nazywają je *czastuszkami*. Swoje emocje lud kresowy – polski i ukraiński – rozładowywał śpiewając pieśni). Gdy ten dwujęzyczny, powitalno-życzeniowy recital dobiegł końca, wodzirej zaprosił do zajmowania miejsc przy suto zastawionym stole, a właściwie stołach ustawionych w dwóch długich rzędach, na których dymiły już gorące potrawy. W pierwszym rzędzie tych stołów, usytuowanych o stopień wyżej, w centralnym miejscu zasiadła młoda para. Obok nich rodzice Ani i opiekunka Witolda. Naprzeciw młodych, po drugiej stronie stołu, siedział pan Włodzimierz z żoną, a obok nich pani Matylda i seniorzy – goście weselni. Drugi rząd stołów był przeznaczony dla młodzieży.

Młodzież z dużym apetytem szybko uporała się zawartością mis i talerzy na swoim stole i naczynia, a następnie stoły wyniesiono z salonu, robiąc miejsce na tańce i inne wystąpienia.

Podczas gdy przy głównym stole krążyła anyżówka i trwały toasty, przy dźwiękach kapeli młodzież z impetem i właściwą jej werwą ruszyła do tańca. Było dużo młodzieży ukraińskiej, mieniły się w tańcu czerwone



hafty na białych bluzkach ukraińskich dziewcząt. Zmieniały się teksty śpiewanych w tańcu piosenek – raz ukraińskie, raz polskie Wreszcie nastąpiły *prysiudy* chłopców ukraińskich. Towarzyszyły im miarowe oklaski otaczającej ich młodzieży.

Wreszcie całkiem niespodziewanie, jak spod ziemi, na sali pojawili się wagabunda Sawko i jego ruski partner, brodiaga Mykołka. Jak już wcześniej wspomniano, obaj byli utalentowani wokalistami. Mykołka był kiedyś popularnym basem na deskach opery w Petersburgu, ale na skutek jakichś problemów rodzinnych wykoleił się i stał się brodiagą (co w języku rosyjskim oznacza: włóczęga). Nie stracił jednak pięknego głosu – basu i chęci do śpiewu. Nie znał języka polskiego, ale wszyscy obecni na weselu znali rosyjski. Recital solowy Mykołki był wielką atrakcją imprezy weselnej. Podobnie zachwycał duet ich obu. Postanowiono dać im chwilę wytchnienia i posiłek. Gdy zasiedli do stołu, Mykołka od razu zażądał anyżówki, ale czujny wodzirej powiedział:

– Dobrze, ale po imprezie.

Mykołka miał skłonność do alkoholu, nie miał jednak pieniędzy na jego zakup. Był człowiekiem łagodnym, jeżeli za wiele nie wypił. Wiedział o tym Sawko i gdy ktoś zachwycony jego występem ofiarował mu butelkę wódki, Sawko mu ją zabierał, a później ostentacyjnie wyrzucał do Słuczy lub innego akwenu. Mykołka patrzył na to z żalem, ale nie reagował gniewem. Podobnie teraz, też z żalem, ale spokojnie zabrał się do posiłku. W tym czasie kapela wystąpiła ze specjalnym utworem do tańca młodej pary. Oboje wyszli na parkiet. Ania, już bez welonu, w białej sukni, z pięknym warkoczem zwisającym na plecach i wiankiem z wiosennych kwiatów na głowie, obok nieco wyższego Witolda w czarnym garniturze wyglądali pięknie. Powitani brawami, rozpoczęli taniec. Rzec by się chciało: taniec spełnionego szczęścia. Przy aplauzie wszystkich uczestników wesela tańczyli pięknie. Ze łzami szczęścia w oczach patrzyli na nich Martynka i Kazimierz. Pamiętali, jak wspaniały sen, swoje szczęście w pierwszym małżeńskim tańcu... Teraz widzą i rozumieją jak nikt stan ducha ich jedyne ukochanego dziecka – Ani i jej męża Witolda, którego kochali jak syna. Prezencja i dostojność tej pary onieśmiała innych,

by ruszyć do tańca, więc tylko brawami wyrażali swój aplauz. Za stołem wśród seniorów padały życzenia: „Boże, błogosław im” lub: *Hospodi, błohodaryj ich*.

Gdy taneczny spektakl pary małżeńskiej dobiegł końca i młodzi zasiedli za stołem, kapela podjęła inny motyw muzyczny, taki podrywający do tańca. Nastął gwałtowny war: tańca, śpiewu i śmiechu, czego niektórzy seniorzy nie potrafili wytrzymać, więc w geście pożegnalnym kłaniali się wszystkim i odchodzili do domów. Lud kresowy, zwłaszcza młodzież, jest spontaniczny, skłonny do żywiołowego śpiewu i tańca.

Gdy zapiały pierwsze koguty, konie podjechały pod wejście do sali weselnej i młoda para, kłaniając się i dziękując wszystkim, opuszczała dom weselny w atmosferze wiwatów, życzeń i śpiewu na ich cześć. Razem z nimi wychodzili dziadkowie i rodzice Ani oraz ci starsi, którzy już czuli fizyczne zmęczenie. Młodzież pozostała i bawiła się do białego rana.

Młode małżeństwo zamieszkało w domu Witolda, specjalnie dla nich przygotowanym i odnowionym.

## Druga wojna światowa

Słońce grzało silniej, powiewał cieplejszy wiatr. Wiosna obudziła z zimowego snu całą naturę. Pierwszymi jej objawami były kwitnące dzikie czereśnie. Później, gdy śnieg uwolnił łąki, zakwitły na nich żółte kaczeńce. Ożywił się ruch różnego ptactwa, przede wszystkim tego wodnego. No i przyleciały bociany, ich klekot i wachlowanie skrzydłami z radością i nadzieją witał i mobilizował do prac polnych tutejszy lud. Gospodarze przygotowywali sprzęt rolniczy i zajęli się chudobą. Krowy w ciepłych i dusznych oborach, czując wiosnę i zapach świeżej trawy, porykiwały, coraz niecierpliwiej, domagając się wyjścia na zewnątrz. To wszystko, ten radosny świergot ptactwa, które przeżywało swój okres godowy, ten wspaniały zapach wiosny, który zawsze budził optymizm i jednocześnie stawiał wyzwania gospodarcze rolnikom, w tym 1939 roku zakłócony był troską ludności polskiej o pokój i bezpieczeństwo ojczyzny.

Polityczne awanturnictwo Hitlera rozwijało się. Po aneksji czeskich Sudetów w Monachium nastąpiło spotkanie Hitlera z czechosłowackim prezydentem, Emilem Háchą. Zawarto tam układ, podyktowany przez Hitlera, wedle którego Czechy i Morawy zostały włączone do Rzeszy Niemieckiej. Na mocy tego układu wojska niemieckie weszły na ten teren, nie napotykając oporu czechosłowackich sił zbrojnych. Tak więc Polska została okrążona przez Niemcy od północy, zachodu i południa. Dla Europy, a szczególnie dla Polski sytuacja stawała się coraz bardziej poważna, żeby nie powiedzieć: groźna. Na falach polskich rozgłośni radiowych nadawano patriotyczne, krzepiące ducha przemówienia naszych działaczy politycznych, a w międzyczasie aktualne komunikaty

polityczne. Dla pokrzepienia serc polscy artyści włączali swój program, by złagodzić niepokój. Dla przykładu: z rozgłośni lwowskiej w audycji „Wesoła lwowska fala” Szczepcio i Tońcio śpiewali:

*Hitler Háchę wziął pod pachę,  
ten z uciechy oddał mu Czechy.*

Jednak tu nie było już żartów. Hitler zajął litewski port Kłajpedę i panował nad morzem Bałtyckim także od północy. Polsce postawił ultimatywne żądania: włączenie Wolnego Miasta Gdańsk do Rzeszy Niemieckiej i budowę eksterytorialnej autostrady, łączącej Niemcy z Prusami Wschodnimi.

Początkowo Hitler próbował nakłonić Polskę do aliansu z nim przeciw Europie. Czyli chciał, aby Polska włączyła się we wszystkie jego agresywne plany. Odpowiedź Polski była zdecydowanie odmowna. Ciągłe jednak Niemcy próbowały drogą dyplomacji nakłonić Polskę do tej militarnej współpracy i w tym celu do Polski przyjeżdżał minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop. Jednak wszystkie zabiegi Hitlera, te o współpracę i te roszczeniowe, zostały przez Polskę odrzucone, a w czasie debaty polskiego parlamentu w tej sprawie nasz minister spraw zagranicznych, Józef Beck, powiedział: „My w Polsce nie znamy pojęcia pokój za wszelką cenę”. Powiedział też, że jedną z głównych naszych motywacji i argumentów takiego stanowiska jest honor. To oświadczenie ministra Becka spotkało się z żywiołową owacją na stojąco całego parlamentu. Był to ostateczny sygnał dla Hitlera, że Polska się nie cofnie i gotowa jest militarnie bronić swojej suwerenności.

\*

A jak w tym czasie zachowywali się Ukraińcy – obywatele Polski? Wielu z nich, a może nawet większość, chociaż na pewno obawiała się skutków działań wojennych, w podnieceniu oczekiwała Niemców, jako że docierała tu propaganda niemiecka i obietnica Hitlera o niepodległej Ukrainie, na którą on wyrazi zgodę. W tym miejscu warto wspomnieć, że społeczeństwo ukraińskie w Polsce było politycz-

nie podzielone. Byli zwolennicy Niemców, Sowietów, ale też wielu Ukraińców było zwolennikami państwa polskiego, a przynajmniej byli lojalni wobec niego.

Natomiast polscy Żydzi bali się Niemców. Gdyby doszło do konfrontacji zbrojnej, życzyli Polsce zwycięstwa.

\*

Mijała piękna w swoim żywiole wiosna. Przyszedł czerwiec i pracowite sianokosy. Dookoła słychać było brzęk ostrzonych kos, a powietrze przesycone było aromatem schnącej w słońcu trawy i ziół. W sąsiadujących z Brzezinami lasach nastąpił wysyp czarnych jagód, malin i pachnących poziomek. Były wakacje, na zbiór runa leśnego szły całe rodziny z dziećmi.

Najchętniej zbierano czarne jagody, zwane tu *czernicami*. Gdy z pełnymi koszami zbieracze wracali do domu, dzieci miały czarne buzie. Bardzo popularne tu były pierogi z czernicami, ale (jak wcześniej wspomniano) te jagody przeznaczone były głównie na susz. Piękna pogoda sprzyjała sianokosom, ale też przyspieszyła żniwa. Najpierw koszono rzepak i ozimy jęczmień, a później żyto i pszenicę.

\*

Żniwa miały się już ku końcowi, gdy 23 sierpnia wszystkie rozgłosnie radiowe podały komunikat, że w Moskwie spotkali się ministrowie Ribbentrop i Mołotow. Jakby w reakcji na to następnego dnia, czyli 24 sierpnia, nastąpiła w Polsce cicha (nieogłaszana) mobilizacja. Sołtysi doręczali powiastki, czyli wezwania rezerwistów do stawienia się w swoich jednostkach.

Z Brzezin wezwania otrzymało kilkunastu Ukraińców i kilku Polaków. Wśród nich Kazimierz Lipiński. To było wezwanie wyjątkowe, Kazimierz nie był bowiem rezerwistą. Wpłynęło na to widocznie jego zaangażowanie w organizacji „Strzelec” i kursy instruktazowe, jakie odbył. Z wezwania wynikało, że ma się zgłosić do batalionu antydywersyjnego w Kostopolu. Brat Kazimierza, Władysław, sądził, że ta jednostka jest

wzmocnieniem KOP, mającego za zadanie likwidację dywersyjnych band na zapleczu walczącego Wojska Polskiego w wypadku wojny.

Ta mobilizacja była wielkim wstrząsem dla ludności polskiej, szczególnie dla rodziny Lipińskich. Martynka tak boleśnie przeżywała rozłąkę z mężem, że gdyby to było możliwe, poszłaby razem z nim. Gdy wezwani odjechali, wszystkie rodziny polskie zgromadziły się przy krzyżu. Zanoszono błagalne modły o utrzymanie pokoju, o powstrzymanie Hitlera od szaleństwa, o powrót zmobilizowanych do ich rodzin. Martynka, spuchnięta od płaczu, klęczała pod krzyżem, a przy niej Ania i Witold, którzy opiekowali się nią i pocieszali.

Była nadzieja, że Hitler nie zaryzykuje rozpoczęcia wojny z Polską, która miała układ o wzajemnej pomocy z Francją i Anglią, ale niepokojące były jakieś tajne rozmowy między Ribbentropem i Mołotowem z udziałem Stalina. W tym przygnębiającym stanie niepewności Polacy starali się ukończyć żniwa i zwieźć do stodół to, które już wyschło.

\*

I stało się. Tydzień po dniu mobilizacji w Polsce, o świcie w piątek pierwszego września 1939 roku, samoloty niemieckie nagle, bez wypowiedzenia wojny, zbombardowały miasta i strategiczne punkty naszego kraju, a jednocześnie ich wojska przekroczyły granicę Polski. Rozgorzała pożoga wojenna, szczególnie na terenach przygranicznych z Niemcami. Armia polska usiłowała powstrzymać najeźdźców. Odgłosy walk i wybuchy bomb nie dochodziły do Brzezin, ale gdy w piątek rano pani Matylda włączyła aparat radiowy, usłyszała orędzie prezydenta Ignacego Mościckiego do narodu polskiego. Prezydent zawiadamiał naród o tym, że nasz odwieczny wróg, Niemcy, bez powodu i bezprawnie napadł na naszą ojczyznę. Prezydent apelował, aby cały naród skupił się wokół naczelnego wodza i walczył z wrogiem aż do zwycięstwa. Komunikat ten był powtarzany, a w międzyczasie nadawano muzykę marszową lub krzepiące ducha przemówienia działaczy patriotycznych.

A tymczasem zacięte walki trwały. Bohatersko broniła się załoga Westerplatte. Wróg miał przewagę nad nami w lotnictwie i broni pan-



cernej. Polska Armia „Pomorze”, wzięta w boju w kleszcze pancernych dywizji niemieckich ze wschodu i zachodu, wycofała się z „korytarza”. W skład tej armii wchodziły jednostki wojskowe z Wołynia. W walkach pod Świekatowem zginął Roman Różański. O jego śmierci rodzina dowiedzieć się dopiero po wojnie.

Mimo przewagi wróg ponosił straty. Armia „Pomorze”, pod dowództwem gen. Kutrzeby, w bitwie nad Bzurą odniosła zwycięstwo, zadając Niemcom duże straty.

3 września Francja wypowiedziała wojnę Niemcom. Wywołało to wielki entuzjazm i nadzieję wśród społeczeństwa polskiego. Mimo zagrożenia ze strony lotnictwa niemieckiego, w Warszawie odbyła się wielka manifestacja i aplauz dla naszych sojuszników. Liczono na to, że utworzenie frontu walk na zachodzie radykalnie zwiększy szanse obronne Polski. Jednak Hitler ogłosił, że Niemcy Francji się nie boją i nadał prowadził ofensywne działania na nasz kraj. Po ciężkich bojach pod Kutnem pancerne zagony wroga parły na Warszawę. Po siedmiu dniach bohaterskich walk poddała się załoga Westerplatte. Dowództwo obrony Warszawy nie zamierzało kapitulować. Szykowano się na bezpardonową walkę z najeźdźcą. Prezydent Warszawy i jednocześnie przewodniczący Komitetu Obywatelskiego Obrony Warszawy Stefan Starzyński w swoich patriotycznych, krzepiących przemówieniach budował ducha walki. Po dziesięciu dniach i wielu przegranych bitwach Armia Polska cofała się, ale nie została rozbita, a Warszawa się nie poddała. Natomiast dało się zauważyć, że wojska niemieckie wytraciły już pierwotny impet ofensywny, potrzebują odbudowy poniesionych strat, a ich możliwości bojowe są słabsze, tym bardziej że zbliżały się do terenów leśnych, podmokłych i piaszczystych, po których ciężki sprzęt wojskowy miał ograniczone możliwości działania. Gdyby w tym czasie zaatakowała Francja i Anglia, losy tej wojny mogły mieć zgoła inny przebieg. Jednak okazało się, że nasi sojusznicy nas zdradzili i nie podjęli żadnych działań, skazując Polskę na samotną walkę z potęgą niemieckiego napastnika. Mimo to dowództwo Armii Polskiej nie myślało o kapitulacji i walki trwały.

Martynka z rodzicami, Anią i Witkiem cały czas bardzo niepokoił się losem Kazimierza i Romana. Wieczorami wspólnie modlili się o ich ocalenie i powrót do rodzin. W Sarnach, Ludwipolu, a nawet w Brzezinach pojawiło się dużo uchodźców cywilnych z zachodu Polski, którzy opowiadali tutejszym ludziom o okropnościach tej wojny. Samoloty wroga nie szczędziły cywilów. Bombardowały szkoły, szpitale, kościoły i ich, uchodźców, na drogach.

Tymczasem 17 września o świcie mieszkańcy Brzezin zostali obudzeni ostrym gradem broni maszynowej, To oddziały KOP kierowały ogień na przekraczające naszą granicę wojska sowieckie. Jazgotowi karabinów maszynowych towarzyszyły silne wybuchy pocisków artyleryjskich, a potem odgłos motorów broni pancernej. Wkrótce na ulicy Brzezin i między domami zaroilo się od czerwonoarmiejców. Kontrolowali budynki gospodarcze, mieszkalne, po czym szli dalej, a za nimi czołgi i samochody pancerne. Przy granicy zostały rozbite polskie bunkry i umocnienia przygraniczne, a przy nich poległo wielu naszych bohaterów, żołnierzy KOP.

Ukraińcy od razu, samorzutnie zorganizowali milicję, uzbrojoną w karabiny zdobyte podczas napadów na pojedyncze grupki żołnierzy polskich lub przyniesione przez ukraińskich dezertersów z naszej armii. Te bandy tak zwanej milicji nachodziły rabunkowo rodziny polskie i dwór. Pani Matylda, chociaż wówczas nie mieszkała przy dworze, mogła go skutecznie bronić, jednak tego nie robiła, ale tajnie spotkała się z Mikołajem i powiedziała mu:

– Brońcie dworu, a właściwie udawajcie, że bronicie. Na ścianach budynków wypiszcie: *Worował' nie!zia. Eto sobstwiennost' narodnoj włas'ti.* (Kraść nie wolno. To własność władzy ludowej)

I tak Mikołaj postępował. Gdy ktoś wyprowadzał krowę z obory, udawał, że tego nie widzi. Innym razem krzyknął na kogoś:

– *Ostaw', eto kazionnoje!* (Zostaw, to państwowe.)

Ludzie nie wiedzieli, jak bezwzględna jest władza sowiecka w przypadkach kradzieży, więc niektórzy lekceważyli nakazy Mikołaja.

Polacy ze zgrozą stwierdzili, że nasz kraj pada pokonany przez zmo-  
wę dwóch potęg totalitarnych. Działo się to na oczach wszystkich krajów  
Europy i świata. Polska, która na przestrzeni dziejów broniła Europy od  
najazdów Azjatów, a w roku 1920 osłoniła ją przed zalewem bolszewic-  
kim, teraz miała spłonąć na stosie jak Dziewica Orleańska?...

Agonia państwa polskiego była przerażająca. Śmiercionośna machi-  
na napastników skierowana była nie tylko na wojsko polskie i obiekty  
strategiczne, ale też na ludność cywilną. W pewnym stopniu odważy-  
ły się nam pomóc Węgry i Rumunia. Ta ostatnia otworzyła granicę dla  
uchodźców polskich, skąd przechodzili do Węgier i dalej, do Francji.

Pani Matylda mieszkała przy szkole. Gdy usłyszała strzały przy gra-  
nicy, włączyła radio na rozgłośnię w Baranowiczach. Usłyszała ostatnie  
słowa tej rozgłośni: „Na ulicach Baranowicz wojska sowieckie, to są ostat-  
nie słowa z naszej rozgłośni”. Przetawiała odbiornik na Warszawę, skąd  
otrzymała potwierdzenie tej wiadomości i słowa ogłaszające, że Sowietci,  
gwałcąc pakt o nieagresji z Polską, o świcie 17 września wtargnęły na  
tereny suwerennej Polski, zadając cios w plecy armii polskiej walczącej  
z Niemcami. Pani Matylda nie mogła w tym momencie przekazać tej  
hiobowej wieści polskim sąsiadom. Musiała się skupić i wymyślić sposób  
na ukrycie aparatu radiowego.

Ludzie jednak sami zbiegli się do niej. Przyszła Martynka z Anią  
i Witkiem oraz inni Polacy. Z początku był tylko płacz, a później padały  
pytania:

– Co się stało? Dlaczego?

– To było do przewidzenia po wizycie Ribbentropa w Moskwie – wy-  
jaśniała Matylda. – Ale nie popadajmy w panikę. Teraz modlitwa i jesz-  
cze raz modlitwa, a później zobaczymy.

Odwiedzali ją też zdeorientowani miejscowi Ukraińcy, a wiedząc,  
że pani Matylda ma radio, przyszli po informację. Powiedziała im, że  
sama nie wie, co się dzieje, bo właśnie kilka dni temu oddała radio  
do naprawy w Sarnach. Matylda nigdy publicznie nie ogłaszała, że jest  
patriotką polską. Traktowała wszystkich we wsi jednakowo, niezależ-  
nie od ich pochodzenia. Toteż przez Ukraińców i niektórych niewta-

jemniczonych Polaków uważana była za Rosjankę znającą język polski i ukraiński.

Ale oto za armią czerwoną szli *aparaczyki* NKWD i organizowali system władzy sowieckiej. Najpierw powstawały rady miejskie, swoją jurysdykcją obejmujące cały rejon. Rady te były „demokratycznie” wybierane. A odbywało się to tak: najpierw po mieście rozwieszono odpowiednie ogłoszenia zawiadamiające o demokratycznych, wolnych wyborach do rady miejskiej i wzywające ludzi do wzięcia udziału w głosowaniu. Chodziło o przegłosowanie ustalonych już z góry kandydatów. Obok takich afiszy wisiały zachęty: „Wszyscy do urn, tylko wróg nie pójdzie głosować”. Ta zachęta, a raczej groźba, wpłynęła na frekwencję, a to dla władzy było najważniejsze, reszta, czyli wyniki głosowania były w jej rękach. W czasie doboru kandydatów z góry ustalonych przez władzę odpowiedni ludzie podawali te nazwiska. Jeżeli ktoś odważył się zakwestionować jakiegoś kandydata, musiał to uzasadnić. Wtedy przewodniczący oznajmiał, że wyborcy słyszeli zarzuty i podejmą decyzję przy głosowaniu, i nie skreślał kwestionowanego. Po głosowaniu specjalnie dobrana komisja skrutacyjna obliczała głosy i wybierała personalnie zalecanych przez komitet wyborczy kandydatów.

Podobnie wybierano *silrady*, czyli rady wiejskie. Jednak populacja ludzka na wsi jest rozproszona, trudna do kontroli. Związek Sowiecki obawiał się kontrrewolucji, której zarzewie mogło się rozwijać w różnych krajach tego imperium, a szczególnie w krajach świeżo podbitych. Władza sowiecka miała na to sposób, który stosowany był przez *silradę*. Polegał on na podziale politycznym gospodarstw chłopskich. Według instrukcji *silrada* na podstawie uchwały podzieliła gospodarstwa chłopskie na bidniaków, średniaków i kułaków. Kryteria były proste: bidniak to gospodarz posiadający do dwóch dziesięcin ziemi albo całkiem bezrolny, wynajmujący się do pracy u tych bogatszych, średniak to właściciel do pięciu dziesięcin i żyjący na przeciętnym poziomie materialnym i wreszcie kułak to gospodarz posiadający ponad pięć dziesięcin i żyjący dostatnio. Ten podział określał preferencje polityczne: bidniak był faworyzowany przez władzę, średniak tolerowany, a kułak dyskryminowany.

Uchwałą *silrady* można było dowolnie ograniczać dobra materialne kułaka, przekazując je bidniakom lub na potrzeby *silrady*. Pozycja średniaka też nie była pewna, bo łatwo było wymyślić powód, dla którego można było przekwalifikować go na kułaka. Poza tym wprowadzono mit wroga klasowego, nawołując do czujności, bo taki wróg mógł być wśród nich. To był sposób podziału i wzajemnej nieufności, który wykluczał zbiorowy sprzeciw chłopstwa. Po prostu sąsiad sąsiadowi nie ufał.

Ta bezradność chłopstwa ułatwiła władzy kolektywizację gospodarstw, czyli organizację kołchozów. Oficjalnie głoszono, że kolektywizacja jest dobrowolna i rzeczywiście tak było, ale jakie inne wyjście miał chłop, na którego nałożono podatek w naturze tak duży, że prowadził do bankructwa jego gospodarstwa?...

Gospodarstw polskich nie kolektywizowano. Wobec naszej grupy etnicznej władza miała inne plany – zamierzano usunąć ludność polską z tych terenów. Pierwszym tego dowodem i strasliwym wyrazem był niespodziewany wywóz Polaków i ich rodzin do Archangielskiej obłasti – terenu północnej Rosji, leżącego w strefie koła podbiegunowego.

Dokonano tego 10 lutego 1940 roku w czasie wielkich mrozów i przy grubej warstwie śniegu. W środku nocy, gdy ludzie spali, uzbrojeni funkcjonariusze władzy walili do drzwi kolbami karabinów i ostro wołali:

– *Otkrywaj po prikazu sowietskoj własti!* (Otwieraj, to rozkaz władzy radzieckiej.)

Żołdacy wchodzili do mieszkań i oświadczały nieszczęsnym rodzinom, że decyzją rządzącej władzy są przeznaczone do deportacji. Na spakowanie niezbędnych rzeczy czas był ograniczony. Przed domem stały już furmanki–sanie. Można sobie wyobrazić dramat tych ludzi podczas takiego nocnego napadu... Deportowanych wieziono do najbliższej stacji kolejowej, gdzie czekały na nich bydlęce wagony kolejowe, do których ładowano po kilka rodzin i wieziono na wschód. Taki los spotkał rodzinę Lipińskich z kolonii Serwituty. Był to wielki cios dla seniorów Rózańskich, a także dla Martynki, Ani i Witolda. Nie mieli pojęcia, co tej strasznej nocy dzieje się u ich bliskich. Nie pożegnali ich i nie wiedzieli, gdzie ich powieziono. Z Brzezin wywieziono oprócz Lipińskich

kilka rodzin po poległych 17 września żołnierzach KOP i rodzinę chłopca ukraińskiego, przesiedleńca z terenów bolszewickich, który ucierpiał od NKWD i gdy zamieszkał na terenach polskich (też w kolonii Serwituty), swojemu buhajowi nadał imię Stalin. To go zgubiło. Już w pierwszych dniach, gdy Sowieci wtargnęli do Polski, aresztowali go i wywieźli do obozu, z którego się nie wraca, a 10 lutego wywieźli jego rodzinę. Buhaja – niewinne zwierzę – zastrzelili.

\*

Nastały ciężkie czasy dla ludności polskiej. Historia zatoczyła nieduże koło i znów Polacy znaleźli się w niewoli, która okrucieństwem tę z czasu zaborów znacznie przewyższała. Do troski o los Kazimierza i Romana doszła nowa przerażająca w swoim okrucieństwie – nocna, przy 30-stopniowym mrozie, wywózka w nieznane całej rodziny Władysława. Jak później mówiono: „na nieludzką ziemię”. W domu seniorów Różańskich szczególnie wieczory były trudne. Martynka przeżywała stan załamania. Ania i Witold otoczyli ją troskliwą opieką, nie opuszczali jej ani na chwilę, starając się wzbudzić w niej nadzieję. Pomagała w tym ich wspólna modlitwa.

\*

Wcześniej poznaliśmy wojenny los Romana, który w pierwszych dniach wojny zginął w walce z Niemcami, a jaki los spotkał Kazimierza? Jego jednostka stacjonująca w Kostopolu po wtargnięciu do Polski sowieckiej armii pośpiesznie wycofywała się z Wołynia w kierunku Lwowa, ale zmotoryzowane jednostki sowieckie były szybsze i polska jednostka została okrążona. Wywiązała się bitwa, w czasie której Polacy przerwali okrążenie i wycofywali się w kierunku Bieszczad. Tu jednak powtórnie zostali okrążeni. Dowódca, widząc beznadziejne położenie i chcąc oszczędzić życie żołnierzom, postanowił poddać się do niewoli. Po rozbrojeniu bolszewicy pogнали polskich jeńców na stację kolei, gdzie załadowano ich do bydłowych wagonów i zaryglowano drzwi. Po pewnym czasie pociąg ruszył na wschód.

Jak wiemy, wrzesień w roku 1939 był upalny i suchy. Żołnierze pragnęli wody. Zamknięci w wagonach wołali o wodę. Gdy zbliżał się



wieczór, żołnierze nie tylko wołali „wody, wody!”, ale wprost wyli z pragnienia. Pociąg właśnie wjechał na perony dworca w Tarnopolu. Tu była woda. Bolszewicy dostarczyli wiadra i beczki, z każdego wagonu wypuszczono po dwóch lub trzech naszych żołnierzy, którzy mieli nosić wodę od pomp na peronie do wagonów. Drzwi wagonów były uchylone na tyle, że można było tylko rękę z manierką wystawić dla zacierpięcia wody. Trwało to dość długo, a straż pilnowała szczególnie tych, którzy nosili wodę. Wśród tych noszących był Kazimierz. Gdy po pewnym czasie dowódca straży krzyknął: *Chwatit etogo, wchadi i zakrywaj wagon!*, Kazimierz uznał, że to jedyna szansa ucieczki. Nie namyślając się, bo nie było na to czasu, dał nura pod wagon. Usłyszał za sobą krzyki i strzały, ale on był już na drugim peronie, przy którym stał drugi rząd wagonów. Te również sforsował i wpadł pomiędzy jakieś budynki. Biegł dalej, słysząc za sobą krzyki i pojedyncze strzały. Teraz już nie dbał o nie. Uważnie patrzył przed siebie i wokół siebie, aby się nie natknąć na innych bolszewików. Dostrzegł przed sobą jakiś skwer czy park, było już całkiem ciemno. Szedł teraz wolno, myśląc, w jakim kierunku iść, aby znaleźć się poza miastem. Udało mu się. Wkrótce szedł polem i w oddali zobaczył jakieś osiedle, o czym świadczyły słabe światła w oknach. Przyśpieszył i znalazł się przy pierwszej zagrodzie. Gdy się zbliżył, usłyszał rozmowę dwóch kobiet, które czerpały wodę ze studni. Z radością stwierdził, że mówią po polsku. Podeszedł do ogrodzenia i pozdrowił kobiety słowami:

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odpowiedziały zaskoczone kobiety i podeszły bliżej do ogrodzenia, by przyjrzeć się przybyszowi.

– O!... – zawołała jedna z nich, patrząc na mundur. – Pan jest żołnierzem polskim!

– Byłem nim, ale nasz batalion dostał się do bolszewickiej niewoli. Wieźli nas w wagonach do Rosji i mnie udało się uciec – wołyńską polszczyzną odrzekł Kazimierz.

– To pan chyba głodny i zmęczony? Prosimy do naszego domu na posiłek. Mój brat też był na wojnie, ale po rozwiązaniu jego wojskowej

jednostki udało mu się wrócić do domu. W naszym osiedlu mieszkają tylko Polacy. Niech pan będzie spokojny.

Kazimierz bardzo chętnie skorzystał z zaproszenia. W domu poznał jej męża i całą rodzinę, wśród której był również wspomniany przez nią brat. Gospodyni dała mu ręcznik i misę wody, by mógł się umyć, a po chwili na stole dymił gorący posiłek. Gdy się najadł i napił, opowiedział, skąd pochodzi, kogo zostawił w domu i co przeszedł w ostatnich dniach. Po wysłuchaniu jego opowieści gospodarz domu powiedział:

– Pan jest wyczerpany, proponuję pozostać u nas kilka dni, a później zadecyduje pan, jak wrócić do domu.

– O nie, dopóki są u nas bolszewicy, ja nie mogę wrócić do swoich stron. – I opowiedział im historię swojego porwania i ucieczki. – We wsi wiedzą o tym i na pewno ktoś by doniósł. Oprócz tego byłem dowódcą drużyny „Strzelec”, czego oni też nie tolerują. Gdybym tam wrócił, represje spadną na całą moją rodzinę.

– Słyszałem – rzekł gospodarz – że Rumunia otworzyła swoją granicę dla Polaków i sporo żołnierzy polskiego wojska kierowało się na Zaleszczyki, ale nim pan dojdzie, już będą tam bolszewicy.

– Muszę uciekać na zachód do terenów zajętych przez Niemcy – odrzekł Kazimierz. – Może uda mi się ukryć wśród ludności polskiej, a jeżeli schwytają mnie Niemcy, to wydadzą mi się, że bolszewicy są gorsi.

Żona gospodarza pochodziła z Wołynia, jej rodzice i rodzeństwo żyli w pobliżu stacji kolejowej Maniewiczze. Kazimierz napisał list do swojej żony, zawiadamiając ją, że żyje, jest zdrowy i tylko nie może wrócić do domu z wiadomych jej względów. Polecił ich wszystkim Opatrzności i zalecał trwać w nadziei, że przyjdzie czas, kiedy znów będą razem. Pozostawił ten list z adresem w domu gospodarzy, prosząc o dostarczenie go jego żonie, gdyby nadarzyła się taka okazja.

\*

Po kilku dniach pobytu w gościnnym domu, odpowiednio zaopatrzony w żywność i odzież, Kazimierz wyruszył na zachód. Gdy zegnał się z bratem gospodyni, który wrócił z wojny, ten dał mu nieduży rewolwer, mówiąc:

– Proszę go ukryć przy sobie. Jest sześćostrzałowy, z zapasowym magazynkiem. Może się panu przydać, a gdyby sytuacja tego wymagała, może pan go wyrzucić. Kilku mieszkańców naszego osiedla wróciło z wojny, skąd przynieśliśmy trochę broni, którą ukryliśmy.

Kazimierz serdecznie mu podziękował, broń włożył do kieszeni i o zmierzchu wyruszył. Szedł polnymi drogami lub na przełaj przez pola. Przed wymarszem, jeszcze w gościnnym domu Polaków, dokładnie przestudiował mapę, o którą postarał się gospodarz. Miał wytyczony plan marszu za rzekę Bug, gdzie już byli Niemcy. Tam będzie szukał jakiegoś schronienia w tułaczym życiu. Było ciepło, Kazimierz szedł nocą, a w dzień w krzakach wypoczywał. W czasie tej wędrówki przypominał sobie dramatyczną ucieczkę z za Donu. Warunki były nieporównywalne. Teraz szedł po polskiej ziemi, w większości zamieszkaney przez Polaków, unikał tylko większych skupisk ludzkich i dróg, gdzie mógł natknąć się na Niemców.

Wreszcie dotarł do Bugu. Był jeszcze dzień, gdy w oddali zobaczył porośnięty łożą brzeg tej rzeki. Ukryty w pewnej odległości w krzakach, obserwował tę rzekę i oczekiwał nocy, aby ją sforsować. Gdy tak patrzył, w pewnym momencie z przerażeniem zobaczył dwóch bolszewików z bagnetami na broni, idących wzdłuż swojego brzegu rzeki. Po chwili dwóch innych przemknęło na koniach. „Pilnują rzeki” – z przejęciem pomyślał i zastanawiał się, jak sobie poradzi z jej sforsowaniem. Jednak nie rezygnował, czekał nocy i okazji. Gdy zapadł mrok, zauważył, że mają latarki elektryczne. Z jednej strony to źle, z drugiej dobrze, bo wiadomo, gdzie są. Kiedy już było całkiem ciemno, ostrożnie podczołgał się do brzegu rzeki i zanurzył się w niej. Bug jest rzeką głęboką, więc od razu zaczął płynąć, robiąc to szybko i cicho. Gdy osiągnął drugi brzeg, przemoczony poczuł chłód, więc aby się rozgrzać, biegł. Wreszcie dobiegł do jakiegoś małego osiedla i wszedł do stodoły. Dygotał z zimna i dla rozgrzewki biegał po klepisku do rana. Gdy zapiały drugie koguty, skrzypnęły drzwi i do obory weszły dwie osoby. Po rozmowie można się było zorientować, że to Polacy – mężczyzna i kobieta. W pewnym momencie mężczyzna z wiadrami podszedł do studni, wtedy Kazimierz wybiegł do niego. Było

już jasno i gospodarz ujrzał przed sobą człowieka w pożałowania godnym stanie: z podniesionymi od zimna barkami, dygocącego, mokrego, krańcowo wyczerpanego.

– Co się panu stało? Kim pan jest? – pytał z przejęciem gospodarz.

– Uciekając przed bolszewikami, przepłynąłem Bug, dobiegłem do tego osiedla i resztę nocy mokry i nękany chłodem wszedłem do tej stodoły. Biegając po klepsku dla rozgrzewki, oczekiwałem dnia i jakiegoś ratunku ze strony właścicieli tej zagrody.

– To dlaczego nie zapukał pan do naszych drzwi czy do okna?

– Nie miałem śmiałości.

Gospodarz przywołał żonę i oboje zajęli się nieszczęśnikiem. On wziął Kazimierza do oddzielnego pokoju, pomógł mu ściągnąć mokrą odzież, przyniósł z kuchni misę ciepłej wody i mydło. Kazimierz się umył. Następnie gospodarz silnie wytarł mu ręcznikiem plecy, owinął kocem całe ciało i wprowadził do ciepłej kuchni, gdzie już czekał na niego gorący posiłek. Po posiłku Kazimierz opowiedział więcej o sobie i o swoim zamierzonym kierunku marszu. Chciał dojść do dużego miasta, wmieszać się w tłum, znaleźć przyjaznych ludzi i zorganizować sobie warunki, by przetrwać. Najbliżej był Sandomierz lub w kierunku na północ – Lublin. Wybrał Sandomierz, bo jest położony w dalszej odległości od bolszewików. Spędził noc w domu tej życzliwej rodziny i rankiem wyruszył w obranym kierunku. Żegnając się z gospodarzem, dziękował mu za udzieloną pomoc i zostawił mu rewolwer, który miał przy sobie.

– Niech pan go schowa. Może przyda się na naszych wrogów – rzekł, po czym wyszedł.

Szedł wzdłuż drogi pomiędzy krzakami lub lasem. Było to trudne i niebezpieczne. W pewnym momencie zobaczył, że drogą, wzdłuż której idzie, żołnierze niemieccy pędzą duże stado bydła. Ukryty w krzakach obserwował. Zauważył, że jedno bydlę odłączyło się od stada i skubie trawę rosnącą przy drodze. Nastął już wieczorny mrok i poganiacze stada tego nie zauważyli. Skorzystał z tego Kazimierz. Chwycił za sznur zwisający z poroża zwierzęcia i wprowadził je w głąb krzaków. Była to młoda jałówka. Tę noc spędził w stogu siana, przy którym uwiązał jałówkę.

Rano zdecydował się iść drogą w obranym kierunku. Jeżeli spotka Niemców, to najwyżej zabiorą mu zwierzę. Przecież widział, że tą drogą poruszają się też cywile. I szedł uważnie, udając spokój. W pewnym momencie wyprzedzał go duży ciężarowy samochód, który się przed nim zatrzymał. Z samochodu wyszło kilku Niemców, zaczęli coś mówić do niego, patrząc na jałowkę. W pewnym momencie jeden z nich strzelił jałowce w głowę i odryglował tylne drzwi samochodu, skąd wywołał kilku cywili, chyba Żydów, bo mieli gwiazdę Dawida na rękawach, i kazali wrzucić zabite zwierzę do wnętrza samochodu. Kazimierz też musiał pomagać. Początkowo myślał, że zabiorą mu tylko zwierzę, ale oni kazali mu wejść do tej samochodowej skrzyni.

Tak więc znalazł się w zamkniętym samochodzie i jechał w nieznane razem z kilkunastoma mężczyznami. W pewnym momencie samochód się zatrzymał, Niemcy zabrali z samochodu zabita jałowkę, a ich wieziono dalej. Niemal dwa dni bez jedzenia i prawie bez wody.

Finałem podróży był obóz pracy w Austrii. Tu Kazimierz dostał swój numer, pryczę do spania i przymus codziennej dziesięciogodzinnej pracy przy głodowym wyżywieniu.

\*

Wedle układu Niemców z Sowietami Wołyń jako województwo wschodnie II RP w grabieżczym podziale przypadał Sowietom. System sowiecki miał ustalone zasady politycznej kwalifikacji poszczególnych grup etnicznych. Na okupowanych Kresach wschodnich II RP były trzy zasadnicze grupy etniczne. Największa z nich – ukraińska – została kolektywizowana i eksploatowana na miejscu. Drugą grupę stanowili Polacy. Tych przeznaczono do systematycznej deportacji i eksploatacji na Syberii. Trzecią grupę etniczną stanowili Żydzi. Oni też byli kolektywizowani, ale samodzielni w systemie kolektywnym. Można powiedzieć, że Żydów reżim sowiecki faworyzował. Nie wolno było nazywać ich Żydami lecz *Jewriejami*.

W tym czasie w Brzezinach sowiecki reżim miał już swój ustabilizowany aparat, czyli *silradę*. Przewodniczył jej człowiek wielokrotnie

karany więzieniem przez władze polskie za kradzież. Taki złodziej był wybrany w czasie wyborów *silrady* i wysunięty na jej przewodniczącego. On decydował o podziale chłopstwa na bidniaków, średniaków i kułaków. Było już po rozkułaceniu kułaków. Ustalono stawki w naturze jako podatek od każdego gospodarstwa. Po wykonaniu tego zadania ów przewodniczący został przeniesiony do innej wsi, a do Brzezin na stanowisko przewodniczącego *silrady* wyznaczono rosyjskiego Żyda.

Poznaliśmy już sowieckie metody na ustanawianie i wybór władz terenowych. Teraz warto zapoznać czytelnika z preferencjach stosowanymi przez Sowietów, dotyczącymi grup etnicznych na okupowanych Kresach polskich, a w tym na Wołyniu. Jak już wiemy, na Wołyniu były trzy zasadnicze grupy etniczne: polska, ukraińska i żydowska. Jako że reżim sowiecki wykluczał własność prywatną, wszystkie te grupy były przeznaczone do eksploatacji na korzyść reżimu, ale w sposób zróżnicowany. Największa populacyjnie ukraińska grupa etniczna była we wszystkich zawodach, a zwłaszcza w rolnictwie całkowicie skolektywizowana na terenie, gdzie żyła. Polska grupa etniczna miała być z Wołynia wywieziona i eksploatowana w nieludzkich warunkach na Syberii. Pozostała – trzecia grupa etniczna – żydowska też była skolektywizowana, ale na warunkach znacznie łagodniejszych. Działo się tak dlatego, że Żydzi, uprzedzając naciski ze strony reżimu, sami się skolektywizowali. Wszystkie swoje sklepy połączyli w jedną kooperatywę, na czele której stał prezes – Żyd, formalnie przez nich wybrany. Podobnie wszystkie posiadane przez nich zakłady rzemieślnicze dobrowolnie oddali i połączyli w jeden artel na czele z wybranym przez nich prezesem, przeważnie Żydem. Tak więc te dwa sektory, handel i rzemiosło, chociaż nie stanowiły ich własności, bo wszystkie zyski zabierało państwo, były jednak opanowane przez nich i dawały im zatrudnienie. Dla przykładu: niemal wszystkie punkty sprzedaży obsługiwane były przez ekspedientów narodowości żydowskiej. Jakie to miało znaczenie i korzyści dla nich? Otóż w owych czasach permanentnie brakowało towarów i w większości na półkach sklepów był tylko ocet, alkohol i woda kolońska. Gdy podrzucono jakiś towar powszechnie potrzebny, tworzyły się ogromne kolejki i nigdy dla wszyst-



kich tego towaru nie wystarczyło. Natomiast sprzedawca jako pierwszy kupił sobie, a pewnie też innym swoim rodakom.

Żydzi byli grupą uprzywilejowaną. Może z tego względu, że byli wobec siebie solidarni i potrafili urządzić się nawet w trudnej sytuacji. Może były jeszcze inne powody, że ich faworyzowano. Podejrzewano, że sowiecka władza najwyższa opanowana była przez Żydów. Słowo „Żyd”, określające pochodzenie, zamieniono na *Jewriej*. Nie sprzyjało to wzajemnej tolerancji etnicznej, a wśród Ukraińców podsycalo nienawiść. Żydzi wiedzieli o tym, ale bardziej zależało im, by wyjść na swoje od strony materialnej. Toteż starali się z innymi grupami etnicznymi żyć w zgodzie, żadnej nie drażnić, a w swojej diasporze żyć solidarnie, w systemie zamkniętym na wpływy zewnętrzne, ściśle zachowując swój język, obyczajowość i wyznanie religijne.

Otóż pewnego wieczoru niespodziewanie zjawił się u Waleriana Chaim. Już od drzwi wołał:

– Daj Boże zdrowie, pan Walerian! Ja potrzebować przyjsć do wasz dom i przywitać cało waszo git familię, bo ja nazat w Brzezina.

– A co się stało, Chaimie?

– Stało się, bo tego Lwów nie dla mnie. Tam jest tak dużo Żydki, co to długo chodzili do szkoła, to ja bidny, nie uczony Żyd ni potrafić z nimy robić geszeft. Tutaj w Brzezina to nie wielka macyja, tutaj ja wim, jak żyć i zarobić. I chociaż ja już ni mam moijsza karczma, mój shlep. To nasze Żydki dali mnie i moje familja letkie robota i jest pare rubli co miesiąc. Pan Walerian nie wi, co ja chciał jego poradzić. Ta nowa właść nie lubić ludzi bogate. My, Żydki, wiedzieć to i oddać jim wszystko ranij jak ony same to zrobio. To ony mówio, że my git ludzi i jeszcze innym mówio, jakie my mamy dobre kiepele. Ot, ja przyszet do pan Walerian, cob poradzić. Pan mieć 10 disiencin bardzo dobra ziemia. Cob był pan Ukrainiec, to by był kulak i już by tyj ziemi nie miał, aliż pan Polak, to zapisali w silrada, ży pan Walerian to polski pan. To niedobrze, ony mogo wywieźć cało wasze rodzine jak pana Władysław z Serwitut. Niech pan robi jak nasze Żydki, odda jim pół swoja ziemia. To ony lubio, a nawet zapłaco pan Walerian za tego ziemia, bo ony

mówio, zy jich właść jest taka git, zy nic za darmo nie weźmie. Tak na-  
prawde, to za te zapłate nie wim, czy starczyłoby na butelke anyżówka,  
ale to nieważne, trzeba tutaj jakoś żyć, a nie na Siberja. Zostanie wam  
5 dziesięcin, a wyż macie córkie i jej tyż należy się z tego dwie spółowo  
dziesięciny. To wam wystarczy i ni zabioro wam krowa czy koń. Ony  
potrzebujo ziemi pod budowe artelu i kooperatywy i teraz myśło, komu  
zabrać ziemie pod te budowe. Temu ja przyjść do pan Walerian powie-  
dzić, cob był ostrożny.

Chaim pożegnał się i odszedł, a Walerian zwołał naradę rodzinną  
w tej sprawie. Wszyscy uznali, że Chaim ma rację i dobrze im radzi. Już  
następnego dnia Walerian poszedł do *silrady* i zadeklarował przekazanie  
połowy swego ziemskiego majątku. Spytany, dlaczego dobrowolnie od-  
daje ziemię, odpowiedział, że sam jej nie obrobi i niech lepiej ma pożytek  
z tego wieś. Taka odpowiedź podobała się prezesowi i powiedział, że po-  
stara się o podziękowanie za to z rejonu.

\*

Pewnego dnia przyszła do Martynki kobieta, Polka z Brzezin. Mówiła,  
że była na odpusćcie w Sarnach. W pewnym momencie zauważyła kobietę  
chodzącą wśród ludzi i pytającą, czy jest tu ktoś z Brzezin. Zgłosiła się  
do niej i powiedziała, że mieszka w Brzezinach, Wówczas tamta zapyta-  
ła, czy zna Martynę Lipińską. Gdy potwierdziła, ona dała jej list i prosi-  
ła, aby dostarczyła Martynce. Kobieta, odbierając list, nie wiedziała, od  
kogo pochodzi, bo nie potrafiła czytać. Teraz poszukiwała go w torbie,  
a Martynka oczekiwała z ciekawością. Gdy tylko spojrzała na podawa-  
ny jej list, z wielkim przejęciem zobaczyła charakter pisma Kazimierza.  
Drżącymi rękoma wzięła go do ręki, ucałowała i przytuliła go do serca,  
a następnie zaczęła czytać. Był to ten list, który Kazimierz napisał, będąc  
u rodziny koło Tarnopola.

„A więc, dzięki Bogu, mój Kaźmierz przeżył działania wojenne na  
terenie naszego kraju i tylko nie może wrócić w rodzinne strony, gdzie  
może być rozpoznany. Gdzie on pójdzie, gdzie znajdzie sobie bezpieczne  
miejsce?...” – z troską myślała Martynka.

List od Kazimierza wywołał wielkie poruszenie w rodzinie Walerianów. Ania, czytając go, rozplakała się. Podobnie Ludwika trzymała fartuch przy oczach.

– A więc żyje – mówiono – i możemy mieć nadzieję, że z pomocą Bożą kiedyś do nas wróci.

Z wielką niecierpliwością oczekiwano jakiejś wiadomości o losach wywiezionej rodziny Władysława. Dopiero po trzech miesiącach od dnia ich deportacji nadszedł od nich list. Władysław pisał, że wywieźli ich do Archangielskiej obłasti, w rejon Kotłas. W dniu, w którym przybyli na miejsce pobytu, był mróz około trzydziestu pięciu stopni i gruba warstwa śniegu. Osadzono ich w nieogrzanych ziemiankach, gdzie był jakiś piec, ale drewno do niego musieli zdobyć we własnym zakresie. Wszyscy musieli iść do pracy przy wycinaniu drzew. Kto nie pracował, bo był słaby czy chory, nie otrzymywał chleba. Tylko pracującym dawano skąpe racje. Na razie żyją z resztek zapasów, które przywieźli z sobą z domu. Kto może, idzie do pracy. Władysław jest inwalidą, ale pracuje, aby dostać kawałek chleba. Pisał też, że ma obawę, czy jego list trafi do adresata.

„Bardzo się obawiam, czy wasza rodzina, podobnie jak moja, została deportowana. My tylko wiemy, kto był razem z nami w tym samym wagonie i wagonach sąsiednich, a w eszalonie było ponad pięćdziesiąt wagonów. Po przybyciu na miejsce zsyłki poszczególne wagony były rozładowywane w różnych rejonach i zostaliśmy rozproszeni, nie mamy komunikacji między sobą.

Jeżeli otrzymacie mój list, szybko odpiszcie. Chcemy wiedzieć, czy jesteście zdrowi i czy może macie jakąś wiadomość od Kazimierza. Oczekuję od Was listu i polecam was wszystkich Opatrzności”.

Taka w skrócie była treść tego listu, który poruszył wszystkich.

– Oni cierpią głód – powiedziała Martynka. – Musimy im wysłać paczki.

Ania pobiegła do koleżanki, która była listonoszką i miała stały kontakt z pocztą w Ludwipolu. Dowiedziała się od niej, że do Rosji i na Sybir można wysłać paczkę o wadze do ośmiu kilogramów. Niezwłocznie sporządzono dwie paczki, jedna zawierała 8 kg słoniny, w drugiej, też

ośmiokilogramowej, była mąka i kasza. Nie było pewności, że przesyłki dotrą do adresata. Listonoszka mówiła, że jest dużo reklamacji. Nic dziwnego, przesyłki na swojej drodze miały tereny, gdzie głodowali nie tylko zesłańcy, ale też ludność autochtoniczna ciężko odczuwała braki podstawowych produktów żywnościowych, chociaż to były tajgi syberyjskie, piękne lasy, a ziemia żyzna. W czasie krótkiego lata dojrzewały owoce tej surowej natury, bo wegetacja roślin jest tam szybsza i ludziom by wystarczyło na przeżycie i na zbyt. Jednak wszystko było zunowocjonalizowane w kołchozach i sowchozach, a ludzi traktowano w nich wyłącznie jako siłę do eksploatacji. Będziesz pracował, to coś dostaniesz, jeżeli ziemia coś urodzi, a jeżeli jest susza lub przeciągający się mróz, nie dostaniesz nic, bo wyschło, wymokło lub wymarzło. Dlatego częste tam były kradzieże. Jak nie ukradniesz, to nie przeżyjesz, chociaż za kradzież jednej główki kapusty czy garści zboża można było dostać kilka lat ciężkiego łagru. Mimo to wszyscy kradli, tylko ostrożnie, tak aby nie dać się złapać na gorącym uczynku. O tym, że wszyscy kradną, wiedział *Hołowa kołchoza*. On rozumiał, że z głodnymi ludźmi nie wykona planu. Zresztą on sam też kradł. Zaufani ludzie dostarczali mu po cichu wszystko, czym kołchoz dysponował. No, ale nasi zesłańcy nie mieli nawet co ukraść, nie mogli uzyskać pomocy od miejscowych, bo oni też nie posiadali za wiele. Tylko ci, którzy mieli większe możliwości kradzieży, kupowali za żywność od naszych zesłańców odzież, walizki, zegarki, a nawet biżuterię, jeżeli ktoś ją posiadał.

Rodzina Lipińskich martwiła się więc, czy wysłane Władysławowi przesyłki zostaną mu dostarczone. A jednak dostarczono je, co prawda trochę sfatygowane, ale dotarły, o czym świadczył kolejny list od Władysława i wielkie z jego strony podziękowania. W liście była też bardzo smutna wiadomość o śmierci babci Józefy (żony dziadka Mateusza), która nie była w stanie znieść tych warunków. „Odeszła od nas ukochana babcia – pisał Władysław. Marzyła o powrocie i o tym, że będzie mogła spocząć w rodzinnej ziemi”. Niestety, tak się nie stało... Pochówek był utrudniony. Ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, a pod nim było siedemdziesiąt centymetrów zmarzliny.



Wiosną 1941 roku okupowane polskie tereny Związek Sowiecki silnie militaryzował. Obserwowało się to głównie na Wołyniu. Tu rozmieszczano silne formacje wojskowe, wzmacniano lub budowano mosty i drogi, przystosowując je do potrzeb transportu ciężkiego sprzętu wojskowego. Budowano lotniska polowe. Miejskowa prasa i rozgłośnie radiowe mówiły, że ZSRR zagospodarowuje zaniedbane cywilizacyjnie, wyzwolone ziemie po polskich panach. Nikt nie śmiał tego komentować i ludność cicho i pokornie pracowała przy realizacji tej akcji. Angażowano do tego głównie ludność wiejską. Za tę pracę nie otrzymywali wynagrodzenia, a środki propagandy głosiły, że to spontaniczny zryw ludności, wdzięcznej za wyzwolenie. Słowo „wdzięczni” brzmiało szyderczo, gdyż nędza zaglądała do wszystkich chłopskich chat. Na skutek rabunkowych kontyngentów dla państwa wieś sama siebie nie mogła wyżywić, a jeśli nie ma wieś, skąd może mieć miasto. Sklepy kooperatywy świeciły pustką. Był tylko alkohol, ocet i woda kolońska. Jeżeli czasami do takiego sklepu rzucono jakiś towar, to tworzyły się ogromne kolejki i nigdy dla wszystkich nie starczyło. Te warunki generowały korupcję, kradzież i pokątny handel, najczęściej wymienny – coś za coś. Ludzie za żywność wymieniali odzież kupioną kiedyś w sklepach wolnej Polski. Przedmiotem takiego handlu były towary pochodzące z kradzieży lub kupione w kooperatywach przez ludzi, którzy mieli dostęp do towaru, gdy ten został dostarczony, a więc sprzedawcy, dostawcy i ich przełożeni.



Pani Matylda miała problem. Przewodniczący *silrady*, będąc pewny, że ona z pochodzenia jest Rosjanką, życzył sobie, aby nadal była kierowniczką szkoły. Jednak ta funkcja wymagała zapisania się do partii, aby „godnie” reprezentować ideologię, którą jako nauczycielka i wychowawczyni młodego pokolenia będzie miała obowiązek przekazywać, a właściwie indoktrynować dzieci i młodzież. Na to ona nie mogła się zgodzić.

W tym czasie, jak zwykle niespodziewanie, w Brzezinach zjawił się Sawko. Sam, bez swojego partnera. Okazało się, że ten wieczny wędrowiec

jest wykorzystywany przez konspirację polską jako łącznik z poszczególnymi ogniwami tworzącej się podziemnej sieci ruchu oporu polskiego.

Właśnie po rozmowie z Sawką Matylda udała się do *silrady* na rozmowę z przewodniczącym. Zastała go, a przy nim przewodniczącego kołchozu. Przedstawiła im swój rzekomy zdrowotny problem – chorobę gardła. Według lekarza (oświadczyła) przez okres kilku miesięcy musi oszczędzać swój głos, mówić mało i cicho, nie śpiewać i w ogóle nie wysilać głosu. Te warunki wykluczają jej pracę w charakterze nauczyciela. Dopiero po kilku miesiącach lekarz ją zbada i jeżeli stwierdzi, że te dolegliwości minęły, będzie mogła wrócić do zawodu.

W tej sytuacji zwróciła się do przewodniczącego rady z prośbą o jakieś zajęcie, gotowa była przyjąć każde, które nie naruszy zastrzeżeń lekarskich. Przewodniczący rady był rosyjskim Żydem, a przewodniczący kołchozu Ukraińcem. Wymienili między sobą spojrzenia i przewodniczący rady zapytał:

– *A ekonomičeskaja profiessija wam znakoma?* (A zawód ekonomisty jest wam znany?)

– *Da* – odpowiedziała Matylda. – *Ja mogu ispołniat' dołżnosť' gławbucha.* (Tak. Mogę pełnić funkcję głównej księgowej.)

– *Izwinite, jeszcze odin wopros* – powiedział przewodniczący rady. – *Ja naprimier russkij Jewrijej, a wy – Russkaja?* (Przepraszam, jeszcze jedno pytanie. Ja na przykład jestem rosyjskim Żydem, a pani jest Rosjanką?)

W odpowiedzi usłyszał:

– *Wy nawierno dogadalis' po mojemu proiznoszeniju...* (Pewnie domyślił się pan ze względu na moją wymowę...)

I w ten sposób Matylda, nie wypierając się swojej polskości, utwierdziła ich w przekonaniu, że jest Rosjanką. Było to ważne, by uniknąć podejrzeń w jej późniejszej konspiracyjnej roli, jaką planowała. Została przyjęta. O to chodziło Sawce – mieć ucho w środowisku władzy. Jej biurko znajdowało się w pokoju przy wejściu do budynku, za nim był pokój archiwum, a po obu stronach jej biura gabinety prezesów. Matylda na swoim biurku miała telefon z możliwością rozmowy z prezesami, którzy też dysponowali telefonami. Była więc również sekretarką, potrafiła pisać na biurowej maszy-



nie. Znała się na ekonomii, chociaż w tym zawodzie nigdy nie pracowała. Wiedziała natomiast, jaki księgowy jest potrzebny prezesom, a mianowicie taki, który bilans roczny sporządzi niekoniecznie wedle rzeczywistego stanu, ale wedle życzenia prezesów. Na to też była przygotowana. Nie pytali, czy należy do partii, bo o tym, że nie należy, wiedzieli. Było im to nawet na rękę: partyjny *gławbuch* może być mniej dyspozycyjny, a na zebraniu zbyt gadatliwy... Przewodniczący, przekazując Matyldzie obowiązki i ustalając warunki, powiedział, że odtąd należy ona do organu władzy administracyjnej wsi, a wszystkie ustalenia, decyzje i rozmowy objęte są tajemnicą, bo wróg klasowy jest czujny i nastawia ucho. Przydzielił też Matyldzie wygodną kwatery, bo tę, którą zajmowała przy szkole, musiała opuścić.

Ukraińscy chłopcy z Brzezin codziennie od rana do wieczora pracowali w kołchozie. Z głośników zawieszonych na słupach przygrywała im muzyka i propagandowe, ideologiczne hasła. Ich grunta zostały włączone do ogólnego arealu ziemi będącej w dyspozycji i planach zagospodarowania agronoma kołchozu, a byli właściciele pracowali tam, gdzie ich posłano. Raz w tygodniu otrzymywali zapłatę za ilość *trudodni*. Było to wynagrodzenie upokarzająco małe. Resztę obiecywano uzupełnić po zbiorach produktami w naturze. Jeśli był urodzaj, coś otrzymywali, jeśli zbiory były słabe, mogło się zdarzyć, że nie otrzymali nic, bo najpierw trzeba było oddać zaplanowaną wcześniej *postawkę* państwu. Słowem, jeżeli ktoś nie ukradł, cierpiał głód.

Dla zapewnienia ciągłości pracy kołchozów, sowchozów i arteli rzemieślniczych władza sowiecka zlikwidowała wolną niedzielę. Każdemu pracownikowi po sześciu dniach pracy przysługiwał jeden dzień wolny, tak zwany – *wychodnyj dien*. Mógł on wypaść w niedzielę lub w każdy inny dzień tygodnia.

\*

Martynka z Anią i Witoldem pracowali na swoich gospodarstwach. Borykali się z trudnościami, bo mimo oddania połowy swoich gruntów *silradzie*, musieli jednak świadczyć *postawki* w zbożu, mięsie i mleku na rzecz gospodarki sowieckiej. Czasami widywali Marusię – koleżankę

Ani, gdy szła do pracy w kołchozie, ale ta unikała ich, czując do nich nieuzasadniony żal po utraconych tamtych czasach, kiedy mogła przynajmniej patrzeć na Iwanka. Miłość ówczesnej kresowej młodzieży była trwała i wierna, ona kochała Iwanka i tęskniła za nim.

Wiosną 1941 roku wielkim wstrząsem było wywiezienie do Kazachstanu wszystkich mieszkańców kolonii Serwituty.

Po dokonaniu tej okrutnej operacji planowano biura *silrady* i kołchozu przenieść do budynku dworu, gdzie miał powstać *sowchoz*, specjalizujący się w hodowli bydła i trzody chlewnej. Te wszystkie akcje i plany omawiane były z radą rejonu i NKWD. Akustyka budynku była taka, że Matylda wszystko słyszała i mimo obowiązku zachowania tajemnicy mogła kogoś ostrzec.

Nie mogła iść do kolonii Serwituty, ale skorzystała z pomocy Witka. On poszedł do rodziny dobrze mu znanej w Serwitutach i ostrzegł, że chcą ich deportować.

– My spodziewamy się tego, mamy zapasy suszonego chleba i innych produktów. Nie uciekniemy im, bo nie mamy gdzie – otrzymał odpowiedź.

Po pewnym czasie, gdy Matylda przyszła do swego biura, usłyszała dzwonek telefonu u przewodniczącego.

Ktoś go o coś spytał, a on odpowiedział:

– *Jego zowut Witold Grabowski, a jego žena – Anna Grabowska, die-wiczja familija – Lipińska.* (Jego nazwisko to Witold Grabowski, a jego żona to Anna Grabowska z domu Lipińska.)

Po tym telefonie przewodniczący zajrzał do pokoju Matyldy sprawdzić, czy jest obecna i czy może usłyszała jego słowa, ale ona, przewidując to, szybko przeszła do drugiego pokoju na zapleczu, udając że poszukuje jakichś akt. On zajrzał tam i tylko powiedział.

– *Ja dumał, szczo was nemaje.* (Myślałem, że pani nie ma.)

I odszedł uspokojony, że z tego pokoju nie mogła nic słyszeć.

Tak się szczęśliwie złożyło, że w tym dniu przewodniczący był z kimś umówiony i właśnie wychodził do czekającej go podwody, a do Matyldy powiedział:

– *Ja budu obratno czeriez tri czasa.* (Wracam za trzy godziny.)

Matylda to wykorzystała. Szybko wymknęła się z biura i ruszyła w kierunku swojej kwatery. Po drodze mijała zagrodę Witków, gdzie krzątała się Ania. Powiedziała jej o tym telefonie i dodała, aby możliwie niezwłocznie opuścili Brzeziny. Oboje nie lekceważyli tego ostrzeżenia. Spakowali niezbędne rzeczy, pożegnali mamę i dziadków i oczekiwali na prom komunikacyjny, który płynął do Ludwipola, do Sarn i dalej do Horynia. Pytani przez sąsiadów, dokąd płyną, mówili, że do Ludwipola odwiedzić i pomóc w robocie przyjaciołom. Faktycznie zmierzali do Sarn, do żony Romana, który po kampanii wrześniowej nie wrócił do domu.

Gdy przyszła noc, przed domem Góreckich zatrzymał się samochód i do drzwi podeszło dwóch funkcjonariuszy NKWD. Stukali do drzwi i nawoływali:

– *Otkrywaj po prikazu sowietskoj własti!*

Nikt nie otwierał, więc wyważyli drzwi, a po chwili odjechali z niczym. Na drugi dzień wszczęto dochodzenie: kto ich ostrzegł? Matka i dziadkowie twierdzili, że od kilku dni wybierali się gdzieś jechać. Ich sąsiadka, życzliwa im Ukrainka, też zeznała, że kilka dni temu Ania mówiła jej o planowanym wyjeździe do Ludwipola. Nikt jednak nie wiedział, do kogo jadą. Jednak sowiecka władza nie rezygnuje ze ścigania wroga po pierwszej nieudanej akcji. Wywiadowcy chodzili wśród ludzi Brzezin i pytali, gdzie i u kogo mogą być Grabowscy. Pewien chłop przyszedł do *silrady*. Złożyło się tak, że w biurze była tylko Matylda. Chłop powiedział do niej:

– *Wy iszczetie Witka z żonoju, a ja dumaju, szczo wony pojichali w Sarny. W jich tam jest' ridni – Romkowij swekry.* (Szukacie Witka z żoną, a mnie się wydaje, że pojechali do Sarn, do krewnych – teściów Romka.)

– *A wy znajete, de w Sarnach wony żywut'?* (Czy znacie ich adres?) – spytała Matylda.

– *Da, ja znaju, tilky nazwu wułyci i nomera ne znaju. Ja kołys' wozyw jim kartoszku.* (Tak, wiem, nie znam tylko nazwy ulicy i numeru domu. Kiedyś woziłem im kartofle.)

– *Dobre, diakuju wam, ja pieriedam, czto wy skazali tam, de treba.* (Dobrze, dziękuję wam. To, co powiedzieliście, przekażę, gdzie trzeba.)

Chłop odszedł, a Matylda zastanawiała się, jak ostrzec Witków i co powiedzieć przewodniczącemu, gdy wróci do biura. Zaryzykowała, że nic mu nie powie. Po pewnym czasie przewodniczący przyszedł i spytał Matyldę, czy ktoś do niego przychodził. Usłyszał odpowiedź, że nie.

– *A ja wstrietił na ulice muzyka, kotoryj skazał wam naszcot Grabowskich. Tak wy dołżny nie ożydat’ mojego woprosa, tolko prosto skazał’ mnie w czom dieło.* (Spotkałem na ulicy chłopca, który opowiedział wam o Grabowskich. Powinniście nie czekać na moje pytanie, tylko powiedzieć mi, o co chodzi.)

– *Etot muzyk nie spraszywał pro was, tolko mnie skazał i poszoł. U mienia mnogo raboty, a eto nie kasajetsia mojej dołżności. On skazał mnie, czto wam eto izwiestno. Ja srazu nie skazała wam, potomu czto za- była.* (Ten chłop nie pytał o was, tylko mi powiedział i poszedł. Mam dużo pracy, a to nie jest związane z moją funkcją. Powiedział, że to wiecie. Nie powiedziałam wam od razu, bo zapomniałam.)

Przewodniczący odszedł do swego biura, a po chwili podniósł słuchawkę telefonu i z kimś rozmawiał, ale przyciszonym głosem. Matylda była pewna, że rozmawia z NKWD w Ludwipolu. Zbliżał się koniec godzin pracy. Uchyliła drzwi gabinetu i powiedziała szefowi, który trzymał słuchawkę przy uchu:

– *Doswidania!* – i palcem wskazała zegarek na swojej ręce.

Nie poszła do swojej kwatery, lecz prosto do Martynki i opowiedziała jej o wszystkim, co w dzisiejszym dniu się zdarzyło.

– Oni poszukują Ani i Witka, a mnie podejrzewają, że uciekli po moim ostrzeżeniu. Musimy w jakiś sposób ostrzec ich, że mogą ich szukać w Sarnach. Nie mam kontaktu z Sawką, a on mógłby nam pomóc. Jego nie będą śledzić, mógłby udać się do Sarn i ich ostrzec – mówiła Matylda.

Strapiona i załamana Martynka była całkiem bezradna, ale po chwili podjęła decyzję.

– Dziś wieczornym promem odchodzącym do Sarn jadę.

Matylda to zaaprobowała, nie widząc innego wyjścia. Pożegnały się i odeszła do swojej kwatery. Liczyła się z tym, że może być obserwowana, a nawet obawiała się aresztowania w czasie nadchodzącej nocy, bo przecież oni zawsze robią to w nocy, ale nie ulegając panice, zachowywała się spokojnie, jak zawsze. Wieczorem, jak zwykle, podlała wodą kwiaty przy swojej kwaterze, bo dni były upalne.

Martynka zaś udała się na skrzyżowanie dróg, gdzie dziewczyny wiejskie sprzedawały uzbierane czarne jagody. Kupiła ich całą *króbkę* i zawieszając ją na plecach ruszyła w kierunku promu. Matylda natomiast, gdy nastała noc, polecając się Bogu, położyła się do snu. Długo nie mogła usnąć, myśląc o Martynce, którą widziała, jak z koszem czarnych jagód, przechodziła obok jej domu.

Wczesnym rankiem obudziło ją kołatanie do drzwi. Szybko ubrała się i otworzyła drzwi. Przed nią stał posłaniec z *silrady*, który powiedział, że przewodniczący prosi, aby przyszła do biura. Była to niedziela, dla niej dzień wolny od pracy, dlatego to wezwanie traktowała jako nadzwyczajne. Była kobietą o silnym charakterze. Szybko opanowała negatywne emocje i spokojnie ruszyła w kierunku *silrady*. Z daleka ujrzała, że przed budynkiem, do którego zmierza, stoi znany jej samochód. To jej nie zaskoczyło, a raczej zmobilizowało do demonstrowania spokoju i formułowania w myślach roztropnych odpowiedzi na pytania, które zapewne jej zadadzą. Gdy była już w pobliżu *silrady*, usłyszała gdzieś daleko po zachodniej stronie jakieś wybuchy, które przypominały jej odgłosy wojny z 1939 roku, ale po chwili ustały, więc znów wróciła myślami do tego, co ją za chwilę spotka. Zachowując spokój i polecając się Opatrzności, weszła do budynku. Czekają na nią dwóch enkawudzistów i przewodniczący *silrady*, których pozdrowiła słowami:

– *Zdrawstwujcie!*

Oni wszyscy siedzieli, ale jej nie zaproponowali, by usiadła. Przez chwilę milczeli, tylko trzy pary oczu zimno patrzyły na nią. Tę chwilę ciszy przerwały następne, jeszcze silniejsze wybuchy. Poruszeni tym enkawudziści popatrzyli na siebie, a jeden z nich uspokajająco powiedział:

– *Nie biespokojisia, eto zanimajutsia naszy* (Spokojnie, to ćwiczą nasi) – i zwrócił się do stojącej przed nimi Matyldy:

– *Tak my wże znajem, czto oni nam uszli po waszemu prieduprieżdieniju. I poetomu my rieszyli...* (My już wiemy, że oni uciekli dzięki waszemu ostrzeżeniu. I dlatego postanowiliśmy...)

Dalszą mowę przerwał mu telefon. Słuchawkę podniósł przewodniczący, który słuchał, a twarz mu się zmieniła.

– *Pieriedaju trubku kapitanu.* (Przekazuję słuchawkę kapitanowi.)

Enkawudzista wziął słuchawkę i w miarę słuchania powoli podnosił się na całą swoją wysokość.

– *Eto użasno* – powiedział do słuchawki, a odkładając ją zmienionym głosem rzucił: – *Sadimsia, towariszczy, w maszynu.* (To okropne. Wsiadamy, towarzysze, do samochodu.)

I wyszli. Gdy szli do samochodu, na horyzoncie ponad lasem ukazał się rząd lecących samolotów. Za chwilę były już nad Brzezunami. Leciąły nisko, bezkarnie, a ryk ich motorów przerażał, paraliżował. Wkrótce gdzieś nad Szepetówką zrzucili bomby i wracali na zachód, po drodze ostrzeliwując z broni pokładowej wszystko na ziemi – wojsko i ludność cywilną.

Matylda wyszła z budynku. Widziała samoloty z krzyżami na skrzydłach, widziała, jak tych trzech wsiadło do samochodu i odjechało, widziała też wielkie poruszenie we wsi. Ludzie zbierali się grupkami i dyskutowali, patrząc w niebo. Słyszała jak ci najbliżej stojący mówili:

– *Aeroplany nimecki. A de ci, szczo my robyły dla jich płoszczadki?* (Aeroplany są niemieckie. A gdzie są te, dla których budowaliśmy lotniska, aerodromy?)

Matylda zauważyła, że ludzie unikają spotkania z nią. Zawsze jej ufali, przychodzili z różnymi pytaniami i słuchali jej rad, a teraz przestali, bo pracowała w *silradzie*. Nie brała im tego za złe i spokojnie udała się do swojej kwatery. Gdy była już przy drzwiach, nagle zjawił się przed nią Chaim, który pozdrowił ją słowem:

– *Zdrawstwujtie!*

Na co ona powiedziała:



– Mówcie do mnie po polsku.

– Ach, git, ja mówić po polsku. – I zaczął lamentować: – Aj wej, pani, co to sie robi, co to za aroplan latajo i rzucajo bomby? My się bać, że to Niemcy, a oni nie lubić Żydki. A gdzie aroplan nasze, to znaczy ruskie?

I patrzył pytająco na Matyldę. Ona zaś położyła mu rękę na ramieniu i uspokajała.

– Nie martwcie się, Chaimie, jeszcze nie wiemy, co się dzieje. Zobaczymy jutro. Ja też boję się i nie lubię Niemców, podobnie jak NKWD i komunistów rosyjskich.

Chaim odszedł, niepocieszony i całkiem zdeorientowany co do poglądów tej Rosjanki (jak uważał) – Matyldy. Ta zaś zamiast do swojej kwatery, udała się do Różańskich. To oni potrzebowali jej najbardziej. Byli sami, bez Martynki, Ani i Witolda, a tu rozpoczęła się jakaś wojna...

– Czy Martynka i Ania z mężem wrócą?...

Matylda dodawała im otuchy.

– Poczekamy jutra i miejmy nadzieję, że wrócą.

Tymczasem pomogła Ludwice obrządzić gospodarstwo. Umówili się, że Matylda noc spędzi u nich. Zauważyli, że na zachodzie wybuchy przycichły i przeniosły się na wschód. Po wieczornym posiłku i modlitwie położyli się do snu.

Wczesnym rankiem obudził ich dziwny zgiełk. Gdy spojrzeli przez okno, zobaczyli dużo sowieckiego wojska. Wszyscy oni szli w kierunku promu. W pewnym momencie do domu weszła Martynka. Witano ją z wielką radością. Pytano, gdzie są Ania i Witold.

– Zara tutaj przyjdo, ono wyprowadzo do lasu krowe i konia, żep ruskie ni zabrali.

Martynka opowiedziała, co działo się wczoraj rano w Sarnach. Wczesnym rankiem, gdy żołnierze jeszcze spali, nagle i niespodziewanie nadleciały samoloty niemieckie. Jedne bombardowały kolej i koszary wojskowe, inne lotnisko, gdzie stały gotowe do lotu samoloty. Jak dowiedzieli się od żołnierzy sowieckich, zanim lotnicy sowieccy zdołali dobiec do samolotów, aby je poderwać do lotu, były już kompletnie zniszczone intensywnym bombardowaniem. To samo w koszarach. Wyprowadzone

z koniuszni konie, spłoszone wybuchami, rozbiegły się, nim żołnierze je dosiedli. Niektóre biegały osiodłane. Jednego takiego chwycił Witold i doprowadził do szopy z sianem, gdzie ukrywali się z Anią. Niektóre samochody zdążyły wyjechać z bombardowanego terenu, ale większość tam pozostała. Natomiast jednostki pancerne wycofywały się na wschód tak daleko, na ile starczyło im paliwa, po czym porzucano niezdatne już do dalszej drogi pojazdy. To wszystko można było oglądać po ucieczce wojsk sowieckich również na drodze z Sarn do Brzezin.

W Sarnach były już regularne oddziały armii niemieckiej. Ich ekipy naprawiały uszkodzone tory kolejowe, a główna armia, poprzedzana lekimi pojazdami pancernymi, parła na wschód w pościgu za pośpiesznie i bezładnie wycofującą się armią sowiecką, która, niepokoiona ciągłymi nalotami samolotów wroga, wycofywała się drogami leśnymi, pokonując brody i błotne trzęsawiska, gdzie utknęły i pozostały ich samochody, działa i wszelkie jednostki pancerne. Niemcy pędzili jeńców sowieckich z powrotem na zachód. Wyglądało to na sromotną klęskę Sowietów.

Powoli grzmoty wojny oddalały się na wschód, a na Wołyniu nastał stan bezpaństwowości, czyli nie było już władzy sowieckiej, a nie nastąpiła jeszcze niemiecka. Tę próżnię administracyjną wypełniła anarchia, czyli jak tu mówiono – swoboda. Ukraińcy, którzy stanowili tu przytłaczającą większość etniczną, czuli się panami u siebie. Uzbrojone bandy krążyły po wsiach, demonstrując swoją władzę. Dokonywali rabunku gospodarstw polskich. Nachodzili rodziny żydowskie, rabując wszystko i grożąc bronią, gdy żądali oddania im ukrytych precjozów. Do Brzezin też przyszli, ale rabowali głównie sowchoz. Czujny Mikołaj uratował część chudoby, chroniąc ją w pobliskim lesie.

Wkrótce Niemcy wprowadzili swój porządek. Nakazali zdać wszelką broń, będącą w posiadaniu ludności. Ogłosili też, że jedyną władzę w miastach i miasteczkach sprawują komendanci garnizonów. Poza tym nakazali wszystkim Żydom z rodzinami przenieść się do najbliższych gett – w Sarnach lub Kostopolu. W porozumieniu z kolaborującymi z nimi Ukraińcami utworzyli policję ukraińską, tak zwanych szucmanów. Policja ta uzupełniała niemieckie siły utrzymujące w ryzach ludność Wołynia –

Żydów, Polaków i Ukraińców. Przy czym każda z tych grup etnicznych była przez Niemców inaczej traktowana, a mianowicie Ukraińcy byli uprzywilejowani, Polacy dyskryminowani, a Żydzi wyjęci spod prawa. Żyda można było zabić, nie ponosząc żadnych konsekwencji.

Ustanowiono sołectwa. W każdej wsi rządził sołtys, Ukrainiec, utrzymujący ścisły kontakt i wykonujący wszelkie polecenia rejonowego komendanta szucmanów, też Ukraińca, mianowanego przez Niemców i wykonującego ich polecenia.

Wycofujący się Sowieci pozostawili po sobie ślady terroru, ale też ludobójstwa. W więzieniu w Łucku wymordowali kilka tysięcy więźniów. Podobnie w innych więzieniach i aresztach straż więzienna otrzymała polecenie nie pozostawić więźniów żywymi.

\*

W tym niespokojnym czasie Ania i Witold nocę spędzali przy matce i dziadkach. Pewnego wieczoru odwiedził ich sąsiad, Polak, który nawiązując do masakry więźniów dokonanej przez Sowieców, mówił, że za czasów niepodległej Polski pełnił służbę strażnika w dużym więzieniu na terenie naszego kraju. Było to więzienie o zaostrozonym rygorze dla zabójców, recydywistów kryminalnych, groźnych przestępców pospolitych, terrorystów skazanych na dożywocie. Pierwszego września 1939 r. gdy wojska niemieckie zaatakowały granice polskie, a ich lotnictwo bombardowało nasze miasta, władze polskie wydały polecenie otwarcia bram więziennych, by umożliwić osadzonym opuszczenie murów więziennych i udanie się w dowolnym kierunku. Takie polecenie otrzymali wszyscy komendanci straży więziennej w całym kraju. Jako ciekawostkę podał, że nie wszyscy więźniowie skorzystali z tego prawa. Byli tacy, którzy nie mieli dokąd iść i pozostali w więzieniu z możliwością wyjścia, bo bramy były otwarte i niestrzeżone. Byli więźniowie chorzy w przywięziennym szpitalu, których ewakuacja w tych warunkach była niemożliwa. Przy nich pozostała bohaterska służba medyczna, dzieląc z nimi dramatyczny los w czasie bombardowania i armatniego ostrzału. Niemcy bowiem nie szczędzili szpitali, świątyń i szkół.

Naraz ktoś ze słuchających powiedział:

– W takim razie Iwanko znalazł się na wolności i możemy spodziewać się, że tu wróci.

Opowiadania byłego strażnika słuchano z dużym zainteresowaniem i przejęciem, ale ta ostatnia uwaga, że Iwanko może tu wrócić, podziałała na wszystkich porażająco. Przez chwilę trwała złowroga cisza, tylko Ania siedząca przy Witoldzie objęła go ramieniem i przytuliła się do niego. Twarz Martynki pobladła.

Były strażnik odszedł, pozostali tylko domownicy. Wówczas wciąż panującą grobową ciszę przerwał Walerian.

– Ni turbujcie sie – mówił. – Tera je wojna, może un ni żyje. A jakby co i un tutaj przyjszet, to chaj ja jemu otworze drzwi i zapytam, co chce. Ja ni wim, co un powi, aliż na pewno nie będzie mnie się bojał. Jaż stary, ali renki moje jeszcze mocne. Jak un mnie odepchnie i będzie chciał wejść du izby, ja jego pchne schowanym w renkawie nożem, tak, żep ni przeżył. Myśle, ży to nie będzie grzych. Tera wojna i ludzie gino jak muchi. Ja ni zrobie tego jak un będzie za progiem, aliż jak mnie ni posłucha i siło wejdzie, to ja mam prawo bronić się, a ży to bandyta, to Pan Bóg wi i jest sprawiedliwy, to poswarzy się trochi i ni wsadzi mnie du piekła.

Rodzina z przymrużeniem oka wysłuchiwała wojowniczych zapowiedzi dziadka, ale ich nie lekceważyła. Ten nieodrodny syn Klemensa, bohaterstwa powstańca styczniowego, który zmarł na skutek odniesionych ran w czasie zaciętej bitwy z Kozakami, mógłby zdobyć się na taki brawurowy czyn w obronie rodziny.

\*

A jaki los zgotował sobie Iwanko? Został oskarżony o zabójstwo policjanta i usiłowanie zabójstwa drugiego, a sąd pierwszej instancji wymierzył mu karę 10 lat więzienia. Na wniosek prokuratora sąd apelacyjny tę karę podwyższył do 15 lat. Skazany został osadzony w więzieniu o zastrzygłym rygorze w Rawiczu.

Gdy pierwszego września 1939 r. Niemcy bombardowaniem naszych miast rozpoczęły wojnę z Polską, władze polskie wydały nakaz

otwarcia więzień na terenie całego kraju i ogłoszenia więźniom, że mogą wyjść na wolność. To zarządzenie dotyczyło też zakładu karne-  
go w Rawiczu. Przy wyjściu z więzienia odpowiednie służby ustawi-  
ły stoły, a na nich torebki z żywnością na drogę dla każdego więźnia.  
Przy następnym stole kilku strażników wypisywało krótką informację,  
gdzie było tylko imię i nazwisko osadzonego oraz pieczętka więzienia.  
Wojska niemieckie były już w Rawiczu, bombardowano również wię-  
zienie. W popłochu niektórzy więźniowie zdążyli wziąć żywność, inni  
uciekli bez prowiantu. Mimo tej paniki Iwanko stanął przy bramie wię-  
ziennej i krzyczał:

– Kto jest Ukraińcem – do mnie!

Zgłosiło się kilkanaście osób, ale na skutek spadających bomb roz-  
biegli się i wróciło tylko pięciu. Razem szybko wybiegli poza bombar-  
dowane miasto. Usiedli w jakimś zagajniku, gdzie czuli się bezpieczniej.  
Wówczas Iwanko w języku ukraińskim powiedział im, że jest Ukraińcem  
z Wołynia. W tym momencie dwóch obecnych oświadczyło, że też są  
Ukraińcami z Wołynia. Pozostali pochodzili z województwa stanisła-  
wowskiego.

– Będziemy starali się przemykać w nasze strony. Toczy się wojna  
i wkrótce Niemcy zwyciężą, a polskie wojsko wezmą do niewoli. My,  
w stroju więziennym, nie musimy bać się Polaków, ale Niemcy mogą nas  
razem z Polakami wziąć do niewoli.

Na to jeden z obecnych powiedział, że dobrze zna niemiecki i im  
wytłumaczy, że oni są Ukraińcami i że też chcą walczyć z Polakami, ale  
mimo wszystko lepiej Niemców unikać i starać się przedrzeć do stron,  
gdzie ludność ukraińska stanowi większość.

Żywność szybko im się skończyła. Ludzie, widząc ich więzienny strój,  
niechętnie udzielali im pomocy. Iwanko marzył o zdobyciu jakiejś bro-  
ni. Nagle wpadł na pomysł. Szli ścieżką przez rozległe łąki. Zauważył, że  
daleko za nimi idzie dwóch polskich żołnierzy z karabinami, widocznie  
z jakiejś rozbitej jednostki wojskowej.

– Chłopcy! – krzyknął Iwanko do swoich kamratów. – Połóżcie się  
na trawie po obu stronach ścieżki i gdy ci żołnierze nadejdą, wołajcie:

„Wody, wody, chleba!” Oni zobaczą nasz więzienny strój i będą starali się nam pomóc. Gdy wejdą między was, na moją komendę chwycicie ich za stopy i zwalicie z nóg. Resztę wykonam ja, a wy mi pomożecie.

Nieszczęśni, utrudzeni marszem żołnierze nadeszli, a widząc leżących więźniów błagających o wodę i chleb, weszli między nich i odpinali manierki z wodą, aby po trochu dać każdemu. W tym momencie Iwanko krzyknął:

– Teraz, chłopcy!

I sam też zwał z nóg najbliższego żołnierza, wyrwał mu karabin i kolbą roztrzaskał głowy im obu. Kazał zdjąć im mundury, jeden wziął dla siebie, a drugi założył inny z jego bandy. Odtąd po żywność chodzili oni, w polskich mundurach, więc zawsze byli ciepło przyjęci i nie odchodził bez prowiantu.

Aż wreszcie zaszedł w rejon województwa stanisławowskiego. Tu czuli się pewniej, bo większość wsi była ukraińska. Ta pewność ich zgubiła. Gdy w pewnym momencie w oddali zobaczyli idących trzech żołnierzy polskich, którzy szli w kierunku przecinającym kierunek ich marszu, Iwanko zdecydował się zaatakować i zdobyć ich broń. W tym celu zwrócił się do swego uzbrojonego kolegi słowami:

– Ja pójdę na przód, a ty tuż za mną. Kiedy nadejdą, ja strzelę do tego pierwszego, który ich prowadzi, a ty do jednego z tych dwóch pozostałych. Czy jesteś na to gotowy?

– Tak – odpowiedział drżący jak liść chłopak.

Chyłkiem przemknęli do miejsca zapewniającego lepszą skuteczność strzału. Iwanko był mało doświadczony w takich akcjach, ale odważny, natomiast ten drugi też nie miał doświadczenia, a przy tym był bardzo przestraszony. Padły strzały, ale oba chybione. Zaatakowani żołnierze upadli i odpowiedzieli ogniem. Nie mieli problemu. Na polu walki został tylko Iwanko, który jęczał ranny, natomiast jego kolega uciekł i w wielkim pośpiechu zgubił swój karabin. Iwanko był ranny, ale przytomny.

– Czegoś strzelał do nas? – spytał jeden z żołnierzy.

– Myślałem, że strzelam do Niemców.



– Jest dzień i widziałeś nasze mundury. Właściwie powinienem cię rozstrzelać, bo jesteś zdrajcą, ale już dostałeś za swoje. Chłopcy, zróbcie mu opatrunek, bo całkiem się wykrwawi.

Każdy żołnierz polski posiadał w swoim ekwipunku jeden lub dwa pakiety opatrunkowe. Po zdjęciu z rannego munduru okazało się, że pocisk przeszył mu prawą pierś. Rana na plecach silnie krwawiła. Żołnierze umyli postrzał środkiem bakteriobójczym, założyli tampony i bandażę, po czym nakryli go jego mundurem. Odchodząc, dowódca rzekł do niego:

– Teraz proś Boga o pomoc, my musimy iść w swoją drogę.

Iwanko nie mógł głośno wołać o pomoc, ale wył z bólu. Usłyszeli go jego kompani, którzy jak wylękle szczury wyczołgiwali się z krzaków, a widząc, że żołnierze odeszli, otoczyli rannego, dali mu pić, co znacznie mu ulżyło. Z gałęzi drzew wykonali prowizoryczne nosze, na których niesli Iwanka.

Wkrótce wyszli z lasu na teren odkryty. W niedużej odległości zobaczyli wieś. Charakter zabudowań wskazywał, że była ukraińska. Podeszli do pierwszej z brzegu zagrody. W języku ukraińskim przedstawili się gospodarzom, że są nacjonalistami ukraińskimi, osadzonymi przez Polaków w więzieniu. W chwili wybuchu wojny więzienia polskie zostały otwarte i oni, uwolnieni, idą teraz w swoje strony – na Wołyń.

– Dziś zostaliśmy napadnięci przez polski patrol, który nas ostrzelał i ranił naszego przywódcę. On pilnie potrzebuje pomocy medycznej.

Po chwili zebrali się sporo sąsiadów. Kobiety przynosiły im żywność i napoje. Przyszedł też mężczyzna z tryzubem<sup>2</sup> na czapce, który spytał przybyszy o dokumenty, ale wyjaśniono mu, że więzienie w Rawiczu, gdzie byli osadzeni, było bombardowane i nie dawali żadnych dokumentów, wszyscy musieli uciekać.

– Jedyńym naszym dokumentem jest więzienny strój.

– Dobrze – powiedział ten z trójzębem. – A dlaczego ci dwaj mają polskie mundury?

– To Ukraińcy, dezterterzy z armii polskiej, oni właśnie nas zgromadzili i prowadzili w rodzinne strony.

---

<sup>2</sup> Trójzab – element herbu Ukrainy.

Za chwilę podjechała *podwoda* wysoko wymoszczona słomą i odwiozła Iwanka do Stanisławowa, gdzie znajdował się kolaborujący z Niemcami Ośrodek Ukraińskich Nacjonalistów. Tam w indeksie znalaziono podawane przez rannego nazwisko – Iwan Kłym, współpracownik z OUN<sup>3</sup> we wsi Brzeziny. Z tego powodu zajęto się nim ze specjalną troską. Pozostali mieli wolną rękę. Mogli kontynuować swój marsz na Wołyń, ale wtedy właśnie Sowietci rozpoczęli inwazję polskich ziem wschodnich, więc było to niemożliwe.

Uraz postrzałowy Iwanka był poważny. Miał on przestrzelone płuco i rozerwane żebro. Poza tym był bardzo wykrwawiony. Przeszedł operację i długi okres rekonwalescencji. W końcu wrócił do zdrowia. Nadal tęsknił, mając w pamięci twarz, a szczególnie oczy dziewczyny, która już chyba na zawsze zostanie panią jego serca. Tęsknił też do swojej ziemi rodzinnej i do Marusi, która go kochała, on zaś ją lubił, ale chwilami nienawidził za to, że nie jest Anią.

Gdy osiągnął sprawność fizyczną, jego ukraińscy nacjonalistyczni opiekunowie skierowali go na kurs szkoleniowy dla bojowników OUN. Kurs ten był finansowany i kontrolowany przez nazistów niemieckich.

Tyle o Iwanku po jego aresztowaniu. W dalszej części opowiadania jeszcze do niego wrócimy.

\*

A tymczasem na Wołyniu szalał terror niemiecki. Ulicami miast i większych osiedli maszerowały oddziały Wehrmachtu i śpiewały: *Deutschland, Deutschland über alles* albo podległe im oddziały szuchmanów ukraińskich śpiewających marszową pieśń *Smert, smert Lacham, smert żydowsko-maskowskiej komuni*. Niemcy do ujarzmienia podbitych narodów werbowali do pomocy najbardziej zdemoralizowany element ludzki. W ich planach była likwidacja całych narodów i grup etnicznych. Na podbitych kresowych terenach drugiej RP wykorzystywali Ukraińców wyznających obłądną ideologię nacjonalizmu, używając ich jako narzędzi do fizycznej likwidacji Żydów, tudzież trzymania w ryzach Polaków.

<sup>3</sup> OUN – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów.

Taki element stanowiła policja ukraińska podporządkowana Niemcom, tak zwani szucmani. To oni walnie przyczynili się do wielu zbrodni planowanych przez gestapo, a w pierwszej kolejności do psychicznego nękania ludności żydowskiej na skalę dotychczas niewyobrażalną, by w końcu w sposób również okrutny, kierowany przez Niemców, dokonać fizycznej zagłady tego narodu.

Na Wołyniu i na całych polskich Kresach nie było niemieckich obozów śmierci i krematoriów. Ludność żydowska zgromadzona była w gettach, które istniały we wszystkich miastach i miasteczkach. Gdy zapadła zbrodnicza niemiecka decyzja: „Rozwiązanie kwestii żydowskiej”, przy każdym gettcie (w pewnej odległości od niego) kopano odpowiedniej wielkości doły śmierci. Do ich wykonania zmuszano mężczyzn żydowskich. Od tych, którzy kopali te doły, ludzie w gettach dowiedzieli się i uświadomili sobie, że zbliża się ich zagłada. W odróżnieniu od takich ośrodków zagłady jak Auschwitz czy Majdanek, gdzie mordowano ludzi metodą przemysłową, tu, na Kresach, wykonywano to ręcznie, z tym małym wyjątkiem, że zastosowano metodę dowożenia Żydów z małych skupisk do dołów śmierci, używając samochodów skrzyniowych, do których ładowano Żydów. Skrzynię zamykano i gazy spalinowe pracującego silnika kierowano do tej skrzyni. Gaz w czasie jazdy wypełniał skrzynię, dusząc zgromadzonych w niej ludzi. Gdy samochód przybywał na miejsce przeznaczenia, ludzie już nie żyli. Taki samochód nazywano „duszo-hubką”.

Ale to jeszcze nie koniec tragedii Żydów. Podczas tej masowej akcji zagłady byli tacy, którym udało się zbiec i gdzieś ukryć. Potem tułali się po lasach, szukając pomocy w osiedlach polskich. Do wsi ukraińskich nie zbliżali się z uwagi na to, że stamtąd właśnie pochodzili mordercy Żydów – szucmani. Mimo hitlerowskiego edyktu nakazującego mordowanie rodzin i całych osiedli za pomoc Żydom, Polacy im pomagali i ukrywali, za co wiele rodzin i osiedli zapłaciło życiem.

W tym miejscu, abstrahując od toku tego opowiadania, niejako w nawiasie, pozwolę sobie nadmienić, że moje polskie osiedle Obórki zostało w całości wymordowane przez szucmanów za udzielanie pomocy

Żydom. Stało się to w listopadzie 1942 roku na Wołyniu. Wówczas jedynie mnie udało się cudem ocalić życie.

Wracając do tułających się Żydów: ich los był straszny, bez żadnych szans przeżycia. Zbliżała się zima i spadł śnieg, na którym jak na dłoni widoczne były ślady ich stóp prowadzące do kryjówek, na przykład do stogów siana, w których wyskubywali siano, aby w powstałych w ten sposób komorach ratować się od mrozu. Te ślady ułatwiały szucmanom dotarcie do kryjówek, gdzie na miejscu ich mordowano.

\*

Pewnej jesiennej nocy ktoś zapukał do drzwi Walerianów. Martynka podeszła i spytała „Kto to?”, po czym usłyszała: „Dora – córka Chaima”. Po otwarciu drzwi oczom domowników ukazała się młoda kobieta zupełnie niepodobna do wytwornej córki Chaima. Była wyczerpana, brudna, a jej odzież niemal całkiem zniszczona, zabłocona i postrzępiona. Była też całkowicie zmieniona na twarzy. Była tak słaba, że Martynka musiała jej pomóc wejść do izby. W domu wywołało to wielkie poruszenie. Natychmiast zagrzano wodę do mycia, przygotowano suchą, czystą odzież, bo ta, którą miała na sobie, była nie tylko zniszczona i brudna, ale też mokra, ponieważ padał deszcz. Umytą i ubraną w czystą odzież poproszono do stołu na gorący posiłek. Potem przygotowano jej wygodne łóżko, w którym spała całą dobę.

W tym czasie Martynka poszła do pani Matyldy. Po naradzie ustaliły, że Sawko odprowadzi Dorę do Sarn, gdzie znajdzie ona schronienie u żony Romana.

Sawko, ten znany włóczęga i kuglarz, potrafił radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach. Przeprowadził Dorę przebraną za chłopca do domu Romana, pod opiekę jego żony. Dora mówiła dobrze po polsku. Musiała nauczyć się polskiego pacierza, a Sawko w porozumieniu z księdzem wyrobił jej metrykę urodzenia, w której figurowało polskie nazwisko i imię Dioniza. Antycypując przebieg dalszego losu Dory, należy powiedzieć, że mimo różnych zagrożeń ocalała i doczekała klęski Niemiec, a wszystko dzięki dobrym ludziom, którzy pomogli jej z narażeniem własnego życia.

Sołą w oku nacjonalistów ukraińskich po dokonanym ludobójstwie Żydów pozostała jeszcze polska grupa etniczna. Natomiast okupant niemiecki ostateczną rozprawę z Polakami odkładał na czas późniejszy. Wielkie zaangażowanie Niemców na wszystkich frontach, a zwłaszcza na wschodnim, było powodem, że brakowało im kadr wojskowych do odpowiedniego obsadzenia okupacyjnych garnizonów. W tej sytuacji musieli je wzmacniać kolaborantami z innych grup etnicznych. Na Wołyniu funkcję tę pełnili szucmani. Oni to, niejako sadystycznie rozgrzani podczas okrutnego mordowania żydowskich rodzin, pragnęli kontynuować ten zbrodniczy proceder na ludności polskiej, ale Niemcy nie byli na to gotowi. Być może z punktu widzenia Niemców istnienie dwóch zantagonizowanych grup etnicznych zapewniało im większe bezpieczeństwo. Proporcje pomiędzy polską i ukraińską grupą etniczną były nierówne. Populacja ukraińska na Wołyniu była wielokrotnie liczniejsza od polskiej, a przy tym faworyzowana przez Niemców. Z tego powodu Polacy na Wołyniu czuli się osaczeni, bezbronni i słabi. Wprawdzie panował jeszcze wtedy względny spokój i koegzystencja Ukraińców z Polakami pozornie była poprawna, ale uważni obserwatorzy zauważali już podejrzane ruchy. Jacyś obcy ludzie wieczorami zwoływali wiece. Pobrzmiwały antypolskie śpiewy, wcześniej nigdy nie słyszane.

Tak było do czasu, gdy nagle wszyscy szucmani opuścili Niemców – zdezerterowali. Stało się to w połowie marca 1943 r. Wtedy zaczęła się rzeź wołyńska. Nocami widziało się łuny na niebie, a w dzień dymy. Ludzie z niepokojem patrzyli na to, nie wiedząc, co się dzieje. Dopiero później uchodźcy z terenów tej pożogi donosili, że robią to szucmani i chłopstwo ukraińskie. Oddziały tych bandytów nazywano „bulbowcami”. Ich ofiarami były rodziny polskie, które w sposób okrutny mordowano, a ich budynki palono. Działo się to daleko od Brzezin, które leżały przy granicy polsko-bolszewickiej (od 17 września 1939 roku nieistniejącej). Za tą wschodnią granicą żyło kilkakrotnie więcej Ukraińców niż po stronie polskiej, ale to byli całkiem inni mentalnie ludzie, nieskażeni obłądną ideologią nacjonalistyczną. Ze względu na

szczelność granicy sowieckiej żadna propagandowa nacjonalistyczna bibuła tam nie docierała. Natomiast wraz Polakami, którzy żyli wśród nich, doświadczyli śmiercionośnego głodu i terroru bolszewickiego. Tam nie było nienawiści i napadów na ludność polską, Miało to wpływ na mniejsze zagrożenie Polaków w Brzezinach chociażby z uwagi na to, że od wschodu nie spodziewali się napadu. Jednak na zachód od nich, na Wołyniu, tam już się działo.

\*

Iwanko po ukończeniu kursu, podbudowany ideologicznie i już całkiem sprawny fizycznie, został mianowany *sotnikom* (dowódcą kompanii) i skierowany na Wołyn. Początkiem jego większych „dzieł” po likwidacji kostopolskiego getta, w której też miał swój udział, był napad i masakra polskiego osiedla Janowa Dolina. W Wielki Piątek 1943 roku wymordowano tam lub żywcem spalono w domach ponad sześćset osób narodowości polskiej, w większości kobiet i dzieci.

Iwanko jednak bardzo tęsknił do swoich rodzinnych stron, a szczególnie do pewnych dziewczęcych oczu i całej (znanej nam) postaci. Jako osoba całkowicie podporządkowana dowódcy *kurenia*, nie mógł sobie pozwolić na kilkudniowe oderwanie się od swoich obowiązków, aby odwiedzić Brzeziny, szczególnie gdy otrzymał rozkaz dołączenia do zgrupowania sposobionego do operacji przeciw samoobronie Polaków w Hucie Stepańskiej. W tej rozterce postanowił wysłać do Brzezin dwóch swoich zaufanych mołojców, aby sprowadzili mu Marusię. Zaopatrzeni w jego list do Marusi i zapasowego konia, wyruszyli.

Marusia była zaskoczona, ale szczęśliwa, że Iwanko żyje i o niej pamięta. Bez wahania wyraziła zgodę na wyjazd do niego, do chłopca, którego tak bardzo kochała, mimo że ta miłość była pełna upokorzeń.

Powitanie było krótkie: Marusia rzuciła się mu na szyję, on też ją objął, ale pierwsze jego pytanie brzmiało: *Skaży meni, Marusiu, wsio naszczot Ani*. (Powiedz mi, Marusiu, wszystko o Ani.) Takie pytanie już przy powitaniu było sztyletem w serce Marusi. Potrzebowała chwili na ochłonięcie, gdyż liczyła na to, że czas wpłynął na osłabienie uczucia



Iwanka do Ani. Zawiodła się, musiała pogodzić się z tym, że swoją osobą nigdy nie zdystansuje Ani w sercu tego chłopaka.

– *Chcesz znaty pro Aniu? Tak ja prosto skażu, szczo ona wże zamiżnia. Jej czołowikom staw Witek.* (Chcesz wiedzieć wszystko o Ani? To ja ci po prostu powiem, że jest już zamężna. Jej mężem jest Witek.)

– *Szczo ty skazała?! Witek!?* (Coś ty powiedziała?! Witek?!)

– *Tak, win...* (Tak, on...)

– *Nikoły ja ne dumał, szczo tak stanetsia. Ot swołocz!. Win nikoły ne skazaw meni, szczo win wlubljanyj w neji. Joho dola zapysana w moim prohramie, tilky Aniu musymo zachyszczati. Ty, Marusin'ka meni dopomożesz.* (Nigdy bym nie przypuszczał, że tak się stanie. To bydlę! Nigdy mi nie powiedział, że jest w niej zakochany. Jego los jest zapisany w moim programie. Musimy tylko ochronić Anię. Ty, Marusieńko, mi w tym pomożesz.)

Marusia przełknęła tę gorzką pigułkę. Później rozmawiali na tematy ogólne. Dowiedziała się, że będzie przeszkolona i uzbrojona, dostanie mundur oraz konia i będzie jego adiutantką. Nie powiedział tylko, że będzie jego kochanką, nałożnicą, ale Marusia wiedziała o tym i nie miała sił, aby temu nie ulec. W ramach tego przeszkolenia, które musiała przejść, było posługiwanie się bronią oraz odpowiednie przygotowanie ideologiczne. Obsługę broni opanowała z dobrym wynikiem, natomiast wykłady ideologiczne, wedle których Polaków należy bez litości mordować, kwitowała milczącą dezaprobatą. Czuła się Ukrainką z pochodzenia i patriotką, ale mordowania kobiet, dzieci i w ogóle ludzi niewinnych nie akceptowała. Nie mogła swego zdania w tej sprawie głośno deklarować, bo za to groziła śmierć, ale w duchu przeżywała to boleśnie. Iwanko traktował ją instrumentalnie, ona odświeżała mu pamięć o rodzinnej wsi, zaspokajała jego zmysłowość i była jedną, jedyłą, która знаła Anię. Bywało, że w czasie najbardziej intymnych kontaktów z nią mówił do niej „Aniu”. Cierpiała, ale nawet nie reagowała na to, uzależniona od niego jak od narkotyku. Przychodziła jej na myśl ucieczka, ma przecież konia i orientuje się w terenie. Myślała nawet o samobójstwie. Nic z tego. Jego osoba jak magnes trzymała ją przy nim i jego życzenia spełniała bez oporu.

Kilka *kureni*, w tym *sotnia* Iwanka, wyruszyło na zdobycie samoobrony Polaków w Hucie Stepańskiej. Wraz z nimi szło kilkuset ukraińskich chłopów, tak zwanych rezunów – katów dokonujący najbardziej okrutnych zbrodni przy użyciu siekiery i noża.

Placówka samoobrony w Hucie Stepańskiej była dobrze zorganizowana i ufortyfikowana, a jej załoga zdeterminowana do walki. UPA przeważała liczbą napastników, a przede wszystkim siłą uzbrojenia. O sile walczących decyduje motywacja – sens i cena zwycięstwa. Tę cenę u Polaków stanowiła obrona życia rodzin. W takiej intencji warto poświęcić życie. Motywacje po stronie napastników były słabe. Ich celem było wymordowanie obrońców i rabunek ich mienia. Za taką cenę nie warto oddawać życia. Dlatego bandy ukraińskie unikały konfrontacji zbrojnej, ich taktyką było zaskoczyć mieszkańców polskich osiedli, wejść i ich wymordować. No, ale taką polską fortalicję jak Huta Stepańska nakazem naczelnego dowództwa UPA musieli atakować, ponosząc duże straty. O ostatecznej klęsce samoobrony zdecydowało wyczerpanie się amunicji. Ewakuacja ludności pod osłoną obrońców z Huty do stacji kolejowej, gdzie znajdowały się niemieckie garnizony, była dramatyczna. Wróg zlikwidował słabą osłonę i zebrał krwawe żniwo, którego rozmiarów do dziś nie znamy.

Po likwidacji samoobrony w Hucie Stepańskiej śmiercionośny walec wtargnął do powiatu sarneńskiego i zbliżał się do Brzezin. Ponieważ napadów dokonywano w nocy, gdy ludzie już spali, Polacy z Brzezin nie nocowali w swoich domach. Kilka rodzin przeniosło się do miasta, pozostali noce spędzali w polu lub u ukraińskich przyjaciół.

Pop brzeziński był człowiekiem prawym. Polaków traktował z równą życzliwością jak swoich ukraińskich rodaków. W tych dniach trwogi starał się pomóc rodzinie Waleriana. Był ich bezpośrednim sąsiadem. „Teraz jest ciepło – mówił – możecie spędzać noc w mojej szopie. Tam jest siano oraz miejsce na wóz i konia. Szopa jest niedaleko lasu, w polu. Nie ma tam dróg i nikt tamtędy nie chodzi, wiedząc, że to moja posiadłość”.

Pewnego poranka nieoceniony Sawko przyniósł Polakom w Brzezinach wiadomość, że w Moczulance – dużej polskiej kolonii – powstała samoobrona, a w okolicznych lasach krążą partyzanci sowieccy.

Najbardziej pocieszającą wiadomością było to, że są tam też partyzanci polscy, m.in. oddział pod komendą „Wujka” vel „Bomby”, zwany oddziałem „Bomby”. Do Moczulanki z Brzezin było około dwunastu km przez las. Wybrał się tam Witek z innymi Polakami, aby znaleźć sobie miejsce w samoobronie i sprowadzić tam rodzinę.

Do szopy popa przenieśli się rodzice Martynki, był też już tam wóz i koń, w zagrodzie została krowa, świnka i drób. Pewnego dnia Martynka i Ania poszły do swojej zagrody, żeby spakować jakieś niezbędne rzeczy i przenieść je do szopy. Głównie zajęte były w oborze, łapiąc kury i ładując je do worków. Naraz usłyszały jakieś rozpaczliwe krzyki. Gdy otworzyły drzwi, z przerażeniem ujrzały płonące budynki ich polskich sąsiadów, palił się również ich dom, a przed nim stał bulbowiec-rezun, który zauważył je i ruszył w ich kierunku. Z obory nie można było uciec, ale graniczyła ona ze stodołą, która na klepisku miała dwie bramy (przelotowo). Tak więc zaczęły biec do stodoły, żeby tylnymi drzwiami wypaść w pole i uciec. Okrutny pech chciał, że tylna brama była zamknięta, a na otwieranie jej nie było już czasu. Szarpały zasuwę blokującą drzwi, gdy pierwszą bramę, przez którą tu weszły, na oścież otworzył straszliwy zbir i z zakrwawioną siekierą w jednej ręce, a nożem w drugiej zbliżał się do nich z szyderczym uśmiechem, iskrzącymi od sadystycznej nienawiści oczyma, żądny laskiej krwi. Przytulone do siebie w kącie klepiska wiedziały, że za chwilę poniosą męczeńską śmierć i polecały się Bogu. Ale w tym momencie stało się coś niesamowitego. Na klepisko wpadł Iwanko i jednym potężnym uderzeniem kolby swojego automatycznego pistoletu zwałił z nóg rezuna. Otworzył bramę i krzyknął do kobiet:

– *Wtekajcie!*

Obie bez słów pobiegły w pole w kierunku szopy. Iwanko popatrzył jeszcze dokąd uciekają, zamknął bramy i podpalił stodołę razem z ogłuszonym rezunem.

Po chwili do szopy przybiegł Witek, który z daleka widział pożar. Z ogromnym przejęciem wysłuchiwał Ani i Martynki, które jeszcze nie ochłonęły po tych przeżyciach.

– Musimy jak najszybciej stąd uciekać do lasu, ale nie teraz, bo nas mogą zobaczyć. Poczekamy tu do zmierzchu.

\*

Jak do tego doszło, że w krytycznym momencie Iwanko znalazł się w stodole i uratował Anię i jej mamę?

W jego zamiarach nie było uczestniczenie w rzezi ludności polskiej w Brzezinach. Zrobią to inni... To była jego rodzinna wieś. Był świadkiem przyjaźni Ukraińców do ich polskich sąsiadów. Autorytety w Brzezinach – pop i wieloletni nauczyciel, z pochodzenia Ukrainiec – byli gorącymi zwolennikami dobrosąsiedzkiej koegzystencji tych dwóch grup etnicznych.

Z zimną krwią uznał jednak, że rzeź Polaków jest konieczna i nieunikniona. On chciał ratować dla siebie tylko Anię. Chciał jej oszczędzić tych tragicznych przeżyć, ale nie widział ku temu możliwości. Nie wszystko bowiem zależało od jego decyzji. Poszczególne sotnie prześcigały się w aktywności napadów. Dzięki swojemu wywiadowi wiedział, co dzieje się w terenie. Doszło do jego wiadomości, że w danym dniu grupa *stryłciw* i rezunów wyruszy na Brzeziny. Nie mógł iść tam z całą swoją sotnią. Nie było takiego rozkazu. Natychmiast wydał rozkaz Marusi, aby siodłała konia i towarzyszyła mu w drodze do Brzezin. Dowództwo nad sotnią powierzył swojemu zastępcy i oboje z dziewczyną wyruszyli. Widząc, że niektóre polskie domy w Brzezinach już płoną, rozkazał Marusi pozostać w jej rodzinnym domu, a sam wyruszył na rekonesans. Nie musiał się obawiać o własne życie. Wszyscy wiedzieli, że on jest dowódcą sotni. Jak się okazało, w ostatniej chwili uratował życie Ani i jej mamie. Mógł wtedy dla siebie ratować tylko Anię, pozostawiając jej mamę rezunom, ale wiedział, że nawet w obliczu śmierci nie opuści ona matki. Własnymi rękoma zniewalać jej nie chciał, mając nadzieję, że łagodnością i dobrocią kiedyś ją przełamie. Wiedział, gdzie jest kryjówka Ani, nie mógł zwlekać, aby nie uciekła do lasu. Postanowił, że robi to teraz z pomocą Marusi. W tym celu wydał jej rozkaz (wszak była jego adiutantką):

– Marusia, przygotuj konia i broń gotową do strzału. Będiesz mnie ubezpieczać. Jedziemy po Anię i zabierzemy ją do siebie, do naszego

domu. Uważnie mnie słuchaj: Ania jest w szopie popa, tam w polu. Jeżeli będzie przy niej Witold, będę musiał go zastrzelić. Ty zejdziesz z konia i delikatnie, pod rączki, będziesz prowadzić Anię. Ja nie chcę jej siłą porwać, ale ty możesz. Jeżeli ktoś będzie ci to utrudniał, też go zastrzelę, chociaż wolałbym tego uniknąć. Czy zrozumiałaś? – tonem dowódcy spytał Iwanko.

– Zrozumiałam – odpowiedziała zmienionym głosem.

Jadąc za nim myślała: „A więc będę w haremie, w którym główną rolę odegra ona, a ja będę ich sługą. Tego nie przeżyję”. Marusia dobrze знаła mentalność Iwanka. Zorientowała się, że w tej jego fascynacji Anią jest więcej lubieżnego pożądania niż prawdziwej miłości. On wiedział, że nie powinien ratować jej życia, bo wedle ideologii, którą wyznawał, za ochronę Polaków karano śmiercią. Tolerowano natomiast gwałcenie polskich kobiet przed zabiciem, a watażkowie tej rangi, jaką posiadał Iwanko, mogli dla uciechy zatrzymać Polkę przy sobie na kilka dni, ale po tym okresie musieli własnoręcznie ją zabić. Iwanko wiedział o tym i nie miał zamiaru tego nakazu lekceważyć. Zależało mu jednak, aby Ania nawet w rozpaczliwym stanie ducha wierzyła, że on ją kocha i chce uratować. Liczył, że Ania może zdobędzie się na jakąś uległość wobec niego, a wtedy rozkosz posiadania jej będzie niewspółmiernie większa niż przy zastosowaniu przemocy. Marusia wiedziała, że kocha potwora, ale brak jej było sił, aby od niego odejść.

Gdy przybyli na miejsce, zastali na zewnątrz szopy Anię i Witka, zajętych pakowaniem jakichś rzeczy. Nagły najazd bandyty nie dał im czasu na ucieczkę. Gdy Ania zobaczyła pistolet w ręku swojego prześladowcy, własnym ciałem zasłoniła Witka i zawołała:

– Nie strzelaj, a jeżeli już, to najpierw zabij mnie!

I nadal osłaniała Witka, a Iwanko zajeżdżał z różnych stron. Wreszcie Witek, chcąc oszczędzić Anię, nagle rzucił się na napastnika. Bandyta miał go teraz jak na dłoni. Wymierzył w głowę Witka i padł strzał. Ale zdarzyła się rzecz niesłychana: nie był to strzał oddany przez Iwanka. Sparaliżowana dramatyczną sytuacją Ania patrzyła na Iwanka i krzyczała:

– Nie strzelaj!

Nagle zobaczyła przy głowie Iwanka błysk ognia z lufy pistoletu trzymanego ręką Marusi, która w tej samej chwili zawróciła konia i galopem odjechała. Iwanko zaś spadł z konia.

Witek, nie tracąc głowy, natychmiast chwycił za uzdę konia Iwanka, podniósł leżący na trawie pistolet bandyty i odpiął jego pas z ładownicami amunicji, po czym bez zwłoki ruszyli całą rodziną w kierunku lasu. Odgłos strzału mógł zaalarmować bulbowców, a ci niechybnie podjęliby pościg. Nasi uchodźcy byli już jednak uzbrojeni. Okazało się, że w jukach przy koniu Iwanka znajdował się automatyczny karabin i amunicja. Witold natychmiast załadował go amunicją, a Ani dał pistolet. Była przeszkolona i potrafiła skutecznie korzystać z tej broni.

Uciekali do lasu, bacznie oglądając się do tyłu, czy nie są ścigani, ale nic nie widzieli poza resztkami dymiących jeszcze spalonych polskich zagród, a wśród nich ich domu, w którym przeżyli tyle wspaniałych i szczęśliwych dni swojego życia... Patrzyli w tym kierunku ze ściśniętym sercem i pożegnalnym żalem. Przygnębiająca świadomość, że w jednym dniu stali się nędzarzami, tracąc swoje rodzinne gniazdo i dorobek całego życia, nie załamywała ich, bo zachowali największą wartość, jaką posiadali – życie. Zachowali je w okolicznościach graniczących z cudem – dzięki Marusi. Ta dziewczyna, zakochana w chłopcu, który miał nienaturalny, wręcz instrumentalny stosunek do kobiet, potraktowana została przez niego jak przedmiot pomocny w zdobyciu innej, wobec której pałał żądzą posiadania (bo nie można tego uczucia nazwać miłością). Gdy otrzymała od niego rozkaz pomocy w porwaniu Ani, zrozumiała, w jak nikczemnej roli ma wystąpić. W pierwszej chwili chciała Iwanka zastrzelić i sama popełnić samobójstwo, ale postanowiła poczekać na rozwój sytuacji i zgodnie z rozkazem pojechała za nim. Gdy doszło do dramatycznej chwili, kiedy Iwanko usiłował zabić Witolda, nie miała alternatywy i zadziałała jak automat, ratując życie Witolda oraz honor własny i swojego narodu.

Dalszy los Marusi pozostał nieznany. Według relacji Sawki jakiś czas po tych wydarzeniach popełniła samobójstwo, pozostawiając list do dowódcy *kurenia*. Napisała w nim, że jej czyn jest protestem przeciw ide-



ologii nacjonalizmu ukraińskiego, będącego haniebną plamą na jej ukończonym narodzie.

Gdy znaleźli się w lesie, było już całkiem ciemno. Witek znał dobrze kierunek do Moczulanki, ale poruszanie się wozem nocą po tych leśnych bezdrożach było trudne. Dopiero gdy zaczęło świtać, okazało się, że znajdowali się na skraju lasu, przed nimi była duża łąka, a za nią domy samoobrony Moczulanka. Najpierw wyczuły ich psy, których używali strażnicy, ale na widok wozu ciągnionego z trudem przez jednego konia, podczas gdy drugi, osiodłany, szedł uwiązany z tyłu wozu, strażnicy zrozumieli, że są to *bieżeńcy*. Po chwili kilku żołnierzy samoobrony było już przy nich. Najpierw kazali oddać broń.

– Otrzymacie ją z powrotem po rozmowie z komendantem – powiedzieli.

Komendant miał zasadę, by osobiście poznać każdego przybysza. Wynikało to nie tylko z jego troski o ludzi, ale też z uwagi na bezpieczeństwo placówki. Wróg mógł stosować różne sposoby wtargnięcia do wewnątrz tego systemu obrony, by w razie konfrontacji bojowej wprowadzić zamęt i dezorganizację wśród obrońców.

Gdy nasi uchodźcy zgłosili się do niego, powitał ich i z uwagą wysłuchał dramatycznej historii, jaką przeżyli w swojej wsi. Pogratulował szczęśliwego wyjścia z opresji i dotarcia do Moczulanki.

– Tu u nas nie będziecie mieć komfortu. W każdym domu i w budynkach gospodarczych zakwaterowanych jest po kilka rodzin. Brak nam żywności i środków utrzymania czystości, a oprócz tego jesteście bardzo zagrożeni napadem. Dlatego cieszę się, że jesteście uzbrojeni. Jeżeli nasz kwatermistrz nie znajdzie wam jakiegoś kąta pod dachem, będziecie musieli zbudować sobie ziemiankę lub szałas.

Tyle ciepłych słów i troski usłyszeli od komendanta. Następnie otrzymali przydział funkcji. Witold, jako były członek organizacji „Strzelec”, przeszkolony i dobrze uzbrojony, skierowany został do czołowego oddziału obrońców, Ania do drużyny sanitarnej, Martynka do zbiorowej kuchni. Walerian i Ludwika, jako ludzie w zaawansowanym wieku, otrzymali jakiś kąt w zatłoczonej izbie. Mimo tłoku i braku elementarnych warun-

ków życia nie było tu sporów i egoistycznych zachowań. Ludzie wzajemnie sobie pomagali. Przeżyli już wiele napadów, rozpaczliwie i krwawo odpartych, bo straszny wróg próbował pokonać system obrony, wtargnąć do środka i wymordować wszystkich za to tylko, że byli Polakami.

W ramach ogólnopolskiego ruchu oporu AK na teren między Horyniem a Słuczą dla wspomżenia broniących się Polaków skierowano kilku bohaterskich oficerów pod dowództwem cichociemnego, kpt. Władysława Kochańskiego o pseudonimie „Wujek” vel „Bomba”, o czym już wcześniej wspomniano. Pod jego komendę garnęła się młodzież znad Słuczy i Horynia. Wielu z nich posiadało jakąś broń, inni zdobywali ją w potyczkach z bandami bulbowców lub w inny sposób. W czasie, gdy nasi uchodźcy z Brzezin przybyli do Moczulaneki, oddział „Bomby” tam obozował, a ponieważ wciąż rósł w siłę, jako że dołączały do niego uzbrojone grupki młodych ludzi pochodzących z rozbitych placówek samoobrony, dowództwo UPA postanowiło zlikwidować ten oddział razem z samoobroną.

Siły napastników i ich uzbrojenie znacznie przekraczały możliwości obronne Polaków. Atak na Moczulanekę był możliwy od strony łąki. Właśnie ta łąka, położona między lasem a Moczulaneką, dawała możliwość zmasowanego ataku. Drugą stronę osiedla otaczały ługi, czyli grząskie, podmokłe torfowiska, i strumień wody płynący do Słuczy.

Dowódca ukraińskiej akcji, pewien zwycięstwa, z impetem wprowadził swoje *sotnie* na ową łączkę i ostro zaatakował linię obronną samoobrony. Rozgorzała zażarta walka. Pierwsze uderzenia obrońcy z trudem odparli, potem nastąpiła wymiana ognia. Ukraińcy szykowali się do drugiego, decydującego ataku. Atamani bandy nie wiedzieli tylko jednego, otóż tego, że „Wujek” tuż przed nadejściem band cichutko i skrycie wyprowadził swoich żołnierzy i rozkazał im zalec w krzakach na skraju lasu. Gdy bulbowcy uderzyli na samoobronę, angażując wszystkie swoje siły, „Wujek” poderwał swoich chłopaków, którzy całą siłą swojego ognia, niespodziewanie, od tyłu, zaatakowali bandytów. Powstał niesamowity paniczny war wśród bulbowców. Uciekali w kierunku, skąd przyszli, gęsto padali zabici i ranni. Po tej klęsce ukraińskie bandy daleko trzymały się

od Moczulanki, zwłaszcza że w tych okolicach zaroilo się od partyzantów sowieckich Miedwiediewa.

Zaistniała nowa sytuacja: jak zachowają się sowieccy partyzanci w stosunku do polskiej samoobrony i partyzantów „Wujka”? Wywiad polskiego ruchu oporu zdobył ulotkę, będącą kopią rozkazu władz sowieckich, z której wynikało, że ich partyzanci jako główne zadanie mają sianie dywersji i walkę Niemcami. Nie nakazywał walki z siłami UPA, jeżeli nie będzie aktów zaczepnych z ich strony lub nie będzie wymagała tego sytuacja strategiczna terenu, na którym oddziały partyzantów sowieckich wykonują swoje operacje. Rozkaz ten kończył się stwierdzeniem, że później, gdy powstanie wolna radziecka Ukraina, naród sam rozprawi się z tymi zdrajcami.

Rozkaz ten dawał dużą dowolność dowódcom partyzantów i nie wspominał o polskim ruchu oporu – istniejącej już AK i załodze samoobrony. W tej ostatniej sprawie istniała wśród dowództwa partyzantów sowieckich jakaś cicha słowna umowa. Oczywiście kontrolowana z GÓRY.

Jako że na tych terenach krążyły jeszcze silne watahy UPA, a wojsko niemieckie lub własowcy chronili kolei i mosty, dowództwo sowieckich partyzantów nawiązało porozumienie z „Wujkiem”, którego celem była wspólna likwidacja tych niemieckich sił tudzież napotkanych band UPA. Ta współpraca została nawiązana i bojowe akcje okazały się skuteczne. Polacy, chociaż licznie w stosunku do Rosjan stanowili dużą mniejszość, dobrze znali teren i zwyczaje okupantów, a przede wszystkim ich gniazda. Poprawiło się też bezpieczeństwo samoobronny Moczulanka, ale mimo to czujny jak żuraw komendant placówki pilnował straży i wysyłał w teren patrole rozpoznawcze.

Stosunki między partyzantami polskimi i rosyjskimi były dobre. Obie strony miały satysfakcję z odniesionych zwycięstw. Jakby dla uwiecznienia tych sukcesów Rosjanie urządzili bankiet, na który zaprosili swoich sojuszników. Dowództwo polskiej partyzantki, chociaż z ograniczonym zaufaniem do Rosjan, bo to przecież reprezentanci tej samej armii, która 17 września 1939 r. wbiła nóż w plecy walczącej z Niemcami armii

polskiej, nie odmówiło uczestnictwa w bankiecie. choćby z racji tego, że byłby to sygnał, iż Polacy nie chcą współpracy z Rosjanami. Na bankiet udał się kpt. Władysław Kochański („Wujek”) w towarzystwie porucznika „Strzemię” i księdza Leona Śpiewaka „Oboźnika” wraz z kilkoma podoficerami eskorty. W czasie tego bankietu kpt. Kochański i towarzyszący mu oficerowie zostali zatrzymani i wywiezieni do Rosji.

Wobec tego zdarzenia groziło rozbrojenie i internowanie całego polskiego oddziału „Bomby”. W tej sytuacji pod dowództwem por. Śluckiego oddział opuścił rejon Moczulanki i po bardzo trudnym marszu dotarł w okolice Łucka, do polskiej samoobrony Przebraże. Stąd po kilkudniowym odpoczynku pomaszerował w okolice Kowla na zgrupowanie 27 Dywizji AK.

\*

A jaki los spotkał naszych uchodźców z Brzeziny, którzy schronili się w Moczulance?

Nadeszła zima roku 1943, front wschodni zbliżał się do Wołynia. Pierwsze oddziały Czerwonej Armii były już w Moczulance w okresie świąt Bożego Narodzenia. Bandy UPA w głównej swej masie wycofały się z Wołynia razem z Niemcami. Nieduże jej resztki kryły się jeszcze wśród miejscowej ludności ukraińskiej. Załoga samoobrony została rozbrojona przez NKWD, a komendant samoobrony zatrzymany i osadzony w więzieniu. Każdy ujęty Ukraińiec podejrzany o przynależność do UPA był bez sądu rozstrzelany. W Brzezinach UPA wymordowała wszystkich Polaków, którzy nie zdążyli uciec. Pani Matylda w porę została ewakuowana przez Sawkę do Moczulanki.

## Zakończenie

Wiosną 1944 roku władze sowieckie ogłosiły, że ludność polska na podstawie układów republikańskich między PKWN a trzema republikami sowieckimi (białoruską, ukraińską i litewską) może być przesiedlona do Polski. W sytuacji, w jakiej znaleźli się Polacy na całych wschodnich Kresach II RP, a szczególnie na Wołyniu, ludzie, którym udało się przeżyć, z żalem, ale masowo opuszczali swoją ojczystą ziemię, bo tu ciągle jeszcze groziła im śmierć albo Syberia. Ekspatriacja nie była przymusowa. Można było tu pozostać pod warunkiem przyjęcia i podpisania obywatelstwa ZSRR.

Nikt jednak z Polaków nie chciał być obywatelem sowieckim, nawet za cenę opuszczenia ukochanej ziemi ojczystej, która przez wieki nosiła polskie sztandary i była matecznikiem narodowej kultury. To w większości z Kresów pochodzą luminarze naszego bogactwa narodowego: poeci, pisarze, kompozytorzy, myśliciele i działacze polityczni. Ta ziemia prześląkła krwią trzech polskich powstań. Te powstania, chociaż wszystkie przegrane, były taką krwawą sztafetą do niepodległości, którą odzyskaliśmy w listopadzie 1918 r. Powstania te były bohaterskim objawem gniewu narodu, a pozostały po nich pamięć i hołd ofiarom oraz pragnienie odwetu. One podtrzymywały zarzewie poczucia dumy narodowej i pamięć naszej historii. Bez powstań, a szczególnie tego ostatniego – styczniowego – nie byłoby naszego niepodległego międzywojnia.

Ta nowa okaleczona Polska, pozbawiona Kresów, zaczynała się od rzeki Bug na zachód, bez naszego, ukochanego Lwowa i wiernego Polsce Grodna. Stalin zdecydował, że ten twór państwowy będzie miał nazwę

Polska Rzeczpospolita Ludowa i nieoficjalnie będzie całkowicie podporządkowany jego dyktatowi.

W ramach tak zwanej repatriacji ludność z Kresów przesiedlano do owej Polski. W tej nazwie akcji „repatriacja” zawarty był zamierzony szyderczy błąd. Repatriować można ludzi, którzy z pewnych powodów opuścili swój kraj urodzenia i teraz wracają do swej ojczyzny, ale Polacy na Kresach byli ludnością autochtoniczną, tam się urodzili i tam była ich ojczyzna.

Tak więc nadszedł czas, że akcją przesiedlenia objęto Moczulankę i jej okolicę. W Ludwipolu na Słuczy czekały na przesiedleńców ogromne promy, które spławiały ludzi i ich dobytek do Sarn, gdzie każda rodzina czy pojedyncza osoba znalazła miejsce w krytym towarowym wagonie kolejowym, po czym wieziono ich do Lublina, gdzie PUR<sup>4</sup> rejestrował, udzielał pomocy finansowej przesiedleńcom i kierował do innych regionów kraju. Na razie był to teren województwa lubelskiego oraz samo miasto Lublin. Po Powstaniu Warszawskim ruszyła ofensywa wojsk sowieckich i uwolniła od Niemców tereny zachodnie do rzek Odry i Nysy. Ludność niemiecka uciekała w głąb Rzeszy przed nadchodzącą armią sowiecką. Zostały po nich domy i całe osiedla. Odzyskane tereny obejmowała administracja tak zwanej Polski Ludowej. Nasi wołyniacy z Brzezin, Moczulaneki i okolic osiedlili się na takim opuszczonym osiedlu. Najpierw zajęli się przystosowaniem domów do użytku i jednocześnie poszukiwali środków do życia, czyli pracy. Niektórzy chwycili się swojego zawodu – rolnictwa. Wielu otrzymało pracę w pobliskiej cegielni. Witek rozpoznał teren i znalazł bogate źródło wikliny. Z zapalem zabrał się do urzędzenia zakładu produkującego kosze i meble wiklinowe. Z wielkim zainteresowaniem i twórczo pomagała mu Ania. Na osiedlu był opuszczony kościół. Jego zagospodarowaniem zajął się ksiądz, podobnie jak wszyscy, przesiedleńcy z Wołynia. Nie było tam szkoły, ale o to postarała się Matylda i była w niej pierwszą nauczycielką.

Wojna rozproszyła rodziny. Nadal nieznany był los Kazimierza, Romana i całej rodziny Lipińskich wywiezionych na Syberię. Tym też

<sup>4</sup> PUR – Polski Urząd Repatriacyjny.



bardzo energicznie zajęła się Matylda. Zwróciła się w tej sprawie do Czerwonego Krzyża. Po pewnym czasie przyszła smutna wiadomość, że Roman poległ w walce z Niemcami pod Świekatowem na Pomorzu. Ta wiadomość wstrząsnęła wszystkimi. Żona Romana została zamordowana przez Ukraińców w Sarnach... Okrutna wojna przerwała życie kochającego się małżeństwa. Wielki to był cios, szczególnie dla rodziców Romana.

Jeszcze nie obeschły łzy po Romanie, a tu nadeszła druga wiadomość, tym razem radosna. Czerwony Krzyż poinformował, że Kazimierz żyje. Jest w ośrodku rehabilitacyjnym w Austrii i pragnie połączyć się ze swoją rodziną. Był on więźniem niemieckiego obozu przymusowej pracy, w którym więźniów zmuszano do ciężkiej pracy aż do kompletnego wyczerpania i śmierci. Kazimierz jednak przeżył i doczekał wyzwolenia Austrii przez armię sowiecką. Amerykańska organizacja charytatywna wszystkich ocalałych więźniów tego obozu przewiozła do ośrodka szpitalnego, gdzie poddani byli leczeniu, rehabilitacji fizycznej i psychicznej. Kazimierz był już po trzymiesięcznej rehabilitacji. Jego organizm wrócił do sprawności fizycznej i równowagi psychicznej, a dalszy potrzebny mu proces poranionej duszy nastąpi na łonie jego rodziny – w rodzinnej atmosferze. On pragnął połączyć się ze swoją rodziną. Organizacja Czerwonego Krzyża, zorganizowała transport i opiekę dla takich osób. Wkrótce były więzień obozu pracy Kazimierz Lipiński miał być dowieziony pod podany w dokumentach adres.

Po otrzymaniu tego listu trudno opisać stan wielkiego uniesienia i szczęścia, jakie opanowały rodzinę... Pozostawimy to wyobraźni czytelników. Jednym słowem: radość, radość i jeszcze raz radość...

Po ochłonięciu cała rodzina najpierw padła na kolana przed obrazem Matki Bożej, dziękując Jej za wstawiennictwo u Boga i za dzisiejszą radość. Potem zaczęto gorączkowo myśleć, jak i co przygotować na przyjęcie tak oczekiwanego drogiego gościa. Ludwika zastanawiała się, gdzie zdobyć wiktuały, które (jak pamiętała) lubił Kazimierz. Martynka zadbała o pokój i odpowiednie meble dla wygody ukochanego męża. Ania z mężem Witoldem uporządkowali przydomowy ogródek, wsta-

wiając tam wiklinowy stolik z trzema takimiż fotelikami dla relaksu taty. W miejscowym kościółku zamówiono dziękczynną mszę świętą, która odbędzie się po jego przybyciu.

I oto nadszedł ten wielki dzień, gdy przed domem wobec całej oczekującej rodziny stanął Kazimierz. Jego głowę przyprószyła siwizna, a twarz, mimo uśmiechu radości, wciąż jeszcze miała znamiona przeżytej udręki. Miał on za sobą około pięciu lat ciężkiej obozowej katorgi.

W objęciach całej rodziny został wprowadzony do domu. Poproszono go o zajęcie miejsca w przygotowanym mu fotelu, a on usiadł i w obecności ukochanej rodziny rozplakał się jak dziecko. Był to płacz i łzy ogromnej radości i ulgi, ale też wyraz słabości. Syndrom przejść obozowych nie całkiem jeszcze ustąpił. Ten płacz był ostatnim wyrazem słabości. Rodzina jak cudowny kompres leczyła jego okaleczoną duszę. Po to właśnie przy jego fotelu klęczały: Martynka z jednej strony, a Ania z drugiej. W pewnym momencie Kazimierz rozejrzał się i nie widząc swoich rodziców i rodzeństwa, spytał:

– Co z nimi? Gdzie oni są?

Wówczas senior rodziny, Walerian, odpowiedział:

– Ony zostali wywiezione przez Rusków na Sybir, aliż ni turbuj sie, ony żyjo i da Bóg wróco do nas, jak wrócił ty.

Martynka pokazała mu i przeczytała list od nich. Smutnym akcentem tego listu była śmierć babci Józefy. Kazimierz, głęboko poruszony, przyjął to z kamiennym milczeniem. Był to bowiem czas, kiedy smutne wiadomości o skutkach kataklizmu wojennego docierały do tych, którym udało się przeżyć, tak często i powszechnie, że nie było czasu na rozpacz i żalobę.

Po kilku dniach pobytu Kazimierza wśród rodziny jego stan psychiczny wrócił do normy. Przede wszystkim odzyskał optymizm i dawny nawyk twórczy, czyli poczuł potrzebę jakiegoś pożytecznego działania – pracy. Tu, w domu i na wolności, praca była błogosławieństwem, a nie przekleństwem jak w obozie. Starał się zapomnieć o obozie, ale znamieniny tatuaż na ręce (jego numer) wszystko mu przypominał. Tylko opiekuńcze ramiona Martynki i jej miłość były antidotum na powracające

demony. Jakoż wkrótce Kazimierz z zapalem zabrał się do budowy budynku szkolnego, który staraniem Matyldy powstawał w osiedlu.

W międzyczasie nadeszła wiadomość z Czerwonego Krzyża, wiadomość rewelacyjna i bardzo oczekiwana. Cała rodzina Władysława Lipińskiego żyje. Mimo wielkiego trudu i cierpienia opuściła „niełudzką ziemię” wraz z Armią Andersa. Jest obecnie w Persji, otoczona pomocą charytatywną.

Mimo wielkiej tęsknoty za rodziną i krajem nasi zesłańcy nie planowali powrotu do kraju. Tyle wiadomości dostarczył im PCK. Potem przyszedł list od Władysława, w którym serdecznie pozdrawiał całą rodzinę. Podając swój adres, prosił o list o sytuacji rodziny. Oczekiwał wiadomości o Kazimierzu. Czy wrócił? Czy są jakieś o nim wiadomości? Pytał też o los Romana. Pisał: „Wielką tragedią jest, że zgodnie z układem jałtańskim Polskę oddano Stalinowi. My nie możemy wracać do kraju, który nie ma suwerenności i jest w rękach tego zbrodniarza. On z powrotem wyśle nas na Sybir”. Wysłano mu odpowiedź. Z kolejnego listu od niego dowiedziano się, że obrał on dla siebie i swojej rodziny Kanadę jako kraj osiedlenia.

Rzeczywiście, hegemonia Stalina nad Polską była podstępna i totalna. Historia odnotowuje zbrodnie popełnione na patriotach nieakceptujących stanu uzależnienia od wrogiego mocarstwa, które 17 września 1939 r. swoją interwencją wojskową spowodowało osłabienie i w konsekwencji klęskę naszych sił obronnych. Potem była zbrodnia katyńska i okrutna deportacja Polaków na Sybir. Działo się to wszystko na oczach całego świata, a zwłaszcza naszych sojuszników – Anglii, Francji i USA, którzy – krótko mówiąc – nas zdradzili.

Naród polski losami okrutnej wojny rozproszony po świecie, migrował: jedni mimo ryzyka politycznego wracali do kraju, inni szukali miejsca osiedlenia w krajach, w których czuli się bezpiecznie i mieli możliwość zapewnienia sobie optymalnych warunków materialnych.

„Ojciec narodów” – Stalin – dążył do zmiany oblicza naszego kraju. Brutalną polityką ucisku tworzył Polskę, której naród miał być przedmiotem wyzysku politycznego i gospodarczego, a nie podmiotem – suwerennym gospodarzem swego kraju.

Trwały jeszcze walki naszych żołnierzy niezłomnych. Więzienia były przepełnione polskimi patriotami. Niemal cały naród był świadomy, do czego dążą komunistyczni hegemoni. Reżimowe środki przekazu były bardzo rozbudowane, a oficjalna opozycja spacyfikowana i praktycznie nie istniała. Z reżimowej prasy i głośników radiowych płynęła propaganda o wolności i dobrobycie, które zapewni nowy, socjalistyczny porządek oparty na sprawiedliwości społecznej, gwarantowany nam przez towarzysza Stalina. Apoteozę tego satrapy tak rozszerzano w Polsce, że miasto Katowice nazwano Stalinogrodem, a w wielu miastach ulice nazwano jego imieniem, np. we Wrocławiu obecną ul. Jedności Narodowej.

Jednak zdecydowana większość naszego narodu, mimo świadomości tego zniewolenia, energicznie zabrała się do odbudowy zniszczonego wojną kraju. Podnoszono z ruin kościoły, uczelnie, drogi i mosty. Nasi przesiedleńcy z Wołynia włączyli się w tę akcję. Przewodziła nam nasza inteligencja patriotyczna: kresowi naukowcy i hierarchowie Kościoła, którzy przybyli razem z ludem polskim – wygnańcami z ziemi ojczystej.

Późniejsza historia Polski jest nadal burzliwa. Nie jest ona przedmiotem tej opowieści. Dodam tylko, że dzięki dwóm wartościom – patriotyzmowi i katolicyzmowi – które tworzą naszą tożsamość narodową i siłę, Polacy zachowali jedność i przetrwali wiele jeszcze zakrętów politycznych, aby stać się narodem wolnym, stanowiącym o naszej przyszłości.



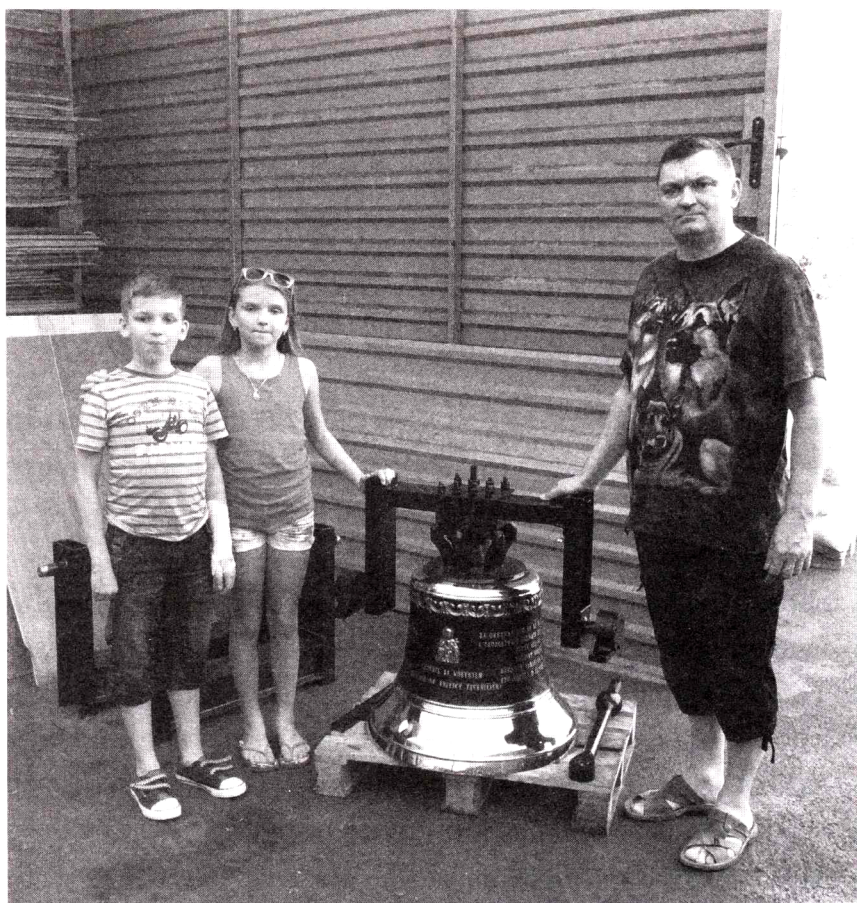
# Posłowie

Z uwagi na mój wiek i kondycję fizyczną sędzę, że to ostatnia moja książka (choć kto wie). W związku z tym chciałbym podziękować Osobom, które pomogły mi w jej tworzeniu.

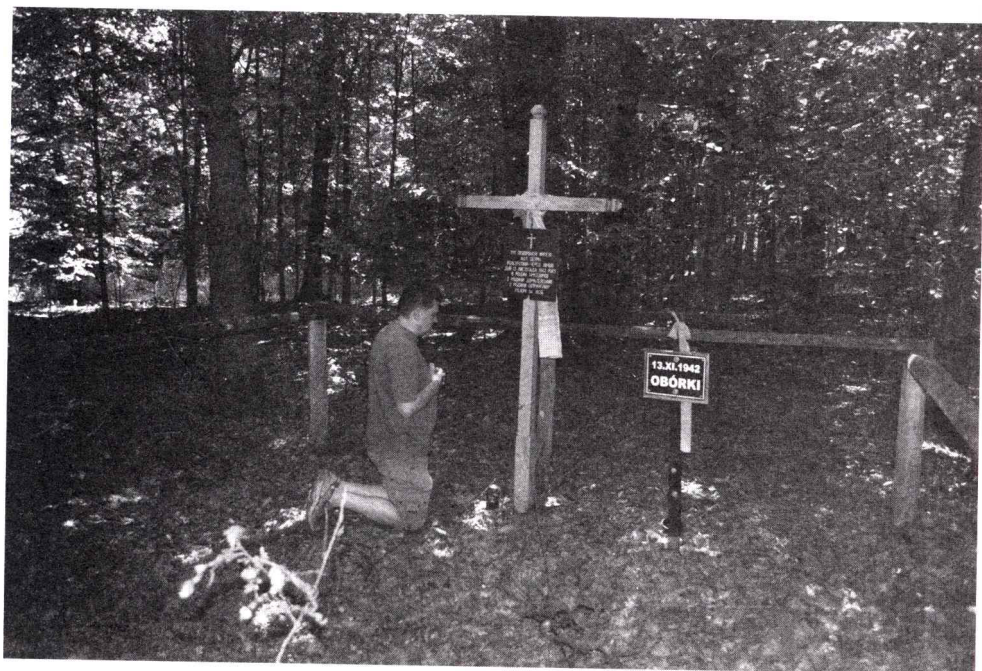
A zatem gorąco dziękuję promotorce moich wszystkich książek, Krystynie Eliasz, za porady merytoryczne i finansowe wsparcie edycji moich książek. Do mojej Pani Redaktor Małgorzaty Wieczorek kieruję wyrazy wdzięczności za staranną korektę i pomoc w konstrukcji tekstu oraz kompletne przygotowanie do edycji. Pani filolog języka rosyjskiego Danucie Tettling dziękuję za korektę i przetłumaczenie na język polski fragmentów tekstów pisanych w języku rosyjskim i ukraińskim. Panu Stanisławowi Srokowskiemu w sposób szczególny dziękuję za wielce oczekiwany przeze mnie Wstęp do książki.

Wreszcie chcę tu wspomnieć o człowieku niezwykłym, niezrównanym szpesczu, poszukiwaczu zapomnianych mogił ofiar, spalonych osiedli i świątyń po barbarzyńskiej rebelii ukraińskiej na Wołyniu w latach 1942–1944. Osobą tą jest Janusz Horoszkiewicz. Własnym sumptem i kosztem wykonał i zawiózł na Wołyń ponad 40 krzyży i ustawił je na odnalezionych wspomnianych miejscach pochówku ofiar tej krwawej rzezi. Nie było to łatwe. Trzeba było umiejętnie nawiązywać kontakt z miejscową ludnością ukraińską, zjednać ich sobie i skorzystać z ich pomocy w odnalezieniu tych miejsc. Janusz Horoszkiewicz, obdarzony darem nawiązywania przyjaznych kontaktów, mógł realizować swoją misję z powodzeniem. Pomagali mu chłopci ukraińscy, a tamtejsi duchowni święcili ustawione krzyże. Jest to bezprzykładny czyn utrwalania pamięci narodowej i zaznaczania miejsc dziełstwa polskiego na tej ziemi, która przez wieki nosiła polskie sztandary i była polem chwały polskiego oręża.





U góry: Janusz Horoszkiewicz ze swymi dziećmi przy ofiarowanym dzwonie.  
U dołu: fragment inskrypcji na dzwonie



Janusz Horoszkiewicz modlący się przy grobie mojej zamordowanej rodziny

Koronnym darem pana Janusza dla Wołynia był ufundowany przez niego duży spiżowy dzwon, podarowany kościołowi w Sarnach. Mam nadzieję, że zasługi Janusza Horoszkiewicza nie będą zapomniane, lecz odnotowane na kartach historii.

Mam miłą satysfakcję, że pan Janusz mimo dużego trudu, przybył i modlił się przy mogile mojej wymordowanej rodziny i wszystkich mieszkańców mego rodzinnego osiedla Obórki.

Oprócz pana Janusza jestem w kontakcie i znam pana Grzegorza Naumowicza, młodego wykształconego człowieka, który poza swoim zawodem i odpowiedzialnym stanowiskiem pracy jest pasjonatem historii Kresów polskich, a w szczególności Wołynia i jego tragicznych dziejów. Wyznam, że ilekroć podczas pisania książki brakowało mi danych źródłowych, dzwoniłem do pana Grzegorza i zawsze je uzyskiwałem. To bardzo dobrze, że istnieją tacy młodzi ludzie, jak panowie Janusz i Grzegorz, którzy od odchodzącego pokolenia przejmują pałeczkę pamięci narodowej.

*Feliks Trusiewicz*

# Spis treści

|                                           |     |
|-------------------------------------------|-----|
| Przedmowa (Stanisław Srokowski) .....     | 7   |
| Słowo wstępne od autora .....             | 15  |
| Brzeziny .....                            | 17  |
| Pierwsza wojna światowa .....             | 52  |
| Urowadzenie Kazimierza w głąb Rosji ..... | 59  |
| Ucieczka .....                            | 63  |
| Powrót do domu .....                      | 78  |
| W wolnej Polsce .....                     | 118 |
| Druga wojna światowa .....                | 170 |
| Zakończenie .....                         | 210 |
| Posłowie .....                            | 227 |



## OŚRODEK „WOŁANIE Z WOŁYNIA”

Od 1997 roku Ośrodek „Wołanie z Wołynia” zajmuje się publikowaniem książek wydawanych przez „Wołanie z Wołynia” – pismo religijno-społeczne ukazujące się na Ukrainie od 1994 roku. Wokół pisma skupionych jest kilka osób, które wzięły na siebie trud dokumentowania najnowszej historii i ukazywania aktualnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia i diecezji łuckiej. Zainteresowania naszej redakcji obejmują także: sytuację wierzących w społeczeństwach krajów postsowieckich, kontakty katolicko-prawosławne, wysiłki ekumeniczne, stosunki polsko-ukraińskie, kultura i osiągnięcia myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitni Wołynianie. Równocześnie z pismem ukazuje się seria wydawnicza: Biblioteka „Wołanie z Wołynia”. Od 1997 roku do tego czasu wydaliśmy ponad 110 tytułów.

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!!!

**Dotychczas nakładem  
Ośrodka „Wołanie z Wołynia” ukazały się lub ukażą:**

- T. 1. “Хресна Дорога”, Острог 1997.
- T. 2. Br. Adrian Wacław Brzózka, *Milczące cienie*, Ostróg 1997.
- T. 3. О. Ян Попель, “Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць 1997.
- T. 4. О. Remigiusz Kranc OFMCap., *W drodze z Ostroga na Kołymę* – pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa i o. Józefa Mareckiego OFMCap., Biały Dunajec–Kraków 1998.
- T. 5. О. Єдвард Станєк, “Педагогічні принципи Вчителя з Назарету”, Білий-Дунаєць, 1998.
- T. 6. Tadeusz Kukiz, *Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej*, Biały Dunajec 1998.
- T. 7. Ks. Witold Józef Kowalów, *Zmartwychwstały Kościół cz. 1, Diecezja łucka 1989–1998: odrodzenie Kościoła Rzymsko-katolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim*, Biały Dunajec 1998.
- T. 8. О. Альбін Яноха OFMCap., “Отець Серафим-Алоїз Кашуба (1910–1977)”, Білий-Дунаєць, 1999; О. Albin Janocha, OFMScap., *Ojciec Serafin Alojzy Kaszuba (1910–1977)*, Biały Dunajec 1999.
- T. 9. Ks. Witold Józef Kowalów, Ks. Michał Stanisław Głowacki „Świętopelk” (1804–1846). *Folklorysta i współorganizator powstania*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.
- T. 10. Ks. Witold Józef Kowalów, *Sursum corda. W górę serca. Wybór artykułów prasowych z lat 1992–1997*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.
- T. 11. Krzysztof Kołtun, *Szelest róży*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.
- T. 12. С. Михайлина Алекса РМ, “Слуга Божий Архієпископ Зимунт-Щенський Фелін-ський (1822–1895). Син Волинської Землі”, Білий-Дунаєць, 1999.
- T. 13. О. Андрій Зволінський, “Ясько”, Білий-Дунаєць–Остріг, 1999.
- T. 14. О. Ієронім Варахім OFMCap., “Духовний силует Слуги Божого О. Серафима Кашуби OFMCap.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2000; О. Hieronim Warachim OFMCap., *Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby OFMCap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.
- T. 15. Ostróg. *Ilustrowany przewodnik krajoznawczy*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 16. Ks. Władysław Knapieński, *Sprawa o Kościół w Ostrogu na Wołyniu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 17. Leon Karłowicz, *Nie zostawiajcie mnie tu... Obrazy z życia deportowanych do Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 18. О. Иоанн Павел Мухарский OFMCap., „И ты утверждай своих братьев. К Великому Юбилею 2000 года”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 19. Галина Гандзілевська, „Чекатиму тебе...”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 20. Krzysztof Rafał Prokop, *Sylwetki biskupów łuckich*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 21. *Listy z Kozielska burmistrza miasta Ostroga*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 22. Ks. Władysław Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 23. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 24. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 25. Ks. Witold Józef Kowalów, *Szkice z dziejów kościelnych Ostroga i okolicy*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 26. Romuald Wernik, *W Zdołbunowie zakwitły kaczeńce*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 27. Ks. Andrzej Kwiczala, *Dzieje parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu (1939–2000)*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 28. Богдан Колосок, „Кафедральні споруди Луцька. Історико-архитектурне дослідження”, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 29. Maria Przybylska, *Karawana ze Wschodu*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 30. О. Ієронім Варахім OFMCap., „Апостол Церкви Мовчання. О. Серафим Кашуба OFMCap.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2002; О. Hieronim Warachim OFMCap., *Apostoł Kościoła Milczenia. O. Serafin Kaszuba OFMCap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 31. Ks. Kamil Kantak, *Juliusza Słowackiego życie i idee religijne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 32. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kijowscy obrządku łacińskiego XIV–XVIII w. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.



T. 33. O. Hieronim Warachim OFMCap., *Kapucyńska Odyseja przez Podole i Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 34. Marek A. Koprowski, *Wołyńia dzień dzisiejszy*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 35. “Старий Кривин: дослідження та матеріали з історії Південно-Східної Волині”, вступ, нарис, упорядкування Тарас Вихованець, Ігор Тесленко, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 36. Krzemieniec, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 37. Ułás Samczuk, *Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 38. “Стародруки Речі Посполитої XVI–XVIII ст. у зібраннях Музею книги та друкарства м. Острога і Волинського краєзнавчого музею. Каталог”, Луцьк 2005.

T. 39. Stanisław J. Kowalski, *Powiat buczacki i jego zabytki*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 40. *Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie parafii i dekanatów 1941–1944*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005.

T. 41. O. Kasjan Korczyński, *Katedra kijowska*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 42. Інна Шостак, “Луцько-Житомирська римо-католицька дієцезія наприкінці XVIII – у першій половині XIX століття”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 43. Adrian Waclaw Brzózka, *Zawieszeni w czasie*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 44. Ks. Witold Józef Kowalów, *Memoires Domini. Pamiętający o Panu. Wybór artykułów prasowych z lat 1998–2002*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 45. Swietłana Pyza, *Życie heroiczne i myśl ojca Serafina Kaszuby*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 46. Tomasz Kempa, *Akademia i drukarnia Ostrogska*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 47. Henryk Dąbkowski, *Polesie – moja mała Ojczyzna*. Wybór artykułów prasowych z lat 1989–2000, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 48. Paweł Grabczak, *Seminaria duchowne łucko-żytomierskiej diecezji w latach 1798–1842*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 49. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 1, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 50. *Spotkałem człowieka*. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół, cz. 2, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

- T. 51. Michał Rudzki, *Notatnik wołyński*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.
- T. 52. Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*; O. Serafin Alojzy Kaszuba OFMCap., *Zapiski z Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.
- T. 53. “Стародруки Речі Посполитої XVII–XVIII ст. у Волинських книгозбірнях. Каталог”, Луцьк 2006.
- T. 54. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 2, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 55. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kamienieccy od średniowiecza do współczesności. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 56. Teresa Tyszkiewicz, *Archipelag śladów Boga*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 57. Józef Dunin Karwicki, *Wędrówka od źródeł do ujścia Horynia*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 58. Br. Adrian Wacław Brzózka OFM, *Sny utraconej ziemi*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.
- T. 59. Jan Paweł II – Йоан Павло II, *Трытык рzymski – Римський тринтих*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.
- T. 60. Marek A. Koprowski, *Między Bugiem a Styrem*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.
- T. 61. *Różaniec w życiu biskupa Adolfa Piotra Szelążka – Розарійу життя Єпископа Адольфа-Петра Шельонжежа*, oprac. s. Sabina Irena Gumkowska CST i s. Beniamina Karwowska CST, Biały Dunajec–Ostróg 2008.
- T. 62. Adam Hlebowicz, *Biło-żowta Ukrajina (Biało-żółta Ukraina)*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 63. Jan Fitzke – *Z Wołynia 1936–1939*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 64. *Biesiada Krzemieniecka*. Zeszyt 3, „Liceum Krzemienieckie 1920–1939”. Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 65. Ks. Stanisław Szczypta, *Z Żytomierza na Podhale*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 66. Данута Ленік – Danuta Lenik, *Зі сходу на Захід... – Ze Wschodu na Zachód...*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 67. Tatjana Jurcenko, *Duchowość misyjna kapłanów pracujących w ZSRR po II wojnie światowej*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 68. *Kalendarz «Wołania z Wołynia» 2010*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.
- T. 69. Marek A. Koprowski, *Podolskie klejnoty*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 70. Ks. Władysław Bukowiński, *Historia nauczycielką życia*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 71. Ks. Zygmunt Chmielnicki, *Kartki wspomnień*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 72. Krzysztof Rafał Prokop, *Arcybiskupi halińscy i lwowscy obrządku łacińskiego. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 73. О. Ян Попель, “Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць–Острог, 2011.

T. 74. Jan Nowak, *Rekolekcje z ks. Władysławem Bukowińskim*, Biały Dunajec–Ostróg 2011.

T. 75. Marek A. Koprowski, *Od Humania do Krzemieńca: Irena Sandecka*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 76. Maria Kielar-Czapla, *Ojciec Ludwik Wrodarczyk OMI. Portret duchowy*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 77. Feliks Jasiński, *Kronika. Losy Polaków parafii Kąty, powiatu krzemienieckiego, województwa wołyńskiego w latach 1939–1945*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 78. *Materiały do wołyńskiego słownika biograficznego*, pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 79. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 80. Anna Jakubczyk, *Rodzina Józefówki w Żytomierzu*, Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 81. Ryszard Mieczysław Klisowski, *Wybrane wiersze wołyńskie*, Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 82. Stanisław Kardaszewicz, *Dzieje dawniejsze miasta Ostroga, Materiały do historii Wołynia*, reprint–przedruk wydania z roku 1913. Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 83. Marek A. Koprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani za polskość*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 84. Дев'ятниця за посередництвом Слуги Божого о. Владислава Буковинського – Nowenna za przyczyną Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 85. Рахела Шинделевич, *Красота, которая привела меня к Богу*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Świadectwo drogi życia do wiary w Kościele Katolickim.

T. 86. Józef Dunin Karwicki, *Jak to in illo tempore bywało. Kartka z drugiej połowy 18 w., wyjęta z papierów rodzinnych domu Duninów-Karwickich*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 87. Krzysztof R. Prokop, *Polscy biskupi dominikańscy*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Słownik polskich biskupów wywodzących się z Zakonu Kaznodziejskiego.

T. 88. Antoni Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 89. O. Ryszard Stolarczyk, *Początki karmelitańskiej misji w Kijowie*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 90. Józef Ignacy Kraszewski, *Okruszyny. Zbiór powiastek, rozpraw i obrazków*. Tom I–III., Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 91. Romuald Wernik, *Habit i nagan*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 92. Ks. Feliks Sznarbachowski, *Początek i dzieje Rzymskokatolickiej Djecezji Łucko-Żyto-mierskiej, obecnej Łuckiej, w zarysie*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

T. 93. Józef Ignacy Kraszewski, *Rzym za Nerona. Obrazy historyczne*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 94. Romuald Wernik, *Nie wrócą bociany na Graniczną. Opowieść kresowa*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 95. Józef Ignacy Kraszewski, *Wieczory wołyńskie*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 96. Stefan Kamiński, *Lata walk i zamętu na Ukrainie 1917–1921*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 97. Stefan Szajdak, *Wiersze wybrane*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 98. Adam Zelga, *Arcybiskup Zygmunt Szczęśny Feliński 1822–1895. Szedł do świętości, tracąc, ufny Bożej Opatrzności*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 99. *Wykład obrzędów kościelnych na święta całego roku*, Biały Dunajec–Ostróg 2015.

T. 100. Ks. Witold-Yosif Kovaliv, *Restaurare omnia in Christo*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 101. „*Wołanie z Wołynia*”, 1994-1995 – reprint, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 102. Józef Ignacy Kraszewski, *Ułana*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 103. Józef Ignacy Kraszewski, *Ostap Bondarczuk*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 104. Józef Ignacy Kraszewski, *Jaryna*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 105. Wincenty Romanowski, *Kainowe Dni*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 106. Józef Włast, *Opowiadania historyczne. Z dziejów okolicy Słuczy i jej dopływów*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 107. Feliks Trusiewicz, *Duszohubka*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 108. Ks. Bolesław Żyliński, *Wspomnienia z państwa antychrysta*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 109 Ks. Jarosław Rudy, *Krzyż pośród krzyży. Theologia Crucis pasterskiej posłudze wiary biskupa Jana Olszańskiego*, Biały Dunajec–Ostróg 2018.

T. 110 S. Julia Świdarska, Ks. Henryk Mosing (1910-1999). *Lekarz, pedagog, duszpasterz*, Biały Dunajec–Ostróg 2018.

**Wymienione książki można zamawiać  
pod następującymi adresami:**

**Ośrodek**

**«Wołanie z Wołynia»**

**skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**

**<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>**

**e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)**

**lub**

**“Волення з Волині”**

**вул. Князів Острозьких, 4-а**

**35800 м. Остріг, Рівненська обл.**

**Україна**



# «Wołanie z Wołynia»

Pismo religijno-społeczne

Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

To tytuł dwumiesięcznika, który wydajemy w diecezji łuckiej. Pismo to jest redagowane przeze mnie w rzymskokatolickiej parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Ostrogu na Wołyniu. Na łamach „Wołania z Wołynia” zamieszczamy m. in. rozmaite opisy, relacje i wspomnienia dotyczące przeszłości wołyńskiej ziemi, kościołów i duszpasterzy. Celem tych tekstów jest uchronienie przed zapomnieniem chociaż części wołyńskiego dziedzictwa. Zwracam się do wszystkich ludzi pochodzących z Wołynia, którzy osiedlili się w różnych częściach Polski i Za Granicą, aby nadsyłali swoje wspomnienia, refleksje, spostrzeżenia lub materiały do opublikowania ich w dwumiesięczniku „Wołanie z Wołynia”. Mile widziane będą także zdjęcia dawnych duszpasterzy kościołów.

***ks. Vitold-Yosif Kovaliv  
vel ks. Witold Józef Kowalów***

Zainteresowanych współpracą z redakcją naszego pisma proszę o kontakt listowny w Polsce:

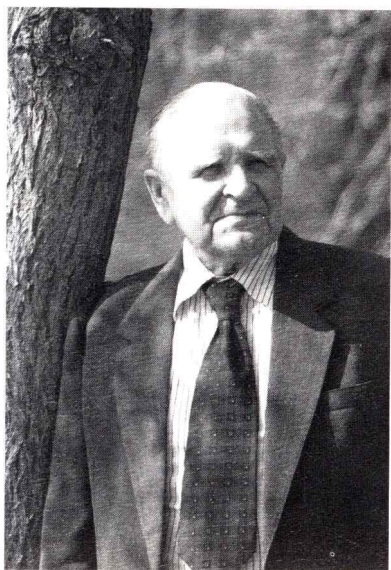
**Ks. Vitold-Yosif Kovaliv  
vel ks. Witold Józef Kowalów  
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**

**<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>  
e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)**

**lub telefoniczny w Ostrogu:  
tel./fax +380 (3654) 2-30-38**







W dniu 12 października 2019 roku, przeżywszy 97 lat, zmarł śp. Feliks Trusiewicz, Autor kilku książek wydanych w ramach Biblioteki «Wołania z Wołynia».

Feliks Trusiewicz był świadkiem tragicznych wojennych losów Polaków na Wołyniu, partyzantem, żołnierzem, inżynierem-wynalazcą, pisarzem – autorem licznych książek o Wołyniu, wielkim patriotą i autorytetem moralnym.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniu 18 października 2019 roku o godzinie 14.00 w kaplicy cmentarza parafii rzymskokatolickiej pw. Świętej Rodziny przy ulicy Smętnej we Wrocławiu, po czym nastąpiło odprowadzenie Zmarłego do rodzinnego grobu.

Autor jeszcze kilka temu zezwolił Wydawnictwu «Wołanie z Wołynia» na przedruk wszystkich Jego książek, by w ten sposób stali Czytelnicy dwumiesięcznika «Wołanie z Wołynia» mogli się z nimi zapoznać. Była to też jego prośba. Niedawno zasugerował nam byśmy jako następną publikację wydali trylogię «Pokolenia». Wcześniej ukaże się jednak powieść «Nad Słuczą». Postaramy się przy Waszej Pomocy wykonać wolę Zmarłego.

Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Amen.

Redakcja «Wołania z Wołynia»

ks. Vitold-Yosif Kovaliv vel ks. Witold Józef Kowalów

Był taki kraj kwieciami i miodem pachnący, światłem słońca przejmująco malowany od różowych zórz budzącego się dnia do purpur zachodu. Kraj bogactwem dzikiej, nieskażonej cywilizacją natury słynący – leniwych rzek, bagien, mglistych moczarów, ogromnych wspaniałych lasów, a zwłaszcza pachnących żywicą borów sosnowych lub gęstych, tajemnych kniei liściastych, siedlisko wielu gatunków dzikiej fauny, królestwo ryb, grzybów i jagód.

Na łonie tej dzikiej natury, w symbiozie z nią, żył lud prymitywny o duszy lirycznej, fizycznie odporny na trudy, czerpiący środki do życia z uprawy ziemi i owoców lasu oraz rzek.

Ten kraj to północny Wołyń – moja umiłowana, utracona ziemia ojczysta, rękami zbrodniarzy UPA usiana mogiłami polskich rodzin, popiołami ich osiedli i świątyń. Ta kolebka mojego życia nigdy nie zostanie zapomniana – w moich myślach i snach pozostanie jak cudowna legenda.

Ten stan mojego ducha, pełen nostalgicznych wspomnień, motywuje do pisania – przybliżenia czytelnikom uroku tej ziemi, ale też grozy wydarzeń wojennych, które okrutnie i krwawo nawiedzały ten kraj.

